

Zagrozenie

Tess Gerritsen



calibre 0.9.27

Tess Gerritsen

Zagrozenie

PROLOG

Serce omal nie wyskoczyło mu z piersi, gałęzie chłostały twarz, ale nie przestawał biec. Czuł na plecach oddech prześladowcy i wyobrażał sobie, jak kula przecina powietrze i wbija mu się w plecy. A może już to się stało? Może zostawia za sobą strugę krwi? Był zbyt sparaliżowany strachem, aby cokolwiek czuć, poza desperackim pragnieniem życia. Lodowata kurtyna deszczu oślepiała go i tłukła w martwe zimowe liście. Potknął się i wylądował w kałuży błota. Szczęk tłumika i świst kuli tuż przy uchu świadczyły o tym, że tamten, zaalarmowany trzaskiem gałęzi, go zauważył. Z trudem zerwał się na nogi i ruszył zygzakiem w stronę autostrady. Tu, w lesie, jest już trupem. Ale gdyby zdołał zatrzymać samochód, miałby jeszcze szansę.

Hałas łamanych gałęzi i przekleństwa uświadomiły mu, że ścigający go mężczyzna się przewrócił. Zyskał kilka cennych sekund przewagi. Biegł dalej, kierując się tylko instynktownym zmysłem orientacji. Poza ponurą poświatą chmur na nocnym niebie nie widział żadnego światła. Droga jednak musi być tuż przed nim.

A jeżeli nie zdoła zatrzymać samochodu?

Chwilę później zobaczył pomiędzy drzewami ledwo widoczne migotanie, dwa zalane wodą snopy światła. Przyspieszył. Płuca płonęły mu żywym ogniem, oczy ślepy od strumieni deszczu i uderzeń gałęzi. Kolejna kula przeleciała obok i z głośnym uderzeniem wbiła się w drzewo, lecz ścigający go strzelec stał się nagle małym

ważny. Tylko te światła, nęcące obietnicą ratunku, mają teraz znaczenie.

Przesuwały się gdzieś za drzewami. Czyżby samochód uciekł mu i zniknął już za zakrętem? Nie, jest, coraz wyraźniej widoczny. Biegł mu naprzeciw, cały czas świadomy, że teraz, na otwartej przestrzeni, stanowi łatwy cel. Reflektory auta skrzyły w jego stronę. Usłyszał trzeci strzał. Siła uderzenia sprawiła, że padł na kolana i półprzytomnie zarejestrował, że kula rozdziera mu ramię. Poczuł ciepło spływającej krwi, ale nie odczuł bólu. Pragnął tylko przeżyć. Poderwał się na nogi i rzucił naprzód...

Światła oślepiły go. Nie miał czasu, aby usunąć się z drogi czy spanikować. Opony zapiszczały na twardej nawierzchni, rozpryskując kałuże wody.

Nie poczuł uderzenia. Wiedział tylko, że znalazł się nagle na ziemi, deszcz wlewał mu się do ust i było mu bardzo, bardzo zimno. I że ma zrobić coś ważnego.

Sięgnął do kieszeni kurtki i ścisnął palcami mały plastikowy cylinder. Nie mógł sobie przypomnieć, dlaczego jest taki ważny, ale znalazł go tam i trochę mu z tego powodu ulżyło.

Ktoś go wołał. Kobieta. W strugach deszczu nie mógł dostrzec twarzy, ale słyszał jej ochrypły spanikowany głos. Próbował coś powiedzieć, ostrzec ją, że muszą stąd jak najszybciej uciekać, bo w lesie czai się śmierć. Ale zdołał wydobyć z siebie tylko jęk.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Pięć kilometrów za Redwood Valley drogę zablokowało zwalone drzewo, a korki oraz ulewa sprawiły, że przedostanie się poza Willits zajęło Catherine Weaver prawie trzy godziny. Dochodziła już prawie dziesiąta i Catherine wiedziała, że nie dotrze do Garberville przed północą. Miała nadzieję, że Sarah nie będzie na nią czekać. Ale na pewno zostawi jej w piecyku ciepłą kolację i rozpali ogień w kominku. Ciekawe, czy ciąża służy przyjaciółce? Sarah mówiła o dziecku od lat, wybrała nawet imię: Sam albo Emma. Fakt, że nie miała już męża, był bez znaczenia.

- Ile można czekać na właściwego ojca? - mówiła. - W końcu trzeba wziąć sprawy w swoje ręce.

I tak też zrobiła. Kiedy jej zegar biologiczny w szaleńczym tempie odmierzał czas, Sarah odwiedziła Cathy w San Francisco i z książki telefonicznej wybrała klinikę leczenia niepłodności.

Oczywiście taką o liberalnym nastawieniu, w której desperackie tęsknoty trzydziestodwuletniej samotnej kobiety spotkają się ze zrozumieniem. Samo zapłodnienie okazało się zwykłą procedurą kliniczną. Proszę się położyć, oprzeć tutaj stopy, i za pięć minut będzie pani w ciąży. No, niezupełnie. Zabieg był prosty, dawca nasienia z udokumentowanym dobrym stanem zdrowia, a co najważniejsze, Sarah mogła w ten sposób zaspokoić swój instynkt macierzyński bez tych wszystkich głupot związanych z małżeństwem. Ta stara zabawa w małżeństwo. Obie przez nią wiele wycierpiały. Po rozwodzie jakoś obie doszły do siebie, chociaż odniosły niemal

wojenne obrażenia.

Dzielna Sarah, pomyślała Cathy. Ma odwagę sama przez to wszystko przejść.

Odczuła przyływ zadawnionej złości, ciągle jeszcze na tyle silny, by sprawić, że jej usta się zacisnęły. Wiele potrafiła wybaczyć swojemu byłemu mężowi Jackowi - egoizm, żądania, zdrady - ale nie mogła mu darować, że nie dał jej dziecka. Mogła je mieć wbrew jego woli, lecz chciała, by i on go pragnął. Czekwała więc na właściwy moment. Ale podczas dziesięciu lat ich małżeństwa jej mąż nigdy nie uznał, że jest na to „odpowiedni moment”.

Mam trzydzieści siedem lat, pomyślała. Nie mam już męża. Nie mam nawet stałego partnera. Ale byłabym szczęśliwa, gdybym mogła trzymać w ramionach własne dziecko. Przynajmniej Sarah dozna niedługo tego błogosławieństwa.

Jeszcze tylko cztery miesiące i dziecko się urodzi. Cathy uśmiechnęła się, mimo że deszcz zalewał szybę. Łało coraz mocniej i chociaż wycieraczki pracowały na najwyższej szybkości, ledwo widziała drogę. Zerknęła na zegarek i zobaczyła, że jest już wpół do dwunastej. Droga była pusta. Gdyby pojawiły się jakieś kłopoty z silnikiem, musiałyby spędzić całą noc na tylnym siedzeniu, czekając, aż nadejdzie pomoc.

Wyężając wzrok, próbowała dojrzeć na jezdni białą linię, ale nie widziała nic poza ścianą deszczu. Powinna była zatrzymać się w motelu w Willits, ale denerwowała ją myśl, że jest tak blisko celu.

Zwłaszcza że przejechała już taki kawał drogi.

Drogowskaz poinformował ją, że do Garberville jest piętnaście kilometrów. Bliżej, niż myślała. Potem jeszcze trzydzieści pięć do zjazdu, i w końcu siedem przez gęsty las do domu Sarah. Dodała staremu datsunowi gazu i przyspieszyła. Było to ryzykowne, szczególnie w tych warunkach, ale wizja ciepłego domu i gorącej czekolady kusiła.

Droga niespodziewanie przeszła w zakręt. Zaskoczona Cathy szarpnęła kierownicą i samochód gwałtownie zjechał w bok.

Wiedziała, że nie powinna hamować. Opony straciły przyczepność na kilka metrów, fundując jej przerażającą przejażdżkę, która sprowadziła ją na sam skraj drogi. Myślała już, że zaliczy drzewa, ale koła odzyskały przyczepność. Samochód poruszał się jeszcze z szybkością trzydziestu kilometrów na godzinę, ale przynajmniej jechał prosto. To, co stało się później, zupełnie ją zaskoczyło. Dopiero co gratulowała sobie uniknięcia wypadku, a w chwilę potem przestała dowierzać własnym oczom.

Ten człowiek pojawił się znikąd. Przykucnął na drodze, niczym dzikie zwierzę w świetle reflektorów. Zahamowała, ale było za późno.

Piskowi opon towarzyszył głuchy odgłos ciała odbijającego się od maski samochodu.

Odniosła wrażenie, że siedzi tak przez całą wieczność, ściskając kierownicę i wpatrując się tępo w wycieraczki ślizgające się po szybie. Gdy zdała sobie sprawę z tego, co się wydarzyło, otworzyła

drzwi i wyskoczyła na drogę.

Wokół panowała ciemność. Gdzie on jest? Woda zalewała jej oczy, ale po chwili poprzez szum deszczu przebił się cichy jęk.

Dochodził gdzieś z pobocza.

Skierowała się w tę stronę i utknęła po kostki w leśnej ściółce.

Znów usłyszała jęk, teraz już wyraźniejszy.

- Gdzie jesteś? - zawołała.

- Tutaj... - Odpowiedź była tak słaba, że ledwo ją usłyszała, ale to jej wystarczyło. Odwróciła się, zrobiła kilka kroków i omal się nie potknęła o skulone ciało.

W pierwszej chwili pomyślała, że natknęła się na stos mokrych szmat, w końcu odnalazła jednak rękę i zbadała puls. Był przyspieszony, ale mocny. Palce mężczyzny rozpaczliwie zacisnęły się na jej dłoni. Próbował wstać.

- Nie ruszaj się! - zawołała.

- Nie mogę... nie mogę tu zostać...

- Jesteś ranny?

- Pomóż mi. Szybko...

- Powiedz mi, gdzie cię boli!

Chwycił ją za ramię, niezdarnie usiłując podnieść się na nogi. Ku jej zdumieniu prawie mu się to udało. Na chwilę oboje stracili równowagę i upadli na kolana w błoto. Oddech mężczyzny stał się ciężki i urywany. Jeżeli doznał krwotoku wewnętrznego, może umrzeć w ciągu kilku minut. Trzeba jak najprędzej zawieźć go do

szpitala.

- Dobrze. Spróbujmy jeszcze raz - powiedziała, chwytając go za lewą rękę i kładąc ją sobie na karku. Gdy wydał okrzyk bólu, natychmiast ją puściła. Jego ręka pozostawiła na jej szyi lepki ślad.

Krew.

- Druga strona jest w porządku.

Stała po jego prawej stronie i położyła sobie na szyi jego prawą rękę. Gdyby nie dławiący strach, to całą tę scenę można by uznać za śmieszna. Wyglądali jak para pijaków. Kiedy w końcu zdołali utrzymać równowagę, Cathy nie była pewna, czy mężczyzna będzie w stanie zrobić choćby kilka kroków. Jej z pewnością nie wystarczy sił, by mu pomóc. Mężczyzna był szczupły, lecz wysoki, a ona była drobna.

Przez ich przemoczone ubrania wyczuwała ciepło jego ciała i jakąś wewnętrzną siłę popychającą go do przodu. W głowie kłębiły się jej najrozmaitsze pytania, ale oddychała z trudem i nie mogła mówić.

Musi skoncentrować się na umieszczeniu go w samochodzie i dowiezieniu do szpitala.

Objęła go w pasie. Z wysiłkiem wydostali się na drogę. Cathy czuła, że ramię mężczyzny ściska jej szyję jak naprężony drut. Z jego ciała emanowała panika i rozpacz. Co kilka kroków musiała się zatrzymać i odgarniać włosy z oczu, by cokolwiek dostrzec.

Widziała jednak tylko deszcz.

Nagle w mroku nocy rozjarzyły się rubinowe tylne światła jej

samochodu. Mężczyzna stawał się coraz cięższy, jego głowa opierała się o jej policzek, a woda z jego mokrych włosów spływała jej po szyi.

Nogi jej miękły w kolanach, na szczęście prosta czynność stawiania jednej stopy przed drugą stała się niemal automatyczna. Nawet nie przyszło jej do głowy, by położyć go na ziemi i podjechać do niego autem. Na szczęście tylne światła samochodu były coraz bliżej.

Kiedy wreszcie zdołała dotrzeć do miejsca dla pasażera, ręka zupełnie jej zdrętwiała. Z trudem otworzyła drzwi, bo mężczyzna osuwał się na ziemię. Uznała, że nie pora na demonstrowanie delikatności i po prostu wepchnęła go do środka. Bezwładnie opadł na siedzenie, lecz nie był w stanie wciągnąć nóg. Pochyliła się, chwyciła go za kostki i umieściła obie nogi wewnątrz auta.

Wśliznęła się za kierownicę, a on wyszeptał:

- Szybko...

Po pierwszym obrocie kluczyka silnik zadławił się i zgasł. Niech to szlag! Cathy policzyła wolno do trzech i spróbowała znowu. Tym razem się udało. Tłumiąc okrzyk ulgi, wrzuciła bieg i z piskiem opon ruszyła w stronę Garberville. Nawet w takim małym miasteczku musi być szpital albo przynajmniej pogotowie. A jeżeli najbliższa pomoc medyczna znajduje się w Willits? Mogą stracić cenne minuty, a ten człowiek wykrwawi się na śmierć.

Spojrzała na swojego pasażera. W słabym świetle z deski rozdzielczej zobaczyła, że głowa zwisa mu bezwładnie. Nie ruszał się.

- Hej! Jak się czujesz? - zawołała.

- Jeszcze żyję - odpowiedział szeptem.

- Musi tu gdzieś być jakiś lekarz...

- Koło Garberville, tam jest szpital...

- Wiesz, jak tam dojechać?

- Mijałem go ze dwadzieścia kilometrów stąd... Jeżeli go mijał, to gdzie jest jego samochód?

- Co się stało? - zapytała. - Miałeś wypadek? Gdy zaczął mówić, mrok w ich aucie rozświetlił jakiś błysk. Mężczyzna podźwignął się, obejrzał i utkwiał wzrok w światłach samochodu daleko za nimi. Zaklął cicho, a Cathy rozejrzała się wokół z niepokojem.

- Co się stało?

- Ten samochód. Zerknęła w lusterko wsteczne.

- Jaki jest z nim problem?

- Od dawna jedzie za nami?

- Nie wiem. Kilka kilometrów. Dlaczego pytasz? Mężczyzna opuścił z jękiem głowę.

- Nie mogę myśleć - wyszeptał. - Jezu, nie mogę myśleć...

Stracił dużo krwi, pomyślała i przerażona nacisnęła mocniej pedał gazu. Wydawało się, że samochód skoczył w mrok, a kiedy spod opon wystrzeliły pióropusze wody, kierownica zawibrowała. Ciemności rozstępowały się przed nimi z prędkością przyprawiającą o zawrót głowy. Zwolnij, zwolnij! Zabijemy się!

Zredukowała prędkość do siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Ranny usiłował znów się wyprostować.

- Ten samochód...

- Już go nie ma.

- Jesteś pewna?

Zerknęła w lusterko. Gdzieś daleko migotało jakieś światełko, nie przypominające jednak reflektorów.

- Tak - skłamała i odetchnęła z ulgą, gdy mężczyzna opadł na siedzenie. Daleko jeszcze do tego szpitala? Dziesięć kilometrów?

Piętnaście?

A potem poraziła ją inna myśl: on może umrzeć, zanim dojedziemy. Musi słyszeć jego głos, być pewna, że nie osunął się w nicość.

- Mów do mnie. Proszę, mów.

- Jestem zmęczony...

- Nie przestawaj. Mów. Jak masz na imię?

- Victor - odpowiedział szeptem.

- Victor. Piękne imię. Czym się zajmujesz?

Był za słaby, by rozmawiać. Nie mogła jednak dopuścić do tego, by stracił przytomność! To bardzo ważne, by nie zasnął. Obawiała się, że jeśli ta wątła więź zostanie zerwana, straci go bezpowrotnie.

- W porządku. - Starła się, by jej głos nie zadrżał. - To ja ci coś opowiem. Ty nic nie mów, tylko słuchaj. Nazywam się Catherine.

Cathy Weaver. Mieszkam w San Francisco, a konkretnie w Richmond. Pracuję dla niezależnej wytwórni filmowej. Właściwie to jest firma Jacka, mojego byłego męża. Robimy horrory. Klasy B, ale

przynoszą zyski. Nasz ostatni film to „Gadzi potwór”. Jestem charakteryzatorką, robię efekty specjalne. Makabryczne. Same zielone łuski i dużo śluzu...

Zaśmiała się histerycznie. W jej głosie pobrzmiwała panika.

Musi odzyskać panowanie.

Błysk światła sprawił, że spojrzała w lusterko. Strugi deszczu rozświetliła para reflektorów. Przez kilka sekund obserwowała je, zastanawiając się, czy powiedzieć o nich Victorowi. Ale światła zadrżały i znikły jak upiory.

- Victor? - zawołała.

W odpowiedzi usłyszała jęk, ale to jej wystarczyło. Victor żyje i jej słucha. Nie mogę pozwolić mu zasnąć, myślała, szukając tematu do rozmowy. Nigdy nie była dobra w pogawędkach, tej cennej umiejętności podczas przyjęć dla filmowców. A może by opowiedziała mu jakiś kawał? Nawet głupi, choćby tylko trochę śmieszny. Śmiech ma moc uzdrawiającą. Rozśmiesz go, a krwotok w cudowny sposób się zatrzyma...

Niestety, żaden dowcip nie przyszedł jej do głowy, toteż podjęła na nowo temat swojej pracy.

- Nasz następny film zaplanowaliśmy na styczeń. „Upiory”.

Zdjęcia będziemy robić w Meksyku, czego nienawidzę, bo ten cholerny upał zawsze psuje charakteryzację...

Spojrzała na Victora, lecz ten nie reagował. Przerazona

wyciągnęła dłoń, by sprawdzić puls, i stwierdziła, że schował rękę

głęboko do kieszeni kurtki. Spróbowała ją wyciągnąć, ale napotkała silny opór. Mężczyzna wzdrygnął się i obudził, wymierzając cios, jakby chciał się bronić.

- Przestań! - zawołała, starając się zapanować nad kierownicą i jednocześnie uchronić się przed jego razami. - To ja, Cathy! Chcę ci tylko pomóc!

Gdy usłyszał jej głos, odetchnął jakby z ulgą i oparł głowę na jej ramieniu.

- Cathy... - szepnął. - Cathy...

- Tak, to ja. - Wyciągnęła rękę i delikatnie odgarnęła mu włosy.

Zastanowiło ją, jakiego są koloru.

Dotknął jej ręki i zamknął ją w uścisku, który był zdumiewająco silny i pokrzepiający. Jeszcze tu jestem, zdawał się mówić. Jestem ciepły, żyję i oddycham. Przycisnął wewnątrz jej dłoni do ust. Gest był przepełniony taką czułością, że zaskoczyła ją szorstkość nieogolonego podbródka. To była pieszczota pomiędzy dwojgiem obcych sobie ludzi, która wprawiała ją w drżenie.

Przeniosła całą swoją uwagę na drogę. Mężczyzna ucichł, ale ona nie mogła zignorować ciężaru jego głowy na ramieniu ani ciepła jego oddechu w swoich włosach.

Ulewa osłabła i przeszła w uporczywy deszcz, więc Cathy przyspieszyła do osiemdziesiątki. Minęli jadłodajnię „Pod Sadzonym Jajkiem”, zwykły barak postawiony pod samotną lampą uliczną, w świetle której mignęła jej twarz Victora. Zobaczyła go tylko z profilu:

wysokie czoło, ostry nos, wystający podbródek, a potem światło znikło, a on pozostał cieniem oddychającym słabo obok niej. Zdołała zobaczyć wystarczająco dużo, by zrozumieć, że nigdy nie zapomni tej twarzy. Nawet teraz, gdy patrzyła w ciemność, jego profil płynął przed nią jak obraz zatopiony w pamięci.

- Musi być już blisko - powiedziała, starając się dodać otuchy im obojgu. - Tam, gdzie jest jadłodajnia, musi być miasteczko. - Nie było odpowiedzi. - Victorze? - Cisza. Dławiąc się od paniki, znowu przyspieszyła.

Chociaż gospoda „Pod Sadzonym Jajkiem” została już za nimi, nadal widziała w lusterku mrugającą do niej latarnię uliczną. Dopiero po kilku sekundach zdała sobie sprawę, że widzi dwa światła, i że oba się poruszają. A więc są to reflektory. Czyżby to ten sam samochód, który spostrzegła wcześniej?

Zafascynowana przyglądała się światłom tańczącym między drzewami jak bliźniacze zjawy, które nagle znikły i pozostała tylko ciemność. Duch? Pewnie zaraz znowu się zmaterializują i podejmą swoje widmowe migotanie w lesie. Tak intensywnie wpatrywała się w lusterko, że omal nie przegapiła drogowskazu:

Garberville, 5750 mieszkańców Paliwo Posiłki Noclegi

Kilometr dalej pojawiły się lampy uliczne, jarzące się w mżawce niczym żółta mgła. Pomimo ograniczenia prędkości do pięćdziesięciu kilometrów, Cathy trzymała mocno stopę na pedale gazu i po raz pierwszy w życiu modliła się, by zaczęła ją ścigać policja.

Nagle, jakby spod ziemi, pojawiła się przed nią tablica z napisem SZPITAL. Zahamowała i skręciła. Jeszcze kilkaset metrów i czerwony znak ODDZIAŁ RATUNKOWY poprowadził ją do podjazdu przy bocznym wejściu. Zostawiając Victora, wbiegła do środka, pokonała pustą poczekalnię i krzyknęła do pielęgniarki w recepcji:

- Mam rannego w samochodzie!

Pielęgniarka wybiegła za Cathy na dwór, zerknęła na mężczyznę skulonego na przednim siedzeniu i wezwała asystę. Nawet z pomocą dobrze zbudowanego lekarza trudno było wyciągnąć Victora z samochodu. Jego ręka zakleszczyła się pod dźwignią hamulca ręcznego.

- Niech pani wsiądzie z drugiej strony i uwolni mu rękę! -

krzyknął lekarz do Cathy.

Wśliznęła się na fotel kierowcy, ujęła rękę rannego i przesunęła ją ponad dźwignią. Mężczyzna zareagował okrzykiem bólu. Ramię opadło bezwładnie.

- W porządku! - orzekł lekarz. - Teraz niech go pani przesunie w moją stronę, a potem już się nim zajmujemy.

Ostrożnie przesunęła głowę i ramiona Victora w kierunku drzwi, a potem wysiadła, by pomóc przenieść go na nosze. Przypięto go do nich pasami.

- Co się stało? - zapytał lekarz przez ramię.

- Potrąciłam go... na szosie...

- Kiedy?

- Piętnaście, dwadzieścia minut temu.

- Jak szybko pani jechała?

- Około pięćdziesięciu.

- Był przytomny, kiedy pani się zatrzymała?

- Tak, z dziesięć minut. Potem odpłynął...

- Koszula jest przesiąknięta krwią - zauważyła pielęgniarka.

Podczas szaleńczej gonitwy przy ostrym świetle jarzeniówek

Cathy po raz pierwszy przyjrzała się Victorowi. Zobaczyła

pobrudzoną błotem twarz, usta zaciśnięte z bólu i szerokie czoło na

wpół zasłonięte mokrymi włosami o jasnym odcieniu brązu.

Wyciągnął do niej dłoń.

- Cathy...

- Jestem przy tobie, Victorze.

Mrużąc oczy z bólu, skoncentrował się na jej twarzy.

- Muszę... muszę ci coś...

- Później! - rzucił ostro lekarz.

- Nie, zaczekajcie! - Victor starał się zatrzymać ją przy sobie.

Usiłował coś powiedzieć, chociaż na jego twarzy malowało się cierpienie.

Cathy pochyliła się nad nim.

- Tak, Victorze - wyszeptła, dotykając delikatnie jego włosów, pragnąc ulżyć jego bólowi. - Mów.

- Nie ma czasu! Do zabiegowego! - krzyknął lekarz. Nosze

odjechały na urazówkę, do koszarnej sali

pełnej nierdzewnej stali i oślepiająco jaskrawych świateł. Victora

położono na stole chirurgicznym.

- Tętno sto dziesięć - zakomunikowała pielęgniarka. - Ciśnienie

osiemdziesiąt pięć na pięćdziesiąt!

- Załóż dwie kroplówki. Sześć jednostek krwi. I znajdź chirurga.

Potrzebujemy pomocy - zaordynował lekarz.

Polecenia brzmiały jak seria z karabinu maszynowego,

metaliczny szczepek instrumentów, pojemników i stojaków do

kroplówek był ogłuszający. Nikt nie zwracał uwagi na Cathy stojącą

w drzwiach, obserwującą z przerażeniem, ale i fascynacją, jak

pielęgniarka rozcina zakrwawione ubranie Victora i zaczyna je z niego

zdzierać. Każde pociągnięcie materiału obnażało coraz więcej ciała,

aż koszula i kurtka opadły z niego w strzępach, ukazując szeroką

klatkę piersiową pokrytą ciemnymi włosami. Dla lekarzy i

pielęgniarek było to z pewnością kolejne ciało, nad którym pracowali,

kolejny pacjent do ocalenia.

Dla Cathy był to żywy oddychający człowiek, bliski jej chociażby

dlatego, że dzieliła z nim ostatnie krytyczne chwile. Pielęgniarka

szybko rozpięła pasek, kilkoma silnymi pociągnięciami ściągnęła

spodnie i bokserki i rzuciła je na stos zakrwawionego ubrania. Cathy

nie zwracała uwagi na nagość mężczyzny czy na pielęgniarki. Jej oczy

spoczęły na lewym ramieniu Victora, z którego tryskała na stół świeża

krew. Pamiętała, jak całe jego ciało zadrżało z bólu, gdy chwyciła go

za ramię. Dopiero teraz zrozumiała, jak bardzo wtedy musiał cierpieć.

W gardle poczuła obrzydliwy kwaśny smak. Zaraz zwymiotuje.

Walcząc z mdłościami, opadła na krzesło, nieświadoma chaosu, jaki się wokół niej przetaczał.

- Tu pani jest. - Pielęgniarka niosąca zawiniątko z przedmiotami należącymi do rannego gestem dłoni zaprosiła Cathy do recepcji. -

Proszę nam podać swoje nazwisko na wypadek, gdyby lekarze mieli jakieś pytania. Musimy też zawiadomić policję. Może pani już dzwoniła?

Cathy potrząsnęła przecząco głową.

- Wiem, że powinnam...

- Proszę, tutaj jest telefon.

- Dziękuję.

Po ośmiu dzwonekach odezwał się wreszcie czyjś zaspany głos.

Najwidoczniej w Garberville policja nie miała wiele nocnych atrakcji.

Oficer dyżurny zapisał relację Cathy i obiecał skontaktować się z nią później, po obejrzeniu miejsca wypadku.

Pielęgniarka otworzyła portfel Victora i przeglądała dokumenty w poszukiwaniu informacji, a potem wypełniła puste miejsca w karcie pacjenta. Imię i nazwisko: Victor Holland. Wiek: 41 lat. Zawód: biochemik. Najbliższy krewny: nieznan.

Wzrok Cathy przyciągnął leżący na stosiku kart identyfikator - przepustka firmy o nazwie Viratek. Na kolorowym zdjęciu widniała poważna twarz Victora, zielone oczy patrzyły prosto w aparat. Nawet

gdyby nie widziała przedtem jego twarzy, to dokładnie tak by sobie go wyobraziła: stanowcza mina, nieustępliwy wzrok. Dotknęła miejsca na dłoni, które pocałował. Ciągle czuła szorstkość jego podbródka.

- Wyjdzie z tego? - zapytała cicho. Pielęgniarka nie przerwała pisania.

- Stracił dużo krwi. Ale wygląda na silnego faceta. Cathy skinęła głową, pamiętając, że nawet cierpiąc straszliwy ból, Victor zebrał w sobie siły, aby doczołgać się do samochodu. Wiedziała, że jest twardy. Pielęgniarka podała jej pióro i kartę pacjenta.

- Proszę napisać na dołę swoje imię, nazwisko i adres. Na wszelki wypadek.

Cathy znalazła w torebce adres i telefon Sarah.

- Nazywam się Cathy Weaver. Można mnie znaleźć pod tym numerem.

- Zatrzymała się pani w Garberville?

- Tak, na trzy tygodnie. Przyjechałam w odwiedziny.

- Aha. Świetny sposób na rozpoczęcie wakacji, prawda?

Cathy westchnęła i wstała, żeby wyjść.

- Tak. Rzeczywiście.

Zatrzymała się przed drzwiami urazówki, zastanawiając się, co się tam dzieje, i zdając sobie sprawę, że Victor walczy o życie. Czy odzyskał przytomność i czy ją pamięta? To ważne, by jej nie zapomniał.

- Proszę do mnie zadzwonić, dobrze? - zwróciła się do

pielęgniarki. - To znaczy, proszę mi dać znać, gdyby...

- Skontaktujemy się z panią.

Na dworze przestało padać, spoza chmur wyrzały gwiazdy. Dla jej zmęczonych oczu był to porywający widok, ta pierwsza oznaka kończącej się nawałnicy.

Gdy opuszczała parking, dygotała ze zmęczenia. Nie zauważyła samochodu zaparkowanego po przeciwnej stronie ulicy ani wątlej iskiarki palącego się papierosa.

ROZDZIAŁ DRUGI

Niespełna minutę po tym, jak Cathy opuściła szpital, do izby przyjąć wszedł mężczyzna wnoszący za sobą zapach deszczowej nocy. Dyżurna pielęgniarka była zajęta papierami. Gwałtowny powiew zimnego powietrza sprawił, że spojrzała na człowieka zbliżającego się do biurka. Miał około trzydziestu pięciu lat, pociągłą twarz, jego ciemne włosy przyprószone były siwizną. Na trenczu marki Burberry zatrzymały się krople deszczu.

- W czym mogę pomóc? - zapytała, patrząc mu w oczy, czarne i błyszczące.

- Czy przywieziono tu przed chwilą mężczyznę o nazwisku Victor Holland? - zapytał cicho.

- Tak - odparła. - Czy jest pan krewnym?

- Jestem jego bratem. Jaki jest jego stan?

- Właśnie zajmuje się nim lekarz. Proszę poczekać, sprawdzę... -

Urwała, aby odebrać telefon. Laborantka podawała wyniki badań

nowego pacjenta. Kiedy je notowała, zauważyła kątem oka, że mężczyzna wpatruje się w zamknięte drzwi urazówki. Otworzyły się z impetem i ukazał się w nich sanitariusz trzymający pękaty plastikowy worek umazany krwią. Z sali dochodził gwar głosów:

- Ciśnienie wzrosło do stu dziesięciu na siedemdziesiąt!

- Sala operacyjna gotowa.

- Gdzie jest chirurg?

- Już jedzie. Miał problem z samochodem.

- Gotowy do prześwietlenia! Odsunąć się!

Powoli drzwi się zamknęły i zapadła cisza. Pielęgniarka odłożyła słuchawkę w momencie, gdy sanitariusz położył plastikową torbę na jej biurku.

- Co to? - zapytała.

- Ubranie pacjenta. Jest zniszczone. Mam je wyrzucić?

- Zabiorę je do domu - wtrącił się człowiek w trenczu. - Czy to wszystko?

Sanitariusz rzucił pielęgniarce spojrzenie pełne zażenowania.

- Jest trochę brudne...

- Panie Holland, a może my się tym zajmiemy? Nie ma tu nic cennego. Wszystko przedtem schowałam - dodała pielęgniarka i wyjęła z szuflady zaklejoną kopertę z naklejką: Holland, Victor.

Zawartość: portfel, zegarek. - Może pan to zabrać. Proszę tylko pokwitować odbiór.

Mężczyzna skinął głową i podpisał się jako David Holland.

- Czy Victor jest przytomny? Czy coś mówił? - zwrócił się do

dziewczyny, wkładając kopertę do kieszeni.

- Obawiam się, że nie.

Mężczyzna przyjął tę informację w milczeniu. Cisza ta wydała się pielęgniarce niepokojąca.

- Przepraszam, panie Holland - odezwała się - ale jak się pan dowiedział, że brat jest ranny? Nie zdążyłam jeszcze zawiadomić żadnych krewnych...

- Miałem telefon z policji. Victor jechał moim samochodem.

Znaleźli wrak na poboczu.

- Dobrze, że ktoś się z panem skontaktował. Czy może nam pan podać swój adres i telefon? Na wypadek, gdybyśmy musieli się z panem skontaktować?

- Oczywiście. - Mężczyzna wziął kartę pacjenta i zerknął na nią, zanim w rubryce „Najbliższy krewny” napisał nazwisko, adres i telefon. - Kim jest Catherine Weaver? - zapytał, wskazując na dane u dołu strony.

- To kobieta, która go przywiozła.

- Będę musiał jej podziękować. - Zwrócił dokument.

- Siostrze?

Pielęgniarka obejrzała się i zobaczyła, że woła ją lekarz stojący w otwartych drzwiach pokoju zabiegowego.

- Tak, panie doktorze?

- Proszę zadzwonić na policję. Niech przyjadą jak najszybciej.

- Już wiedzą o wypadku.

- Proszę jeszcze raz zadzwonić. To nie jest wypadek.

- Słucham?

- Mamy prześwietlenie. Został postrzelony w ramię.

- Postrzelony? - Dziewczyna poczuła, że przez jej ciało przeszedł dreszcz, niczym zrywający się nocą zimny wiatr.

Powoli zwróciła się w stronę mężczyzny w trenczu, który utrzymywał, że jest bratem Victora Hollanda. Ku jej zdumieniu zniknął.

- Gdzie on się, do cholery, podział? - mruknął pod nosem sanitariusz.

Przez kilka sekund dziewczyna wpatrywała się w drzwi, a potem spuściła wzrok i zobaczyła puste biurko. Worek z ubraniami Victora Hollanda zniknął.

Cathy powoli odłożyła słuchawkę. Chociaż otulona była frotowym szlafrokiem, miała dreszcze.

- Ten człowiek na drodze, znaleźli kulę w jego ramieniu.

Nalewająca właśnie herbatę Sarah podniosła na nią zdziwiony wzrok.

- Ktoś go postrzelił?

Cathy osunęła się na krzesło i tępo wpatrywała w filiżankę herbaty cytrynowej, którą Sarah jej przygotowała. Gorąca kąpiel i godzina spędzona przy kominku zdążyły sprawić, że wypadki tej nocy wydawały się złym snem. Cała agresja świata oddaliła się o milion lat

od kuchni Sarah, ozdobionej firankami z angielskiego kretonu, pełnej aromatu przypraw.

- Czy wiedzą, co się stało?

- Właśnie skończyli go operować. - Spojrzała na telefon. -

Powinnam zadzwonić do szpitala...

- Zrobiłaś wszystko, co mogłaś. Herbata ci stygnie. Cathy drżącą

ręką odsunęła z twarzy pasmo mokrych

włosów. Kula w ramieniu, pomyślała. Dlaczego? Czy to był

przypadkowy atak ze strony drogowego rewolwerowca, strzelającego

z samochodu do obcych ludzi? Czytała o tym w gazetach. Czasami

kłótnie rozstrzygano na szosach poprzez pociągnięcie spustu. A może

to był atak? Czy Victorowi grozi śmierć?

Z dworu doszedł jakiś stukot i szcęknięcie.

- Co to było?

- Na pewno nie duchy - zaśmiała się Sarah. Podeszła do tylnych

drzwi i sięgnęła do zasuw.

- Sarah! - zawołała spanikowana Cathy, widząc, że przyjaciółka

ją otwiera. - Zaczekaj!

- Zobacz sama. - Sarah otworzyła drzwi. Światło nad framugą

zapaliło się i ukazał się rząd kubłów na śmieci stojących pod wiatą dla

samochołu. Jakiś cień ześliznął się na ziemię i czmychnął przez

podjazd, pozostawiając za sobą rozrzucone opakowania po jedzeniu. -

Szopy - wyjaśniła. - Jeżeli nie przywiążę pokryw na pojemnikach, te

łobuzy porozrzucają resztki po całym podwórzu. - Jeszcze jeden cień

wychynął z kubła i patrzył na nią świecącymi w ciemnościach oczami.

Sarah klasnęła w ręce i zawołała:

- Zjeżdżaj stąd! - Szop nawet nie drgnął. - Nie masz domu? -

Zwierzak w końcu wolnym krokiem ruszył między drzewa. - Z roku

na rok stają się coraz bezczelniejsze - westchnęła Sarah, zamykając

drzwi. Zwróciła się w stronę Cathy i mrugnęła do niej. - Wyluzuj. Nie

jesteś w wielkim mieście.

- Przypominaj mi o tym. - Cathy wzięła kawałek ciasta

bananowego i zaczęła smarować je konfiturami. - Wiesz co, chyba

fajniej będzie spędzić Boże Narodzenie z tobą niż z Jackiem.

- Skoro już mowa o byłych mężach... - Sarah podeszła do szafki -

trzeba się wprawić we właściwy nastrój. Sama herbata tutaj nie

wystarczy. - Z uśmiechem pomachała butelką brandy.

- Chyba nie pijesz?

- Przecież to nie dla mnie. - Postawiła przed Cathy kieliszek. -

Przyda ci się łyczek. To była trudna i zimna noc. Porozmawiajmy o

głupkach rodzaju męskiego.

- Za wszystkich głupków na świecie! - Cathy naląła brandy i

upiła łyk. Co za przyjemne ciepło!

- Co u starego Jacka?

- To co zwykle.

- Blondynki?

- Przerzucił się na brunetki.

- Przez rok przeleciał wszystkie blondynki świata?

- Może kilka przeoczył. - Cathy wzruszyła ramionami.

Roześmiały się lekkim i łatwym śmiechem, który wskazywał, że ich rany prawie się już zabiły, że mężczyźni to istoty, o których można rozmawiać bez bólu i smutku.

- Myślisz, że są jeszcze na świecie jacyś przyzwoici faceci? Nie ma gdzieś w pobliżu wolnego? Może jakiś mutant? Jeden jedyny mizerny porządny gość?

- Pewnie jest. Gdzieś na Syberii. Ale ma sto dwadzieścia lat.

- Zawsze podobali mi się starsi.

Znowu zaczęły się śmiać, ale tym razem już nie tak bez troski.

Tyle lat minęło od czasu, kiedy były razem w college'u, od tych dni, gdy były absolutnie przekonane, że świat jest pełen księżąt z bajki.

Cathy wypła brandy i odstawiła kieliszek.

- Jestem wredną kumpelką! Całą noc nie dać spać ciężarnej! A właściwie to która jest godzina?

- Dopiero wpół do trzeciej.

- Och, Sarah! Natychmiast do łóżka! - Cathy podeszła do zlewu i zmoczyła garść papierowych ręczników.

- Co chcesz zrobić? - zapytała Sarah.

- Wyczyścić samochód. Nie zmyłam krwi z fotela.

- Już to zrobiłam.

- Naprawdę? Kiedy?

- Jak brałaś kąpiel.

- Sarah, ty idiotko.

- Przecież nie poroniłam. Och, byłabym zapomniała.
 - Wskazała na mały pojemnik z filmem leżący na szafce.
 - Znalazłam to w twoim samochodzie.
 - To pewnie Hickeya. - Cathy pokiwała głową i westchnęła.
 - Hickey! Ten facet to tylko zbędna strata miejsca.
 - Racja, ale to mój dobry przyjaciel.
 - I tym tylko może być dla kobiety. Przyjacielem. Co jest na tej rolce? Gołe baby, jak zwykle?
 - Nawet nie chcę wiedzieć. Kiedy zawiozłam go na lotnisko, dał mi kilka rolek i obiecał, że je odbierze po powrocie. Pewnie nie chciał targać ich aż do Nairobi.
 - Pojechał do Nairobi?
 - Robi zdjęcia „wspaniałych kobiet Afryki” czy coś takiego. -
- Cathy włożyła pojemnik do kieszeni szlafroka.
- Cholera, mam nadzieję, że to nie jest pornografia.
 - Jak znam Hickeya, to chyba jest. Rozśmieszyła je ironia sytuacji. Hickman von Trapp, którego jedynym zajęciem było fotografowanie nagich kobiet w erotycznych pozach, nie interesował się zupełnie płcią przeciwną.
 - Taki facet jak Hickey tylko potwierdza moją hipotezę - rzuciła Sarah, idąc w stronę swojej sypialni.
 - A co to za hipoteza?
 - Że nie ma już na świecie porządnych facetów!

Światło

pomogło

Victorowi

wydobyć

się

z

głębin

nieświadomości. Jaśniejsze niż tuzin słońc, bombardowało go przez zamknięte powieki. Nie chciał się obudzić; jakaś ledwo funkcjonująca część jego mózgu wiedziała, że jeżeli zacznie walczyć z błogosławioną nicością, sprawi mu to tylko ból, wywoła mdłości i przyniesie coś znacznie gorszego - strach.

Przed czym? Tego nie pamiętał. Śmiercią? Nie, to jest śmierć, lub stan bliski śmierci, bo jest ciepło, czarno i wygodnie. Jednak ma coś ważnego do zrobienia, i nie wolno mu o tym zapomnieć. Tylko co?

Nic nie pamiętał - z wyjątkiem jakiejś ręki, delikatnej, ale także silnej, gładzącej go po czole, i cichego głosu dobiegającego go z ciemności.

Mam na imię Catherine... Kiedy jej dotyk i głos zawładnęły jego pamięcią, przyszedł też strach. Nie bał się o siebie (przecież już nie żyje, prawda?), ale o nią. Silna, dobra Cathy. Tylko przez chwilę widział jej twarz, słabo ją pamiętał, ale wiedział, że jest piękna. I bał się o nią.

Gdzie jesteś? Chciał o to zapytać na głos.

- Odzyskuje przytomność - powiedział kobiecie głos, ale nie była to Cathy, bo brzmiał zbyt twardo.

- Uwaga na kroplówkę!

- Panie Holland, proszę się nie ruszać. Wszystko będzie dobrze...

- Mówiłem uważać na kroplówkę!

- Podać jednostkę krwi...

- Niech się pan nie rusza, panie Holland.

Gdzie jesteś, Catherine? Zwalczając w sobie pokusę ponownej ucieczki w nieświadomość, zmusił się do podniesienia powiek. Na początku widział tylko rozmazane światło. Wbijało mu się przez oczodoły prosto w mózg. Stopniowo obrazy przybrały kształt twarzy ludzi w niebieskich fartuchach, pochylających się nad nim z z troskaniem. Spróbował skupić na nich wzrok, ale wysiłek sprawił, że żołądek mu się zbuntował.

- Panie Holland, spokojnie. Jest pan w szpitalu, wybudzamy pana. Miał pan operację ramienia. Proszę odpoczywać i starać się zasnąć...

Nie, nie, ja nie mogę... - chciał powiedzieć, lecz głos mu uwiązł w krtani.

- Pięć miligramów morfiny, gotowe. - Victor poczuł ciepło rozchodzące się po klatce piersiowej. - To powinno pomóc. Teraz proszę spać. Wszystko poszło dobrze...

Chciał krzyknąć, że nie rozumieją. Trzeba ją ostrzec... To była ostatnia świadoma myśl, zanim łagodne ciemności pochłonęły całe światło.

Sarah leżała w łóżku, w którym brakowało męża, a na jej twarzy

błąkał się uśmiezek. Chciało się jej śpiewać i tańczyć. Stanąc w otwartym oknie i wykrzyzczyć swoją radość! Powiedziano jej, że to hormony powodują tę huśtawkę emocji. Wiedziała, że powinna odpoczywać, ale dzisiaj nie była wcale zmęczona. Biedna wykończona Cathy wdrapała się na poddasze, gdzie był jej pokój. A Sarah nie mogła zasnąć.

Zamknęła oczy i skupiła się na dziecku. Jak się czujesz, moje kochanie? Śpisz czy nasłuchujesz?

Dziecko przekręciło się w jej brzuchu i uspokoiło. To była odpowiedź, ich tajemnica, słowa znane tylko im. Sarah odczuwała niemalże zadowolenie, że nie ma męża, który odwracałby jej uwagę od tej cichej rozmowy, leżałby tu z nimi, zazdrosny i obcy. A tak jest tylko matka i dziecko, odwieczna więź, mistyczne połączenie.

Biedna Cathy, pomyślała, bo huśtawka uczuć przeniosła ją od radości do smutku związanego z osobą przyjaciółki. Wiedziała, że Cathy też bardzo pragnie dziecka, ale w końcu czas zabierze jej szansę na jego posiadanie. Była zbyt wielką romantyczką, aby zaakceptować fakt, że partner może nigdy nie okazać się odpowiedni. Czyż nie zajęło jej dziesięciu długich lat, aby w końcu przyznać, że jej małżeństwo jest porażką? Chociaż pracowała nad tym, by przetrwało. Do tego stopnia, że przestała zauważać wady Jacka, a szczególnie jego egoizm. To niesamowite, że bystra, niepozobawiona intuicji kobieta mogła pozwolić na to, by sprawy tak długo się ciągnęły. Ale to jest cała Cathy. Nawet teraz, gdy ma trzydzieści siedem lat, jest

otwarta i ufna, lojalna aż do granic głupoty.

Chrzęst żwiru na podjeździe pobudził jej czujność. Leżąc zupełnie cicho nadśluchiwała i przez moment dochodziło do niej tylko znajome skrzypienie gałęzi objających się o dach. Znowu. Kamyki rozbryzgujące się po drodze, a potem cichy brzęk metalu. Te przeklęte szopy. Jeżeli teraz ich nie przepędzi, to rozwłoką śmieci po całym podjeździe.

Westchnęła, usiadła i po ciemku poszukała kapci. Szurając cichutko nogami, wyszła z sypialni i skierowała się w stronę kuchni. Nie chciała atakować światłem oczu przyzwyczajonych do ciemności. Aby nie zapalać lampy pod wiatą, zdjęła latarkę z półki w kuchni i przekręciła klucz w zamku.

Na dworze światło księżycy prześwitywało ponuro poprzez chmury. Skierowała latarkę na kubły, ale strumień światła nie odbił się w oczach szopa i nie omiótł rozsypanych śmieci. Zaskoczona ruszyła w stronę wiaty i zatrzymała się przy datsunie stojącym na podjeździe.

Zobaczyła blade światelko. Zajrzała przez okno, schowek był otwarty. Pomyślała, że sam się otworzył albo że ona, czy Cathy, zapomniała go zamknąć. Na przednim siedzeniu leżały rozrzucone mapy.

W uszach zaświszczał jej strach i odsunęła się, ale nogi miała sztywne i bezwolne. Dopiero wtedy wyczuła, że w ciemności ktoś na nią czeka. Poczowała jego obecność jak powiew zimnego wiatru w nocy.

Rzuciła się w stronę domu. Kiedy się odwracała, światło jej latarki zatoczyło szeroki łuk i zamarło na twarzy mężczyzny. Patrzące na nią oczy były błyszczące i czarne jak kamienie. Nie zdążyła dobrze się przyjrzeć jego twarzy: sepiemu nosowi, wąskim bladym ustom. Widziała tylko te oczy. Należały do człowieka, który nie ma duszy.

- Cześć, Catherine - powiedział szeptem, a ona usłyszała w jego głosie zapowiedź śmierci.

Chciała krzyknąć, kiedy szarpnąwszy ją za włosy, odchylił jej głowę do tyłu, obnażając szyję. Proszę, daj mi żyć! Ale nie wydała żadnego dźwięku. Słowa, tak jak jego nóż, uwięzły jej w gardle.

Cathy obudziła kłótnia sójek za oknem. Opętańcze tłuczenie skrzydłami o szyby i maniakałny skrzek upierzonych wrogów bardzo się różnił od porannego szumu samochodów, do którego była przyzwyczajona.

Pokój na poddaszu zalało już poranne słońce. Piękne miejsce na sypialnię dla dziecka! Sarah wprowadziła tu różne zmiany - zasłonki z materiału zadrukowanego postaciami Jasia i Małgosi, akwarele z namalowanymi zwierzątkami. Sama myśl o dziecku śpiącym w tym pokoju napełniała ją taką radością, że usiadła i z uśmiechem objęła rękami okryte kołdrą kolana. Spojrzała na zegarek leżący na nocnej szafce i zobaczyła, że jest wpół do dziesiątej. Połowę ranka ma już za sobą!

Z niechęcią opuściła ciepłe łóżko i zaczęła grzebać w walizce w poszukiwaniu swetra i dzinsów. W domu panowała martwa cisza,

która zaczęła potęgować każde uderzenie jej serca, każdy oddech.

W końcu ubrała się, zeszła na dół i znalazła się w pustym salonie.

W kominku leżała sterta popiołu z poprzedniego wieczoru. Ze świątecznej choinki spadł srebrny łańcuch, zamigotał srebrnymi skrzydłami papierowy anioł. Cathy ruszyła do pokoju Sarah, a tam, na widok kołdry odrzuconej na bok, zmarszczyła brwi.

- Sarah? - zawołała.

Jej głos pograżył się w ciszy i bezruchu. Dlaczego ten domek wydaje się taki duży? Wróciła przez salon do kuchni. Filiżanki z ostatniej nocy stały jeszcze w zlewie. Na parapecie drżała paprotka, którą poruszał powiew wiatru płynący od otwartych drzwi.

Cathy wyszła pod wiatę, pod którą zaparkowany był stary dodge należący do właścicielki domu.

- Sarah?

Miała już zawrócić, gdy wzrok jej omiótł wyżwirowany podjazd i koło tylnej opony wychwycił plamę. Przez kilka sekund wpatrywała się w rdzawobrazową substancję, nie mogąc pojąć znaczenia swego odkrycia. Powoli przeszła obok samochodu, wzdłuż meandrów plamy.

Kiedy go okrążyła, zobaczyła cały podjazd. Zaschnięta brązowa strużka doprowadziła ją do szkarłatnej kałuży. Tam, z szeroko otwartymi oczami, leżała Sarah.

Świergot sójki uciszył się gwałtownie, kiedy inny głos wypełnił cały las. Był to krzyk Cathy.

- Proszę pana.

Victor próbował opędzić się od hałasu, ale dźwięczał mu cały czas w uszach jak natrętna mucha.

- Panie, niech się pan obudzi.

Otworzył oczy i z trudnością skoncentrował się na małej wykrzywionej twarzy zarośniętej siwą szczecina. Zjawa wyszczerzyła się w uśmiechu, w miejscu zębów ukazując pustkę. Victor przyjrzał się tej obrzydliwej czarnej dziurze i skonstatował, że chyba umarł i poszedł do piekła.

- Panie, masz pan papierosa?

Potrząsnął głową i zdołał wydobyć z siebie szept:

- Chyba nie.

- A możesz mi pan pożyczyć dolara?

- Wynoś się - jęknął Victor, zamykając oczy przed światłem dziennym. Próbował przypomnieć sobie, gdzie jest, ale głowa go bolała i przeszkadzało mu gadanie małego człowieczka.

- Nie można tu dostać papierosów. Jak w więzieniu. Człowiek powinienem wstać i stąd wyjść, ale wiesz pan, teraz na ulicach zimno.

A tu przynajmniej jest ciepło. Lało przez całą noc...

Nagle Victor przypomniał sobie. Deszcz. Biegnie w deszczu.

Otworzył szeroko oczy.

- Gdzie ja jestem?

Usiadł z trudem, a ból sprawił, że aż wstrzymał oddech. Kręciło mu się w głowie, więc skupił wzrok na stojaku z plastikowym workiem, z którego kropla po kropli kapał płyn do przezroczystej

rukki. Za oknem już świeciło słońce.

- Która godzina? - zapytał.

- Nie wiem. Jakaś dziewiąta. Przepadło panu śniadanie.

- Muszę się stąd wydostać. - Victor opuścił nogi i stwierdził, że jeśli nie brać pod uwagę cienkiej szpitalnej koszuli, jest zupełnie nagi.

- Gdzie jest moje ubranie? Mój portfel?

Stary człowiek wzruszył tylko ramionami.

- Siostra będzie wiedziała. Niech ją pan zapyta. Victor znalazł przycisk i kilka razy go nacisnął, a potem zajął się odrywaniem plastra mocującego rurkę do ramienia. Drzwi otworzyły się i odezwał się ostry głos:

- Panie Holland! A pan co robi?

- Muszę się stąd wydostać.

Oderwał ostatni kawałek plastra, ale zanim zdążył wyjąć wenflon, pielęgniarka ruszyła przez salę tak szybko, jak jej na to pozwalały krzepkie nogi, i przycisnęła wenflon gazikiem.

- To nie moja wina, panno Redfern! - wychrypiał człowieczek.

- Lenny, włącz do łóżka, i to już! A pan, panie Holland - zwróciła się do Victora i popatrzyła na niego swoimi stalowobłękitnymi oczami

- stracił dużo krwi. - Schwyciła jego ramię w swoje silne palce i umocowała wenflon.

- Niech mi pani przyniesie ubranie.

- Proszę się nie upierać, panie Holland. Musi pan tu zostać.

- Dlaczego?

- Bo ma pan kropłówkę, dlatego! - warknęła tak, jakby plastikowa rurka była jakąś nieodwracalną dolegliwością.

- Chcę moje ubranie.

- Muszę sprawdzić w izbie przyjęć. Tutaj nic nie dotarło.

- To niech pani tam zadzwoni, do cholery! - Widząc dezaprobatę na twarzy panny Redfern, dodał łagodniejszym tonem: - Jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu.

Pół godziny później pokazała się pracownica administracji.

- Obawiam się, że pana ubranie zaginęło - rzekła z pełną zawstydzoną miną.

- Co to znaczy zaginęło?

- Zostało... - odchrząknęła - skradzione. Z recepcji izby przyjęć.

Proszę mi wierzyć, nigdy dotąd nic takiego się nie wydarzyło. Jest nam szalenie przykro, zapłacimy... - Była zbyt zajęta przeprosinami, aby zauważyć, że na twarzy Victora ukazało się przerażenie. Jego umysł za wszelką cenę starał się odtworzyć, co się stało z pojemnikiem z filmem. Wiedział, że miał go w kieszeni podczas długiej jazdy do szpitala. Pamiętał, że ścisnął go w rękę, że rzucił się na tę kobietę, kiedy próbowała wyciągnąć mu dłoń z kieszeni. Potem nic już nie było jasne ani pewne. Zgubiłem go? Mój jedyny dowód?

- Pieniądzy nie ma, ale są wszystkie karty kredytowe, i tu chyba mamy szczęście.

- Słucham? - Popatrzył na nią obojętnie.

- Panie Holland, pańskie rzeczy. - Wskazała na portfel, który

położyła na stoliku nocnym. - Ochroniarz znalazł je w koszu na śmieci na szpitalnym parkingu. Wygląda na to, że złodziejowi zależało tylko na gotówce.

- I moim ubraniu.

Gdy kobieta wyszła, Victor przywołał pannę Redfern. Weszła, niosąc tacę ze śniadaniem.

- Panie Holland, proszę to zjeść. Może pana zachowanie jest spowodowane hipoglikemią.

- Do szpitala przywiozła mnie kobieta. Ma na imię Catherine.

Muszę ją odnaleźć!

Panna Redfern bez słowa odwróciła się i wymaszerowała z sali.

Kilka minut później wróciła z kawałkiem papieru i niemalże mu go rzuciła. Na kartce widniało nazwisko Catherine Weaver i miejscowy adres.

- Niech pan szybko zje śniadanie, bo zaraz przyjdzie policjant, żeby z panem porozmawiać.

- Dobrze - stęknął, gmerając w zimnej jajecznicy.

- I dzwonił ktoś z FBI. Też tu jedzie. Pacjent wyraźnie się zaniepokoił.

- Z FBI? Podał nazwisko?

- Tak, chyba jakieś polskie.

Wpatrując się w nią, Victor powoli odłożył widelec.

- Polowski - rzekł pod nosem.

- Tak, coś takiego. - Odwróciła się. - Jeszcze FBI tu potrzebne.

Ciekawe, co przeszkrobał, że się nim zainteresowali...

Zanim drzwi się za nią zamknęły, Victor wyskoczył z łóżka i wyrwał kroplówkę. Prawie nie poczuł, że plaster zerwał mu z ręki włosy; musi zniknąć z tego cholernego szpitala, zanim pojawi się tu Polowski. Był przekonany, że to on wystawił go ubiegłej nocy i przez niego wpadł w pułapkę, i wcale nie miał zamiaru czekać na kolejny atak.

- Lenny, gdzie są twoje ciuchy? - zwrócił się do staruszka.

- Mam tylko to. Panie, i tak nie będą pasowały. Victor szarpnął drzwi szafy, wyciągnął postrzępioną bawełnianą koszulę i szerokie spodnie. Były za krótkie, z nogawek wystawało mu z piętnaście centymetrów owłosionych nóg, ale przynajmniej bez kłopotu mógł je zapiąć. Jedyne kłopot to buty. Ku swojej uldze odkrył, że w szafie są też klapki Lenny'ego. Pięty wystawały mu ze trzy centymetry poza podeszwę, ale przynajmniej nie będzie nawiewać na bosaka.

- Ale to moje! - protestował Lenny.

- Masz. Weź go sobie. - Victor rzucił staremu zegarek. -

Zamienisz go na cały komplet ciuchów.

Lenny z podejrzliwością przytknął zegarek do ucha.

- To śmieć. Nie tyka.

- Bo jest kwarcowy.

- Aaa, tak. Jasne.

Victor schował portfel do kieszeni i podszedł do drzwi. Otworzył

je na szerokość dwóch palców i wyrzwał na korytarz w stronę dyżurki pielęgniarek. W porządku. Ostatnim spojrzeniem obrzucił Lenny'ego.

- Cześć, stary. Pozdrów ode mnie pannę Redfern. Wyśliznął się z pokoju i przeszedł na palcach przez

hol. Schody pożarowe znajdowały się na drugim końcu korytarza, a nad drzwiami prowadzącymi na klatkę schodową wisiała czerwona tablica ostrzegawcza: OTWARCIE DRZWI URUCHAMIA ALARM.

Pewnym krokiem, zmuszając się, by nie biec, podszedł do nich, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Ale gdy znalazł się już blisko celu, usłyszał znajomy głos:

- Panie Holland! Niech pan w tej chwili wraca! Victor wbiegł na klatkę schodową i ruszył prędko na dół. Odgłos jego kroków niósł się echem po betonie. Gdy usłyszał na schodach pannę Redfern, był już na parterze i otwierał ostatnie drzwi do wolności.

- Panie Holland! - wołała za nim.

Biegł przez parking, w uszach dźwięczał mu jej oburzony głos.

Osiem przecznic dalej skręcił do K - Martu i po dziesięciu minutach miał już koszulę, dżinsy, bieliznę, skarpetki i tenisówki, za które zapłacił kartą kredytową. Ubranie Lenny'ego wrzucił do kosza na śmieci.

Zanim opuścił hipermarket, wyrzwał jeszcze przez szybę na ulicę.

Wydawało się, że jest to zwykły grudniowy poranek w małym miasteczku. Kupujący snuli się pod kiczowatymi girlandami świątecznych dekoracji, kilka samochodów czekało cierpliwie na

czerwonych światłach. Już miał wyjść na ulicę, kiedy zauważył jadący wolno wóz policyjny. Natychmiast przykucnął za manekinem i obserwował, jak patrol zakręca obok hipermarketu i jedzie w stronę szpitala. Najwidoczniej kogoś szukają. Czy to on jest osobą, którą policja pragnie znaleźć?

Nie mógł ryzykować spaceru po Main Street. Dotarcie na piechotę do skraju miasteczka zabrało mu prawie godzinę i tak go osłabiło, że z trudem utrzymywał się na nogach. Przyływ adrenaliny, który dopomógł mu wydostać się ze szpitala, w końcu osłabł. Zbyt zmęczony, aby wykonać choćby jeden krok, przysiadł na kamieniu na poboczu i od niechcienia podniósł kciuk.

Ku jego niewysłowionej uldze pierwszy samochód, który nadjechał - pikap wypełniony drewnem - stanął przy nim. Victor wdrapał się do kabiny i pełen wdzięczności opadł na siedzenie.

Kierowca splunął przez okno, a potem spojrzał zezem na Victora spod daszka czapki z napisem „Agawy Nasiona”.

- Daleko?

- Kilka kilometrów. Oak Hill Road.

- Dobra. Jeżdżę tamtędy.

Wjechał na szosę, wypluwając czarne kłęby spalin, i pognął przed siebie przy akompaniamencie muzyki country dobiegającej z radia.

Nagle dźwięki muzyki zagłuszyło coś, co sprawiło, że Victor gwałtownie się wyprostował. Syrena. Pokręcił głową i zobaczył wyprzedzający ich wóz patrolowy. To koniec, pomyślał. Zatrzymają

nas i mnie zaaresztują...

Ale za co? Za ucieczkę ze szpitala? Za znieważenie panny

Redfern? A może Polowskiemu udało się sfabrykować jakieś zarzuty?

W przeczuciu nieszczęścia, czekał, aż patrol włączy migające

światło i każe im zjechać na pobocze. Był tak pewien, że ich

zatrzymają, że kiedy policja popędziła w dal, nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia.

- Jakieś kłopoty - zauważył jego towarzysz obojętnie, wskazując na szybko znikający wóz policyjny.

- Kłopoty?

- No. Rzadko im się trafia, żeby zabawić się sygnałem, ale jak już się uda, to lecą na całość.

Victorowi serce łomotało, ale starał się zachować spokój. Nie ma

się czym martwić. Policja nie jego szuka, są zajęci czymś innym. Na

wycie syren zasługuje jakaś małomiasteczkowa katastrofa. Pewnie

kilku szczeniakom zachciało się wybrać na przejażdżkę.

Kiedy zjechali na Oak Hill Road, puls Victora zdążył się

unormować. Podziękował kierowcy i ruszył w stronę domu Catherine

Weaver. To był długi spacer, a kręta droga wiodła przez sosnowy las.

Co jakiś czas mijał skrzynkę pocztową i jego oczom ukazywał się

przezierający zza drzew dom. Do domu Catherine było już niedaleko.

Co jej, u licha, powie? Dotąd koncentrował się tylko na tym, jak

do niej dotrzeć. A teraz, kiedy jest już prawie na miejscu, musi

znaleźć jakieś rozsądne wytłumaczenie faktu, że zwlókł się ze

szpitalnego łóżka i zabrnął aż tutaj, by się z nią zobaczyć. Proste podziękowanie za to, że uratowała mu życie, nie wystarczy. Musi się dowiedzieć, czy to ona ma pojemnik z filmem. Będzie ciekawa, dlaczego ten cholerny film jest taki ważny.

Powiedzieć jej prawdę?

Nie, to niemożliwe. Już sobie wyobrażał jej reakcję, gdyby zaczął się zagłębiać w swoją nieprawdopodobną opowieść o wirusach, zamordowanych naukowcach i podwójnych agentach FBI. Ściga pana FBI? Rozumiem. I kto jeszcze, panie Holland? To był taki absurd, że omal się nie roześmiał w głos. Nie, nie może jej o tym opowiedzieć, bo znowu wylądowałby w szpitalu, i to na oddziale, przy którym drugie piętro, blok A panny Redfern, wyglądałoby jak przedsionek raju.

Cathy nie musi wszystkiego wiedzieć. W rzeczywistości im mniej wie, tym lepiej. Uratowała mu życie i nie trzeba narażać jej na niebezpieczeństwo. Musi tylko wydostać od niej film.

Był tak zajęty roztrząsaniem tego, co ma jej powiedzieć, że wozy policyjne zauważył dopiero za zakrętem. Zamarł na widok trzech samochodów - prawdopodobnie całego kontyngentu policji

Garberville - zaparkowanego przed wiejskim domem z bali. Na wyżwirowanym podjeździe kręcili się jacyś ludzie, pewnie sąsiedzi, potrząsający z niedowierzaniem głową. Dobry Boże, czyżby coś się stało Catherine?

Tłumiąc w sobie chęć ucieczki, rzucił się do przodu, pomiędzy

wozy policyjne i zgromadzonych gapiów, ale został zatrzymany przez policjanta w mundurze.

- Przykro mi, proszę pana. Nikomu nie wolno tu wchodzić.

Oszołomiony dopiero teraz zobaczył, że policja ogrodziła teren taśmą. Powoli jego wzrok powędrował w kierunku starego datsuna zaparkowanego obok wiaty. Czy to samochód Catherine? Desperacko próbował przypomnieć sobie, czy taki właśnie prowadziła, ale w nocy było tak ciemno i tak wszystko go bolało, że nie zwracał na nic uwagi. Pamiętał tylko, że samochód był mały i że brakowało mu miejsca na nogi. A potem zauważył wypłowiałą naklejkę: Zezwolenie na parkowanie, Studio A.

Pracuję w wytwórni filmowej, powiedziała mu. Przeniósł wzrok na poplamiony żwir, tuż obok datsuna, i chociaż rozsądek podpowiadał mu, że ten szczególny ceglasty odcień czerwieni to zaschnięta krew, nie chciał w to uwierzyć. Musi istnieć jakieś inne wytłumaczenie obecności tej plamy, a także złowieszczej obecności policji.

Próbował coś powiedzieć, ale jego głos zabrzmiał chrapliwie.

- Co pan mówił? - spytał policjant.

- Co... co się stało?

Policjant pokręcił głową ze smutkiem.

- Wczoraj w nocy zabito kobietę. Nasze pierwsze morderstwo od dziesięciu lat.

Morderstwo? Wzrok Victora nadal był utkwiony w przerażającej

plamie na podjeździe.

- Ale... dlaczego? Policjant wzruszył ramionami.

- Tego jeszcze nie wiemy. Może to rabunek, chociaż chyba wiele tu nie znalazł. - Kiwnięciem głowy wskazał na datsuna. - Włamał się tylko do samochodu.

Victor poczuł, że nogi same go niosą na powrót w stronę zgromadzonych gapiów, w kierunku drogi. Słońce świeciło tak ostro, że bolały go oczy i prawie nie widział, dokąd idzie. Zabiłem ją, pomyślał. Ocaliła mi życie, a ja ją zabiłem...

Dławiło go poczucie winy i oddychał z trudem. Nie mógł zrobić kroku z powodu bólu, jaki nim zawładnął.

Przez dłuższy czas stał na skraju drogi, z głową odwróconą od słońca, słysząc skrzek sójek w uszach, pogrążony w żalu za kobietą, której nigdy nie poznał.

Zabójca szukał filmu i pewnie znalazł go w datsunie.

I co teraz? Niemożliwe, aby jego teczka - zawierająca większość dowodów - znajdowała się jeszcze w jego rozbitym samochodzie. To na pewno pierwsze miejsce, które zabójca przeszukał. Bez filmu nie miał żadnego dowodu. Jego słowo przeciwko słowu Virateku. Gazety zlekceważyłyby go i potraktowały jak kolejnego pracownika niezadowolonego ze zwolnienia. A ponieważ Polowski działa na dwie strony, Victor nie mógł nawet zaufać FBI.

Na tę myśl przyspieszył kroku. Im szybciej wydostanie się z Garberville, tym lepiej. Kiedy znajdzie się na szosie, złapie następną

okazję. A jak będzie za miastem, zastanowi się nad kolejnym krokiem.

Zdecydował, że pojedzie na południe, do San Francisco.

ROZDZIAŁ TRZECI

Archibald Black obserwował przez okno w swoim gabinecie w

Virateku, jak limuzyna sunie podjazdem i zatrzymuje się przy

głównym wejściu. Prychnął pogardliwie. Kowboj znów w mieście,

niech go szlag. Po wszystkich gadkach o tym, że jego wizyta powinna

być utrzymana w tajemnicy, ten idiota beczelnie zjawia się w

limuzynie, do tego z szoferem w uniformie.

Odwrócił się od okna. Pomimo pogardy dla swojego gościa

musiał przyznać, że czuł się przy nim niezręcznie, tak jak przy innych

tak zwanych ludziach czynu. Za mało rozumu u tych mięśniaków. Za

dużo władzy w rękach imbecyli. Kto rządzi tym krajem?

Zadzwonił wewnętrzny telefon.

- Jest tutaj pan Tyrone - odezwała się sekretarka.

- Niech go pani poprosi - odparł Black, starając się, aby wyraz

pogardy zniknął z jego twarzy.

Kiedy drzwi się otworzyły i wszedł Matthew Tyrone, malował się

już na niej tylko szacunek i uprzejmość.

Podali sobie ręce. Uścisk Tyrone'a był niepotrzebnie bardzo silny,

jak gdyby chciał on przypomnieć Blackowi, że jego pozycja jest

niepewna. Miał wygląd zdyscyplinowanego byłego żołnierza korpusu

US Marines, którym rzeczywiście kiedyś był. Tylko nieznaczna

nadwaga uwidaczniająca się na jego brzuchu zdradzała fakt, że czasy

dawnej świetności już minęły.

- Jak lot z Waszyngtonu? - zapytał Black, gdy usiedli.
- Okropna obsługa. Kiedyś to były linie! I pomyśleć, że przeciętny Amerykanin płaci za to kupę forsy.
- Z pewnością nie można tego porównać z samolotem prezydenckim.

Tyrone uśmiechnął się.

- Przejdźmy do interesów. Proszę mi powiedzieć, jak po waszym małym kryzysie stoją sprawy.

Black odnotował w myśli użycie słówka „waszym”. A więc teraz to jest „nasz” problem, pomyślał. Oczywiście. To właśnie mieli na myśli, mówiąc: jeżeli coś nawali, to nie nasza wina. Jeżeli będzie jakiś przeciek, spadnie głowa Blacka. Ale właśnie dlatego ten kontrakt był tak lukratywny - ponieważ Black, a właściwie Viratek - byli gotowi podjąć ryzyko.

- Odzyskaliśmy dokumenty - zakomunikował Black. - I filmy.

Właśnie wywołujemy negatywy.

- A dwaj wasi pracownicy? Black odchrząknął.
- Nie ma potrzeby zajmować się tą sprawą.
- Są zagrożeniem dla bezpieczeństwa narodowego.
- Nie możecie ich tak po prostu zabić!
- Nie możemy? - Oczy Tyrone'a były szare jak pociski.

Odpowiednie w przypadku kogoś, kto sam siebie nazywał Kowbojem.

Nie można kwestionować zdania kogoś, kto ma takie oczy. Jeżeli

miało się instynkt samozachowawczy.

Black z szacunkiem spuścił głowę.

- Nie jestem przyzwyczajony do takich... spraw. I nie podoba mi się wasz człowiek, Savitch.

- Pan Savitch już wcześniej pracował dla nas.

- Zabił jednego z moich najbardziej doświadczonych naukowców!

- Widocznie było to konieczne.

Black z nieszczęśliwą miną wpatrywał się w biurko. Już sama myśl o tym potworze Savitchu przyprawiała go o dreszcz.

- A właściwie dlaczego Martinique nawalił? Ponieważ miał sumienie, pomyślał Black.

- Nie można było tego przewidzieć. Pracował przez dziesięć lat w dziale badań komercyjnych. Nigdy przedtem nie było problemów z bezpieczeństwem danych. Dopiero w zeszłym tygodniu dowiedzieliśmy się, że zabrał tajne dokumenty. A potem wmieszał się Victor Holland...

- Jak dużo Holland wie?

- Nie był związany z projektem, ale jest bystry. Jeżeli zdążył przejrzeć te papiery, to mógł sobie wszystko poskładać do kupy.

Tyrone najwidoczniej zaniepokoił się, bo zaczął nerwowo stukać palcami o blat biurka.

- Co pan o nim wie?

- Przejrzałem jego teczkę. Czterdzieści jeden lat, urodził się i

wychował w San Diego. Poszedł do seminarium, ale po roku zrezygnował. Studiował na Stanford University, potem w Massachusetts Institute of Technology. Ma doktorat z biochemii. Pracuje w Virateku od czterech lat. Jeden z naszych najbardziej obiecujących badaczy.

- A jego życie osobiste?

- Żona zmarła trzy lata temu na białaczkę. Spokojny gość, lubi klasyczny jazz. Gra na saksofonie w jakimś amatorskim zespole.

Tyrone roześmiał się.

- Typowy fajtlapowaty profesorek.

Tego rodzaju prostacki komentarz może wygłosić były marine, taki jak Tyrone. Obelga ta mocno dopiekła Blackowi. Wiele lat temu, zanim założył Viratek, sam był biochemikiem i naukowcem.

- Powinniśmy się go łatwo pozbyć - podsumował Tyrone. - Nie ma doświadczenia. I pewnie jest wystraszony. - Sięgnął po swoją teczkę. - Pan Savitch jest ekspertem w tych sprawach. Proponuję, żeby zajął się tym problemem.

- Oczywiście. - W rzeczywistości Black wiedział, że nie ma wyboru. Nicholas Savitch był złą i przerażającą siłą, która raz uwolniona, nie dawała się ujarzmić.

Zadzwieczał dzwonek telefonu wewnętrznego.

- Przyszedł pan Gregorian z laboratorium fotograficznego - zaanonsowała sekretarka.

- Niech wejdzie. - Black zerknął na Tyrone'a. - Wywołali film.

Zobaczmy, co Martinique zdołał sfotografować.

Gregorian wszedł, niosąc wypchaną kopertę.

- Tu są odbitki, o które pan prosił - oznajmił, podając pakiet

Blackowi. Potem zasłonił usta dłonią, starając się stłumić coś, co podejrzanie przypominało śmiech.

- O co chodzi, panie Gregorian?

- Nic, nic, proszę pana.

- Obejrzyjmy je - wtrącił się Tyrone.

Black wyjął pięć styków i rozłożył je na biurku, tak by wszyscy mogli je obejrzeć. Cała trójka utkwiała w nich wzrok. Gregorian wybuchnął śmiechem.

- Co to jest, do cholery? - zdenerwował się Black.

- To są te negatywy, które pan mi dał. Sam je wywołałem.

- To te zdjęcia odzyskaliście od Hollanda? - Głos Tyrone'a stopniowo podnosił się, aż przeszedł w ryk. - Pięć rolek filmu z gołymi babami?

- Musiała zająć pomyłka. - Black próbował załagodzić sprawę. -

To nie te filmy...

Gregorian śmiał się coraz głośniej.

- Zamknij się! - krzyknął Black i spojrzał na Tyrone'a. - Nie wiem, jak to się mogło stać.

- A więc nie wiadomo, gdzie jest nasza rolka? Black ze znużeniem kiwnął głową.

Tyrone sięgnął po telefon.

- Trzeba posprzątać. I to szybko.

- Do kogo pan dzwoni?

- Do człowieka, który to zrobi - odparł Tyrone, wybierając numer. - Savitcha.

Victor niespokojnie przemierzał ciemnozielony dywan w pokoju w motelu na Lombard Street, próbując nakreślić jakiś plan. Jego uporządkowany umysł naukowca zdążył już rozłożyć sytuację na elementy składające się na projekt badawczy. Identyfikacja problemu: Jerry Martinique natrafił na coś niebezpiecznego i został z tego powodu wyeliminowany. Teraz uważają, że to ja jestem w posiadaniu tej informacji - i dowodów. Których nie posiadam. Cel: nie dać się zabić. Metoda: za cholerną wszelką cenę!

Przez ostatnie dwa dni jego jedyną strategią było ukrywanie się w tanich motelach i wydeptywanie dywanów. Nie może to trwać wiecznie. Jeżeli w sprawę włączyli się agenci federalni, a zapewne tak się stało, to wkrótce wyśledzą obciążenia jego kart kredytowych i ustalą, gdzie go szukać.

Musi zaplanować atak. Zawiadomienie FBI nie wchodzi w rachubę. Victor skontaktował się wcześniej z agentem Samem Polowskim, który zaaranżował spotkanie w Garberville. Nikt inny nie mógł o nim wiedzieć. Sam Polowski się nie zjawił, ale za to znalazł się ktoś inny. Bolące ramię Victora przez cały czas przypominało mu o tym niemalże fatalnym spotkaniu.

Mógłby pójść do gazet, ale jak przekonać sceptycznego reportera?

Kto uwierzy w jego historyjkę o projekcie tak niebezpiecznym, że mógłby zabić miliony? Pomyśleliby, że jego opowieść to wymysł paranoika.

Podszedł do telewizora i włączył go na wiadomości. Idealnie uczesana prezenterka uśmiechała się z ekranu, czytając coś o szczęśliwych dzieciach i feriach świątecznych. Nagle spoważniała.

Victor popatrzył na ekran, kiedy podano następną wiadomość.

- W Garberville w Kalifornii nie odnotowano żadnego postępu w śledztwie w sprawie kobiety, którą znaleziono zamordowaną w środę rano. Odwiedzająca ją koleżanka znalazła Sarah Boylan, lat 39, leżącą na podjeździe z ranami kłutymi w okolicach szyi. Ofiara była w piątym miesiącu ciąży. Policja mówi, że jest zaskoczona brakiem motywu tej strasznej zbrodni i w chwili obecnej nie ma żadnych podejrzanych. A teraz wiadomości krajowe...

Nie, nie, nie! - pomyślał Victor. Nie była w ciąży. Nie miała na imię Sarah. To pomyłka...

A może?

Mam na imię Catherine, powiedziała mu. Catherine Weaver. Tak, był pewien, że tak się nazywała. Będzie o tym pamiętał aż do śmierci.

Usiadł na łóżku, bo fakty wirowały w jego mózgu. Sarah. Cathy.

Morderstwo w Garberville.

W końcu podniósł się, bo zaczęła narastać w nim panika. Złapał hotelową książkę telefoniczną i poszukał litery W. Teraz już rozumiał. Zabójca się pomylił. Jeżeli Cathy Weaver jeszcze żyje, to może mieć

ten film - albo wiedzieć, gdzie się znajduje. Musi ją odnaleźć.

Zanim znajdzie ją ktoś inny.

Nic nie mogło przygotować Cathy na tę straszną depresję, która ogarnęła ją po powrocie do mieszkania w San Francisco. Myślała, że tamtej nocy w motelu w Garberville wypłakała już wszystkie łzy po śmierci Sarah, ale tutaj też wybuchała nagle płaczem, a potem pogrążyła się w ponurych medytacjach. Dlaczego Sarah?

Spróbowała się rozpakować, a potem zajrzała do lodówki i zobaczyła, że półki są praktycznie puste. To dobra wymówka, by uciec z domu. Włożyła sweter i czując się jak ścigane zwierzę, poszła cztery przecznice dalej do sklepu spożywczego. Kupiła tylko chleb, jajka i owoce. Wystarczy jej na kilka dni, dopóki nie stanie na nogi i nie zacznie myśleć jasno, chociażby o jedzeniu.

Niosąc w obu rękach torby, wracała do mieszkania. Wieczór był chłodny i żałowała, że nie włożyła kurtki. Przez otwarte okno jakaś kobieta zawołała: „Kolacja!” i dwoje dzieci grających na ulicy w piłkę pobiegło do domu.

Kiedy dotarła do swojego budynku, drżała z zimna, a ręce bolały ją od ciężaru zakupów. Wdrapała się po schodach i podtrzymując biodrem jedną z toreb, z trudnością wyjęła klucze. Gdy znalazła się w drzwiach, usłyszała kroki, a potem spostrzegła z boku jakiś ruch. Ktoś ją wepchnął do środka. Torba wypadła jej z ręki, jabłka się rozsypały. Potknęła się i chwyciła za drewnianą balustradę. Drzwi się zatrzasnęły. Odwróciła się, gotowa walczyć z napastnikiem. Victor

Holland.

- To ty! - powiedziała zdumiona.

Ale on nie był pewien, czy to ona. Z niepokojem przyglądał się jej twarzy, jak gdyby szukał w niej potwierdzenia, że znalazł właściwą kobietę.

- Cathy Weaver?

- Co ty wyprawiasz?

- Które jest twoje mieszkanie? - przerwał jej.

- Słucham?

- Nie możemy tutaj stać.

- Na górze...

- Chodźmy. - Chciał schwycić ją za ramię, ale się cofnęła.

- Moje zakupy - powiedziała, patrząc na rozsypane jabłka.

Szybko pozbierał owoce, wrzucił je do torby i popchnął ją w kierunku schodów.

- Nie mamy dużo czasu.

- Panie Holland, niech mi pan powie, o co w tym wszystkim chodzi, albo nie zrobię ani kroku dalej!

- Daj mi klucze.

- Nie możesz tak po prostu...

- Daj mi klucze!

Wpatrywała się w niego, zszokowana jego rozkazującym tonem.

Nagle zdała sobie sprawę, że w jego oczach widzi panikę. To są oczy człowieka ściganego.

Jak automat podała mu klucze.

- Zaczekaj tu - powiedział. - Sprawdzę mieszkanie.

Obserwowała w zdumieniu, jak przekręca klucz w zamku i ostrożnie wsuwa się do środka. Nie jest duże, więc dlaczego zajmuje mu to tyle czasu?

Powoli podeszła do drzwi. Kiedy się przy nich znalazła, wystawił przez nie głowę.

- W porządku. Możesz wejść - oznajmił.

Gdy przekroczyła próg, przekręcił w zamku klucz, okrążył salon i zaciągnął zasłony.

- Czy możesz mi powiedzieć, o co chodzi? - zapytała.

- Jesteśmy w niebezpieczeństwie.

- To znaczy ty jesteś w niebezpieczeństwie.

- Nie. Miałem na myśli nas oboje. - Zwrócił się do niej i popatrzył jej prosto w oczy. - Masz ten film?

- O czym ty mówisz?

- Rolka filmu. Trzydziestka piątka. W czarnym plastikowym pojemniku. Masz ją?

Milczała, ale w jej pamięci pojawił się obraz nocy u Sarah: rolka filmu na kuchennym blacie. Myślały, że film należy do Hickeya.

Włożyła go do kieszeni szlafroka, a potem do torebki. Ale nie miała zamiaru tego ujawniać, dopóki się nie dowie, dlaczego Victorowi tak na nim zależy. Popatrzyła na niego obojętnie, jakby nie wiedziała, o czym mówi.

Sfrustrowany zaczął od początku.

- Tej nocy, kiedy mnie znalazłaś... na szosie... miałem go w kieszeni. Kiedy się obudziłem w szpitalu, już go nie było. Mógł mi wypaść u ciebie w samochodzie.

- Po co ci ten film?

- Potrzebuję go. To dowód...

- Na co?

- Za długo by tłumaczyć. Wzruszyła ramionami.

- W tej chwili nie mam nic lepszego do roboty...

- Cholera jasna! - Podszedł do niej i chwycił ją za ramiona. - Nie rozumiesz? Dlatego zabito twoją przyjaciółkę! Tej nocy, kiedy włamali się do twojego samochodu, szukali tego filmu!

Na jej twarzy pojawił się wyraz nagłego zrozumienia i przerażenia.

- Sarah...

- Znalazła się w niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu.

Zabójca musiał pomyśleć, że to ty.

Cathy poczuła się osaczona. I zagrożona tą prawdą, przed którą nie było ucieczki. Poczwała, że nogi ma jak z waty. Opadła na najbliższe krzesło i siedziała tam otępiała.

- Musisz stąd uciekać, zanim się domyślą prawdy. Nie poruszyła się. Nie mogła się ruszyć.

- Cathy, posłuchaj mnie. Nie ma dużo czasu!

- Co było na tym filmie? - zapytała cicho.

- Już ci mówiłem. Dowody. Przeciwno firmie Viratek. Przez jej

twarz przemknął cień.

- Czy... czy to nie firma, w której pracujesz?

- Pracowałem.

- Czym się zajmuje?

- Jest zamieszana w pewien nielegalny projekt badawczy. Nie mogę podać ci szczegółów.

- Dlaczego nie?

- Bo sam ich nie znam. To nie ja zebrałem dowody. Kolega... przyjaciel... przekazał mi je, zanim go zabito.

- Co to znaczy, zabito?

- Policja stwierdziła, że to wypadek. Ja uważam, że było inaczej.

- Chcesz powiedzieć, że został zamordowany z powodu projektu badawczego? Musiał pracować nad czymś bardzo niebezpiecznym.

- Wiem tylko tyle, że dotyczy to broni biologicznej. Co czyni te badania nielegalnymi. I niezwykle niebezpiecznymi.

- Broń? Dla jakiego rządu?

- Naszego.

- Nie rozumiem. Jeżeli jest to projekt federalny, to badania są legalne, prawda?

- Nie do końca. Ludzie na wysokich stanowiskach znani są z łamania zasad.

- O jakich stanowiskach mówimy?

- Tego nie wiem. Nie mam pewności co do nikogo. Ani policji,

ani Departamentu Sprawiedliwości. Nawet FBI.

Zmarszczyła czoło. To, co usłyszała, brzmi jak zwierzenia paranoika. Ale głos - i oczy - są przytomne. Zielone jak morska woda. Była w nich uczciwość i jakaś pewność, które sprawiły, że im zawierzyła.

No, nie do końca.

- Chcesz powiedzieć, że szuka cię FBI. Mam rację? W jego oczach zapalił się nagły gniew, który potem zgasł tak szybko, jak się pojawił. Jęknął i osunął się na kanapę.

- Nie mam do ciebie pretensji o to, że uważasz mnie za wariata.

Czasami sam się zastanawiam, czy nim nie jestem. Pomyślałem, że jeżeli mogę komuś zaufać, to tylko tobie...

- Dlaczego mnie?

- Ponieważ ocaliłaś mi życie. I jesteś następną osobą, którą spróbują zabić.

Zamarła. Nie, to jest czyste szaleństwo. On chce ją wciągnąć w swoje urojenia, sprawić, aby uwierzyła w jego koszmarny świat. Nie pozwoli na to! Wstała, żeby odejść, ale jego głos zmusił ją, by się zatrzymała.

- Cathy, pomyśl, dlaczego zamordowali Sarah? Bo myśleli, że to ty. Teraz już wiedzą, że zabili niewłaściwą kobietę. Muszą wrócić i wykonać swoją robotę. Na wypadek, gdybyś o czymś wiedziała.

Gdybyś była w posiadaniu dowodu...

- To czyste wariactwo! - zawołała, zasłaniając uszy dłońmi. -

Nikt nie ma zamiaru...

- Już to zrobili! - Wyciągnął z kieszeni wydarty z gazety kawałek zadrukowanego papieru. - Przechodziłem po drodze obok kiosku, to było na pierwszej stronie.

Zdumiona popatrzyła na zdjęcie obcej kobiety w średnim wieku.

„Mieszkanca San Francisco zastrzelona na progu swojego domu”

- głosił towarzyszący fotografii tytuł.

- To nie ma ze mną nic wspólnego - odparła.

- Zobacz, jak się nazywała.

Wzrok Cathy ześliznął się do trzeciego akapitu, w którym zidentyfikowano ofiarę. Nazywała się Catherine Weaver. Strzęp gazety opadł na podłogę.

- W książce telefonicznej San Francisco są trzy Catherine Weaver - dodał Victor. - Tę zastrzelono wczoraj. Nie wiem, co się stało z drugą. Może już nie żyje. Jesteś następna na liście. Mieli dosyć czasu, żeby cię znaleźć.

- Nie było mnie. Wróciłam dopiero godzinę temu.

- I dlatego jeszcze żyjesz. Może byli tu wcześniej. Albo postanowili najpierw załatwić tamte dwie kobiety.

Zerwała się na równe nogi.

- Muszę się spakować...

- Nie. Wynośmy się stąd jak najszybciej. Rób, co ci każe! -

nakazał jej wewnętrzny głos. Kiwnęła głową i skierowała się ślepo w stronę drzwi.

W połowie drogi zatrzymała się.

- Moja torebka...

- Gdzie jest?

Wróciła i przeszła obok zasłoniętego okna.

- Chyba zostawiłam ją obok...

Nie skończyła, bo jej następne słowa przerwał dźwięk

rozpryskującego się szkła. Tylko zasłony uchroniły ją przed

odłamkami. Odruchowo opadła na podłogę, zanim rozległ się drugi

strzał. Sekundę później rzucił się na nią Victor, zasłaniając ją

własnym ciałem, a w przeciwległą ścianę wbiła się trzecia kula,

rozpryskując drewno i kawałki gipsu.

Zasłony drgały jeszcze przez chwilę, a potem wszystko się

uspokoilo. Jeszcze przez moment Cathy paraliżował obłędny strach i

ciężar ciała Victora. Potem wpadła w panikę. Wydostała się spod

niego, by natychmiast uciec.

- Leż! - krzyknął.

- Chcą nas zabić!

- To im nie ułatwiał sprawy! - Pociągnął ją z powrotem na

podłogę. - Wiejemy, ale nie przez frontowe drzwi.

- To jak...

- Gdzie są schody przeciwpożarowe?

- Za oknem sypialni.

- Prowadzą na dach?

- Chyba tak...

- Idziemy.

Na czworakach przedostali się przez hol do ciemnej sypialni. Z zewnątrz nie dochodził żaden hałas. Ale z dołu, od strony głównego wejścia, doszedł ich brzęk tłuczonego szkła.

- Są już w budynku! - syknął Victor i otworzył okno. -

Wychodzimy!

Ręce się jej trzęsły, ale wydostała się na zewnątrz i opuściła na metalowe schodki. Victor był tuż za nią.

- Na górę - powiedział szeptem. - Na dach.

A co potem? - przemknęło jej przez myśl, kiedy wspinała się na drugie piętro, obok mieszkania pani Chang, które było ciemne, a okna miało zamknięte na głucho.

- Dalej - rzucił Victor, popychając ją do przodu. Jeszcze tylko kilka stopni. Podciągnęła się i wdrapała na pokryty papą dach. Chwilę później Victor stanął przy niej.

Przeczołgali się na przeciwległy skraj dachu.

- Idziemy na całość? - zapytała Cathy.

- Na całość.

Skoczyli na dach przyległego budynku i przebiegli na drugą stronę, skąd metr zięjącej pustki dzielił ich od następnego domu.

Cathy nawet się nie zatrzymała, by pomyśleć o niebezpieczeństwach takiego skoku, tylko po prostu rzuciła się przed siebie i biegła dalej.

Na dachu czwartego budynku przystanęła i wyjrzała na ulicę.

Koniec drogi. Teraz zrozumiała, jak duża wysokość dzieli ich od

ziemi. Schody przeciwpożarowe wyglądały tak solidnie, jakby były zbudowane z klocków lego.

Przełknęła ślinę.

- Może to nie jest dobry moment, ale muszę ci powiedzieć...

- Co?

- Mam lęk wysokości.

- To nie patrz w dół.

Słusznie, pomyślała, schodząc na drabinkę. Dłonie miała tak spocone, że z trudem trzymała się szczebli. Nagle zakręciło się jej w głowie i zamarła, przywierając całym ciałem do chybotliwego stalowego szkieletu.

- Nie zatrzymuj się! - wyszeptał Victor. - Schodź! Oparła twarz o metalowy schodek i poczuła, że ostra krawędź wbija się jej w ciało.

- Cathy, dasz radę! Dalej.

Ogarnął ją przejmujący ból, który zablokował zawroty głowy, a nawet strach. Kiedy znowu otworzyła oczy, świat wokół niej się ustabilizował. Na miękkich nogach zeszła po drabince, zatrzymawszy się tylko na drugim piętrze, by wytrzeć spocone dłonie o dzinsy. Szła dalej, na podest pierwszego piętra. Od ziemi dzieliło ją jeszcze jakieś pięć metrów. Otworzyła ostatni składany segment drabinki i zaczęła opuszczać go na ziemię, ale tak zaskrzypiał, że Victor natychmiast ją powstrzymał.

- Za głośno. Skaczemy!

- Ale...

- Chodź! - syknął z dołu, bo skoczył bez wahania. - Nie jest tak

wysoko. Złapię cię.

Modląc się pod nosem, opuściła się na sam brzeg podestu i

skoczyła. Victor złapał ją, ale przytrzymał tylko przez chwilę. Z

powodu rany od kuli ramię było nadal słabe. Oboje przewrócili się na

ziemię. Łądując na nim, znalazła się na jego biodrach, a ich twarze

dzieliło kilka centymetrów. Przyjrzeni się sobie, tak zaskoczeni tą

sytuacją, że nie mogli złapać oddechu.

Gdzieś na górze otworzyło się okno i ktoś krzyknął:

- Chuligani! Zjeżdżajcie stąd, bo zawołam policję! Cathy

natychmiast zsunęła się z Victora i wpadła na

kubel ze śmieciami. Uderzająca o chodnik pokrywa zadudniła

niczym gong.

- I to by było na tyle, jeżeli chodzi o przerwę na odpoczynek -

stęknął Victor. - Ruszaj się.

Skręcili w boczną alejkę i biegli przed siebie przez następnych

pięć przecznic, aż w końcu zatrzymali się, aby zaczerpnąć powietrza.

Spojrzeni za siebie.

Ulica była pusta. Są bezpieczni!

Nicholas Savitch stał przy starannie zaścielonym łóżku i

badawczo przyglądał się pokojowi. To sypialnia kobiety. W szafie

wisiało kilka prostych, ale eleganckich sukien, na toaletce stały słodko

pachnące pudry oraz płyny. Wystarczyło się rozejrzeć, by dowiedzieć

się wiele o kobiecie, która tu mieszkała. Była szczupła i nosiła rozmiar

trzydzieści sześć, buty numer pięć. Włosy na szczotce były koloru brązowego i sięgały jej do ramion. Nie miała dużo biżuterii i lubiła perfumy o naturalnym zapachu, wodę różaną i lawendę. Jej ulubionym kolorem była zieleń.

Wrócił do salonu i nadal zbierał informacje. Prenumeruje hollywoodzkie pisma branżowe. Zarówno jej gust muzyczny, jak i dobór lektur, są dość eklektyczne. Zauważył kawałek gazety leżący na podłodze. Podniósł go i spojrzał na artykuł. Interesujące. Śmierć pierwszej Catherine Weaver nie pozostała niezauważona przez Catherine Weaver numer trzy.

Schował papier do kieszeni, a potem zobaczył torebkę leżącą na podłodze obok wybitego okna.

Strzał w dziesiątkę.

Wysypał jej zawartość na stolik przy kanapie. Portfel, książeczka czekowa, drobne i notesik z adresami. Otworzył go na literze B. Tam znalazł nazwisko, którego szukał: Sarah Boylan. Teraz już wiedział, że to ta Catherine Weaver. Co za strata czasu na tamte dwie.

Przerzucił kartki i zauważył kilka adresów w San Francisco. Tym razem mu uciekła, ale ukrywanie się to już inna sprawa. A ten mały notesik z adresami przyjaciół, krewnych i znajomych zaprowadzi go prosto do niej. Gdzieś z oddali doszło go wycie syreny policyjnej.

Trzeba się zbierać. Savitch wziął notesik i portfel kobiety, po czym ruszył w stronę drzwi.

Mógł sobie pozwolić na to, by się nie spieszyć. Ale dla Catherine

i Victora czas się kończył.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Nie było czasu na odpoczynek. Przebiegli wolniej sześć następnych przecznic, a Cathy się zdawało, że pokonują całe kilometry. Victor poruszał się lekko, prowadząc ją bocznymi ulicami i unikając większych skrzyżowań. To on myślał i wybierał kierunek. Jej strach powoli przerodził się w ośpienie i ogłupiające uczucie nierzeczywistości. Miała wrażenie, że miasto stało się jakimś pejzażem ze snu, niekończącym się labiryntem z betonu i asfaltu. Tylko ten człowiek biegnący tuż przy niej zdawał się istnieć naprawdę. Też się bał, ale nie widziała jego strachu.

Schwycił ją za rękę.

- Na tej ulicy jest chyba posterunek policji - powiedziała. - Jedną czy dwie przecznice dalej...

- Nie idziemy na policję.

- Co? - Stanęła jak wryta.

- Muszę najpierw to wszystko przemyśleć.

- Ktoś próbuje nas zabić, a ty chcesz myśleć?

- Słuchaj, nie możemy stać tu i dyskutować. Chodźmy. Mam pokój. To tylko kilka przecznic stąd.

Pozwoliła mu pociągnąć się przez kilka metrów, zanim zebrała w sobie siły, by się uwolnić.

- Zaczekaj chwilę.

- Na co? Na następne kule? Wszystko ci wytłumaczę. Jak już

będziemy bezpieczni.

Cofnęła się o krok.

- Dlaczego boisz się policji?

- Nie mam do niej zaufania.

- Czy masz powód, żeby się jej bać? Co zrobiłeś? Dwoma

krokami zamknął dzielącą ich przestrzeń i chwycił ją mocno za ramiona.

- Przed chwilą wyciągnąłem cię ze śmiertelnej pułapki, prawda?

Strzały padły przez twoje okno, nie moje!

- Ale może były przeznaczone dla ciebie!

- Dobrze! Chcesz spróbować sama? Proszę. Może policja ci pomoże. Ja nie mogę ryzykować.

- Puścisz mnie?

- Nie jesteś moim więźniem.

- Nie. - Nabrała powietrza i spojrzała w stronę posterunku. - Tak nakazuje rozsądek - mruknęła. - Przecież po to są.

- Racja.

- Będą zadawać mnóstwo pytań.

- Co masz zamiar im powiedzieć?

Wytrzymała jego wzrok, nie spuszczając oczu.

- Prawdę.

- Która w najlepszym wypadku będzie niekompletna. A w najgorszym, niewiarygodna.

- Całe mieszkanie mam zasypane szkłem. Czy to nie dowód?

- Strzelano z jadącego samochodu. To zupełnie przypadkowy atak.

- Ich obowiązkiem jest zapewnić mi bezpieczeństwo.

- A jeżeli uznają, że nie potrzebujesz ochrony?

- Powiem im o Sarah.

- Mogą cię potraktować poważnie, ale nie muszą.

- Muszą! Ktoś próbuje mnie zabić!

Jej przenikliwy i ostry od desperacji głos zdawał się nieść echem w labiryncie ulic.

- Wiem - rzekł ze spokojem.

- A ty co zrobisz? - zapytała.

- Nic. Zostanę sam. Odeszła na dwa kroki.

- Victorze?

- Jeszcze tu jestem.

- Uratowałeś mi życie. Dziękuję.

Nie zareagował. Usłyszała, jak odchodzi. Stała tam, zastanawiając się, czy dobrze robi. Oczywiście, że tak. Człowiek, który boi się policji - i opowiada taką paranoiczną historyjkę - musi być groźny.

Ale uratował mi życie. A przedtem, tej deszczowej nocy w

Garberville, ona uratowała jego życie.

Wydarzenia ostatniego tygodnia przesunęły się jej przed oczami.

Zabójstwo Sarah, dotąd niewyjaśnione. Ta druga Catherine Weaver, zastrzelona na schodach przed domem. Pojemnik z filmem, który

Sarah przyniosła z jej samochodu...

Kroki Victora ucichły. Zdała sobie sprawę, że straciła jedyne
człowieka, który mógłby jej pomóc znaleźć odpowiedzi na te pytania.

Jedynego człowieka, który ją wsparł i któremu, wiedziona jakąś
przedziwną intuicją, mogłaby zaufać. Patrząc teraz na wyludnioną
ulicę, poczuła się opuszczona i pozbawiona przyjaźni. W nagłej
panice odwróciła się i zawołała:

- Victor!

Jakaś postać zatrzymała się przy następnej przecznicy i
odwróciła. Wydało się jej, że jest on bezpieczną wysepką na tym
zwariowanym groźnym oceanie, jakim jest świat. Ruszyła w jego
stronę, pragnąc jak najszybciej schronić się w jego ramionach.

Ramiona, które ją przygarnęły i powitały, wcale nie były obce. Czują
bicie jego serca, dłonie na swoich plecach, i coś mówiło jej, że można
na nim polegać.

- Jestem tutaj - rzekł półgłosem.

Gładził jej potargane wiatrem włosy, jego palce utonęły w
splątanych pasmach. Poczwała na twarzy ciepło jego oddechu, a zaraz
potem jego usta zaczęły ją całować. Odpowiedziała pocałunkiem
równie pełnym desperacji. Chociaż go nie znała, to mogła na nim
polegać przedtem i teraz, bo jego ramiona osłaniały ją przed całym
złem tej nocy. Ukryła twarz na piersi Victora, pragnąc wtulić się w
niego jeszcze głębiej.

- Tak się boję, że nie wiem, co mam robić...

- Zastanowimy się nad tym razem, dobrze? - Ujął jej twarz. - Ty i

ja razem damy sobie z tym radę.

Kiwnęła głową. Patrząc mu w oczy, odnalazła wszystkie zapewnienia, których potrzebowała. Zadrżała, bo przez ulicę przetoczył się silny wiatr.

- Od czego zaczniemy? - zapytała szeptem.

- Najpierw - zdjął z siebie kurtkę i narzucił jej na ramiona - cię rozgrzejemy. Gorąca kąpiel, dobra kolacja, i znowu będziesz działać na pełnych obrotach.

Jeszcze pięć przecznic i znaleźli się w motelu Kon Tiki. Był bezbarwny i anonimowy. Weszli schodami do pokoju 214, wychodzącego na zapełniony tylko w połowie parking. Victor otworzył drzwi i gestem zaprosił ją do środka.

Powiew ciepła na półkach był rozkoszny. Stała na środku tej pozbawionej wdzięku przestrzeni i pomyślała, że dobrze jest się znaleźć w czterech ścianach. Umeblowanie było bardzo skromne: podwójne łóżko, toaletka z komodą, dwa stoliki z lampami i pojedyncze krzesło. Na ścianie wisiała oprawiona fotografia przedstawiająca jakąś bliżej nieokreśloną wyspę na Pacyfiku. Jedyne bagaż stanowiła tania plastikowa torba stojąca na podłodze. Pościel była wygnieciona. Ktoś musiał niedawno w niej leżeć, bo poduszki były jeszcze oparte o wezglowie.

- To nic specjalnego - usprawiedliwił się. - Ale jest ciepło. I jest zapłacony. - Włączył telewizor. - Posłuchajmy lepiej wiadomości.

Może powiedzą coś o tej Weaver.

Ta Weaver, pomyślała. To mogłam być ja. Znowu dostała dreszczy, ale tym razem nie z powodu zimna. Usadowiła się na łóżku i niewidzącym wzrokiem patrzyła na ekran. Victor sprawdził okna, pogrzebał przy zamku w drzwiach. Poruszał się spokojnie, w ciszy, która świadczyła tylko o niebezpieczeństwie, w jakim się znaleźli.

Większość znanych jej mężczyzn w sytuacji podbramkowej gadała jak nakręcona, Victor zaś po prostu się wyciszał.

Zbliżył się do niej i kiedy wziął ją za rękę, drgnęła. Odwrócił ją wnętrzem do góry i przyjrzał im się. Spojrzała w dół i zobaczyła zadrapania, płatki rdzy z drabinki pożarowej wżarte w skórę.

- Chyba wyglądam okropnie. Uśmiechnął się i pogładził ją po twarzy.

- Przyda ci się kąpiel. Zamówię coś do jedzenia. Poszła do łazienki i przez zamknięte drzwi słyszała szum telewizora i głos Victora zamawiającego przez telefon pizzę. Puściła gorącą wodę na swoje zimne zgrabiące ręce. W lustrze nad umywalką zobaczyła, jak okropnie wygląda: rozczochrane włosy, brudne policzki. Umyła twarz, przywracając lodowatej skórze krążenie i dając jej nowe życie.

Na obudowie umywalki zauważyła brzytwę Victora. Widok tego ostrza ukazał jej sytuację w nowym świetle. Podniosła je, myśląc jednocześnie o tym, jak śmiertelne stanowi zagrożenie i w jak niebezpiecznej pozycji ją to stawia. Victor jest postawny, ma przynajmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu i silne ramiona. Ona była

drobna i w porównaniu z nim słaba. W pokoju znajduje się tylko jedno łóżko. Przyszła tu z własnej woli. Co sobie o niej pomyśli? Że nadaje się na ofiarę? Pomyślała o różnych sposobach, w jakie mógł ją skrzywdzić, zabić. Nie potrzeba brzytwy, by to zrobić.

Co ja tu robię, zastanowiła się. Spędzam noc z człowiekiem, którego prawie nie znam? To nie jest dobry moment na wątpliwości.

Podjęła decyzję. Musi kierować się intuicją, a ta mówiła jej, że Victor jej nie zawiedzie. Zdecydowanym ruchem odłożyła brzytwę.

W pokoju trzasnęły drzwi. Wyszedł?

Uchyliła drzwi. Telewizor był włączony, ale Victor zniknął. Gdy wyszła z łazienki i okazało się, że jest sama, zaczęła krążyć po pokoju, szukając czegoś, co powiedziałoby jej coś więcej o tym człowieku.

Ale szuflady komody były puste, tak jak i szafa. Najwyraźniej nie zajął tego pokoju na długo. Zaplanował tylko jedną noc, może dwie.

Zajrzała do plastikowej torby i znalazła czyste skarpetki, nieotwarte jeszcze opakowanie z bielizną i „San Francisco Chronicle” z

poprzedniego dnia. Dowiedziała się tylko tyle, że mężczyzna ma dostęp do najświeższych informacji i że nie lubi podróżować z dużym bagażem.

Jak ktoś, kto ucieka.

Pogrzebała głębiej i znalazła wydruk z bankomatu. Wczoraj próbował wyjąć pieniądze. Maszyna powiadomiła go, że nie może zrealizować transakcji i że powinien skontaktować się ze swoim bankiem. Dlaczego odmówiono mu wypłaty? Debet? Awaria

bankomatu?

Dźwięk klucza obracanego w zamku zupełnie ją zaskoczył.

Podniosła wzrok, kiedy drzwi się otworzyły.

Spojrzenie, jakie jej rzucił, sprawiło, że się zaczerwieniła. Wstała, nie mogąc znieść widoku oskarżenia w jego oczach. Drzwi same się za nim zatrzasnęły.

- Myślę, że to, co robisz, jest rozsądne - zauważył. - Że przeszukujesz moje rzeczy.

- Przepraszam. Chciałam tylko... dowiedzieć się o tobie czegoś więcej.

- I jakich strasznych spraw się dokopałaś?

- Niczego nie znalazłam!

- Żadnych ciemnych sekretów? Nie bój się, Cathy. Powiedz mi.

- Tylko to, że nie mogłaś podjąć gotówki z konta. Kiwnął głową.

- To strasznie frustrujące. Powinienem mieć na koncie około sześciu tysięcy dolarów, a nie mogę ich ruszyć.

- Usiadł na krześle, nie przestając się jej przyglądać.

- Czego jeszcze się dowiedziałaś?

- Czytałaś... czytałaś gazetę.

- Jak wielu ludzi. Co jeszcze?

- Nosisz bokserki.

- To bardzo osobista uwaga - zauważył z rozbawieniem.

- Uciekasz przed kimś...

Patrzył na nią bez słowa przez dłuższy czas.

- Dlatego nie chcesz iść na policję - dodała. - Tak? Odwrócił

głowę i popatrzył na ścianę.

- Mam powody.

- Podaj mi chociaż jeden, Victor. Jeden dobry powód, a potem już się zamknę.

- Wątpię - rzekł z westchnieniem.

- Sprawdź mnie. Mam powody, żeby ci wierzyć.

- Masz wszelkie powody, aby uznać mnie za paranoika. Boże, czasami myślę, że tak jest naprawdę.

Podeszła do niego i uklękła obok krzesła.

- Ci ludzie, którzy próbują mnie zabić, kim oni są?

- Nie wiem.

- Powiedziałeś, że mogą tu być wmieszane osoby na wysokich stanowiskach.

- Tylko się domyślam. Fundusze federalne idą na nielegalne badania, które mogą nieść za sobą śmierć.

- A federalne pieniądze muszą być przyznawane przez kogoś, kto ma władzę.

Potwierdził skinieniem głowy.

- To ktoś, kto nagina przepisy. Ktoś, komu zaszkodzi skandal polityczny. Może próbować się przed tym ochronić, manipulując ludźmi z FBI. Nawet lokalną policją. Dlatego nie mogę do nich się zwrócić. Dlatego wyszedłem, żeby zadzwonić.

- Kiedy?

- Jak byłaś w łazience. Z automatu zadzwoniłem na policję. Nie

chcę, żeby ktoś nas namierzył.

- Dopiero mówiłeś, że nie chcesz ich do tego włączać.

- W tej sprawie musiałem zadzwonić. W książce telefonicznej

jest trzecia Cathy Weaver. Pamiętasz?

Trzecia ofiara na liście. Zrobiło jej się nagle słabo i musiała

usiąść na łóżku.

- Co powiedziałaś? - spytała cicho.

-

Że mam powód przypuszczać, że może być w

niebezpieczeństwie. Że nie odbiera telefonu.

- Próbowaleś dzwonić?

- Dwa razy.

- Wysłuchali cię?

- Nie tylko wysłuchali, ale zażądali mojego nazwiska.

Domyśliłem się, że już coś musiało się jej stać. Przerwałem

połączenie i przysnąłem z budki. Rozmowę można namierzyć w kilka

sekund. Mogli mnie złapać.

Nagle oboje zamarli ze strachu. Ktoś stukał do drzwi. Patrzyli na

siebie, a w ich oczach malowała się panika. Po chwili Victor zapytał:

- Kto tam?

- Domino - rozległ się cienki głosik.

Victor ostrożnie otworzył drzwi. W korytarzu stał kilkunastoletni

chłopak trzymający dużą torbę.

- Cześć! Duża pizza z dodatkami i dwie cole.

- Dzięki. - Victor podał chłopakowi parę banknotów. - Reszta dla ciebie - rzekł, zamykając drzwi. - Czasami stukanie do drzwi naprawdę oznacza faceta z pizzerii.

Obydwoje roześmiali się, ale nie z powodu komizmu sytuacji, tylko swego przerażenia. Z twarzy Victora zniknęło napięcie, ostrożność przerodziła się w ciepło.

- Powiem ci coś. Nie myślmy teraz o niczym. Zabierzmy się za to, co ważne. Za jedzenie.

Cathy kiwnęła głową i sięgnęła po pudełko.

- Podaj mi je, bo zaraz zjem kapę z tego cholernego łóżka.

Podczas gdy z telewizora dochodziły wiadomości, oni rzucili się na pizzę jak dwoje wygłodzonych zwierząt. Nie bawili się w żadne konwersacje - byli za bardzo pochłonięci pożeraniem sera i pepperoni.

W telewizji szykowny prezenter ogłaszał przetasowania w biurze burmistrza i rezygnację przewodniczącego rady miejskiej, co w tych okolicznościach wydawało się śmiesznie trywialne.

Dzisiejsze zabójstwo pierwszej Catherine Weaver omówiono w pół minuty, dotąd nikogo w tej sprawie nie zatrzymano. Drugiej ofiary o tym samym imieniu i nazwisku nie wymieniono.

- Wygląda na to, że druga ofiara nie trafiła do wiadomości - rzekł Victor z posępną miną.

- A może drugiej Cathy Weaver nic się nie stało?

Może policja zadawała ci tylko rutynowe pytania? Jeżeli jest się

w stresie, to łatwo...

- Zacząć sobie coś wyobrazać? - Spojrzenie, jakie jej posłał, sprawiło, że omal nie odgryzła sobie języka.

- Nie - odparła. - Niewłaściwie coś zinterpretować. Policja nie może reagować na wszystkie anonimowe telefony. To naturalne, że pytają o nazwisko.

- To było więcej niż pytanie, Cathy. Aż się rwali do tego, żeby mnie przesłuchać.

- Wierzę ci. Kłóczę się tylko tak, dla sportu. Próbuję zachować zdrowy rozsądek w tej zwariowanej sytuacji.

Popatrzył na nią twardym wzrokiem.

- Kobięcy głos rozsądku - westchnął. - Właśnie to, czego teraz najbardziej potrzebuję. Żeby mi przypominał, że mam nie podskakiwać na widok własnego cienia.

- I żebyś nie zapominał o jedzeniu. - Podała mu kolejny kawałek pizzy. - To ty zamówiłeś takiego giganta.

Napięcie pomiędzy nimi nagle wyparowało. Usadowił się na łóżku i wziął od niej trójkąt, który mu podała.

- Do twarzy ci z tymi macierzyńskimi uczuciami - zauważył kpiąco - i z tym sosem od pizzy.

- O czym ty mówisz?

- Wyglądasz jak dwulatek, który pomalował sobie twarz farbami.

- Ojej, możesz mi podać serwetki?

- Pozwól, ja to zrobię. - Pochylił się i delikatnie starł jej sos z podbródka.

Skorzystała z okazji, by się przyjrzeć jego twarzy, zmarszczkom w kącikach oczu tworzącym się od śmiechu i srebrnym pasmom przetykającym ciemne włosy.

Przypomniała sobie zdjęcie tej samej twarzy umieszczone na identyfikatorze firmy Viratek. Wyglądał na nim poważnie, jak prawdziwy naukowiec. Teraz wyglądał na kogoś młodszego, pełnego życia i niemalże szczęśliwego.

Zorientował się, że mu się przygląda, podniósł wzrok i napotkał jej spojrzenie. Jego uśmiech powoli zniknął. Oboje ucichli, jak gdyby zobaczyli w oczach drugiej osoby coś, czego przedtem nie dostrzegli.

Głos z telewizora wtapiał się w tło, dalekie i ponadwymiarowe.

Poczuła, jak palce Victora obrysowują zarys jej policzka.

- Co teraz będzie, Victorze? Co zrobimy?

- Jest kilka opcji.

- Takich jak?

- Mam przyjaciół w Palo Alto. Moglibyśmy poprosić ich o pomoc.

- Albo?

- Albo zostaniemy tutaj. Na jakiś czas.

Tu gdzie teraz. W tym pokoju, na tym łóżku. Nie miała nic przeciwko temu. Pochyliła się w jego stronę, powodowana siłą, której nie potrafiła się przeciwstawić. Dłonie Victora ujęły jej twarz - takie

duże dłonie, a takie nieskończenie delikatne. Zamknęła oczy, bo

wiedziała, że pocałunek też będzie delikatny.

Zakołysała się i poczuła, jak jego ramiona ją oplatają i

przyciągają jak najbliżej. To był niebezpieczny moment. Poczuła, że

znalazła się na krawędzi absolutnego poddania się człowiekowi,

którego prawie nie zna.

Jego pocałunki pieściły jej kark, odkrywając wszystkie

wzniesienia i zagłębienia. Wszystkie pragnienia, uśpione przez

ostatnie lata, cały głód i pożądanie, zdawały się dochodzić teraz do

głosu. I nagle, w jednej sekundzie, magia chwili prysła. W pierwszej

chwili nie zrozumiała, dlaczego Victor tak nagle się odsunął.

Wyprostował się, a na jego twarzy odmalowało się zdumienie.

Zaskoczona powędrowała wzrokiem w kierunku telewizora. Z ekranu

patrzyła na nich niepokojąco znajoma twarz.

Rozpoznała logo Virateku, a na jego tle twarz mężczyzny

patrzącego prosto w oko kamery. Dlaczego, u licha, pokazują

identyfikator Victora Hollanda?

- ...poszukiwany pod zarzutem szpiegostwa przemysłowego.

Dowody łączą doktora Hollanda z zabójstwem innego naukowca z

Virateku, doktora Gerarda Martinique'a. Prowadzący śledztwo

obawiają się, że podejrzany zdołał już sprzedać europejskim

konkurentom firmy obszerne dane dotyczące badań...

Żadne z nich się nie poruszyło. Na ekranie pojawiły się reklamy,

podskakujące rodzyнки obwieszczały światu cuda słonecznej

Kalifornii. Skoczna muzyczka była nie do zniesienia. Victor wstał i zgasił telewizor.

Powoli odwrócił się, aby spojrzeć jej w oczy.

- To nie jest prawda - rzekł spokojnie. - Nic tu nie jest prawdą.

Próbowała coś wyczytać w tych niezgłębionych zielonych oczach, pragnąc desperacko mu uwierzyć. Smak jego pocałunków jeszcze błąkał się na jej wargach. To były pocałunki oszusta? Czy wszystko, o czym mi mówiłeś, jest kłamstwem? Victorze Holland, kim i czym jesteś?

Spojrzała w bok, na telefon stojący na stoliku. Jest tak blisko.

Wystarczy wykręcić numer policji i cały ten koszmar się zakończy.

- Wrabiają mnie. Viratek rozpowszechnia fałszywe wiadomości.

- Po co?

- Żeby mnie zapędzić w kozi róg. Czy można mnie łatwiej znaleźć, niż angażując do pomocy policję?

Powoli zbliżała się do telefonu.

- Nie rób tego, Cathy.

Zamarła, zdziwiona groźbą, która zabrzmiała w jego głosie. On zaś zobaczył w jej oczach strach.

- Proszę, nie dzwoń. Nie zrobię ci krzywdy. Zapewniam cię, że możesz w każdej chwili stąd wyjść, ale najpierw mnie wysłuchaj. Daj mi szansę.

Patrzył jej prosto w oczy. Jego spojrzenie nie uciekało w bok i było absolutnie wiarygodne. No i był tuż obok, przygotowany na to,

by powstrzymać każdy jej ruch. Albo złamać jej rękę, jeżeli zajdzie potrzeba. Nie miała wyboru. Skinęła głową i usiadła z powrotem na łóżku.

Zaczął

wędrówkę po pokoju, wydeptując ścieżkę w brudnozielonej wykładzinie dywanowej.

- To szaleństwo podejrzewać, że go zabiłem. Ja i Jerry byliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Obaj pracowaliśmy w Virateku. Ja w dziale badań nad szczepionkami, on był mikrobiologiem. Specjalizował się w doświadczeniach z wirusami. Pomagaliśmy sobie w trudnych sytuacjach. On przeszedł przez bardzo przykry rozwód, a ja... - Urwał, głos mu zadrżał. - Trzy lata temu straciłem żonę. Białaczka.

A zatem był żonaty. Zdziwiło ją to. Wyglądał na mężczyznę, który był zbyt niezależny, aby kiedykolwiek wypowiedzieć sakramentalne „tak”.

- Jakies dwa miesiące temu - ciągnął - Jerry'ego przeniesiono.

Viratek otrzymał grant na jakiś projekt dla wojska. Badania były tajne, Jerry nie mógł o nich rozmawiać. Ale ja widziałem, że to, co dzieje się w tym laboratorium, nie daje mu spokoju. Powiedział mi tylko: „Nie zdają sobie sprawy z zagrożenia. Nie wiedzą, w co się wpakowali”.

Jerry zajmował się zmianami w genach wirusów. Podejrzewam, że ten projekt miał coś wspólnego z użyciem wirusów do produkcji broni.

Jerry miał pełną świadomość, że taka broń jest nielegalna w świetle prawa międzynarodowego.

- Jeżeli wiedział, że jest nielegalna, to dlaczego brał w tym udział?

- Może na początku nie zdawał sobie sprawy, co było celem tego projektu. Może powiedzieli mu, że to nie przekracza zakresu badań dla celów obronnych. W każdym razie zaniepokoił się na tyle, żeby zrezygnować z pracy. Poszedł aż do szefa, założyciela Virateku. Zagroził, że jeżeli praca nad projektem nie zostanie przerwana, poda wszystko do wiadomości publicznej. Cztery dni później miał wypadek.

W oczach Victora zamigotał gniew.

- Co mu się stało?

- Na poboczu znaleziono rozbity samochód. Jerry nie żył.

Myślałem, że śledztwo wyjaśni wszystkie wątpliwości. To była farsa.

Lokalni gliniarze robili wszystko, co mogli, ale potem pojawił się jakiś federalny „ekspert” od wypadków i przejął sprawę. Powiedział, że Jerry musiał zasnąć za kierownicą. Sprawę zamknięto. Wtedy zdałem sobie sprawę, jak daleko sprawy zaszły. Nie wiedziałem, do kogo z tym pójść, więc zadzwoniłem do FBI w San Francisco.

Powiedziałem im, że mam dowody.

- Masz na myśli film? - spytała Cathy. Victor skinął głową.

- Zanim zginął, Jerry zdążył mi powiedzieć o kopiach dokumentów, które schował w komórce na narzędzia ogrodnicze. Po tym... wypadku pojechałem do jego domu. Był splądrowany. Ale nie chciało im się przeszukać komórki/Dzięki temu zdobyłem dowody,

teczkę z papierami i rolkę filmu. Zaaranżowałem spotkanie z jednym z agentów z San Francisco, facetem o nazwisku Polowski. Wcześniej rozmawiałem z nim kilka razy przez telefon. Zaproponował mi spotkanie w Garberville. Nie chcieliśmy, żeby nas widziano razem, więc umówiliśmy się poza miastem. Pojechałem tam i czekałem. I ktoś się zjawił. Ktoś, kto zepchnął mnie z drogi. - Przerwał na moment i spojrzał jej w oczy. - To było tej nocy, kiedy mnie znalazłaś.

Ta noc odmieniła całe moje życie, pomyślała.

- Musisz mi uwierzyć - dodał.

Przyglądała mu się bacznie, podczas gdy jej intuicja walczyła ze zdrowym rozsądkiem. Opowieść Victora była mało prawdopodobna, zawieszona między prawdą a fantazją. On sam jednak wyglądał na solidnego jak opoka.

Była już tym znużona i kiwnęła tylko głową.

- Wierzę ci, Victorze. Chyba zwariowałam. Albo jestem naiwna.

Ale wierzę.

Łóżko zachwiało się, bo przysiadł obok niej. Nie dotykali się, ale czuła ciepło krążące pomiędzy nimi.

- To wszystko, na czym mi teraz zależy - powiedział. - Żebyś wiedziała w sercu, że mówię prawdę.

- W sercu? - Potrząsnęła głową i roześmiała się.

- Moje serce zawsze słabo znało się na ludziach. Polegam na fakcie, że trzymasz mnie przy życiu. Na fakcie, że kolejna Cathy Weaver już nie żyje...

Pamiętając twarz tamtej kobiety, twarz w gazecie, zaczęła nagle dygotać. To wszystko składa się na straszliwą prawdę. Strzały w jej mieszkaniu, ta druga zamordowana Cathy. I Sarah, biedna Sarah. Łapała powietrze płytkimi oddechami, czując, że zaraz wybuchnie płaczem. Pozwoliła mu wziąć się w ramiona. Ukrył twarz w jej włosach i szeptał słowa otuchy. Zgasił lampę. W ciemnościach tulili się do siebie, takie dwie przerażone dusze połączone w jedno przeciwko groźnemu światu. Cathy poczuła się bezpieczna, przytulona do jego piersi. To jest miejsce, w którym nikt nie może jej skrzywdzić. Znalazła schronienie w ramionach obcego człowieka, ale zapach jego ciała i odgłos bijącego serca zrodziły bliskość.

Zadrżała, gdy dotknął wargami jej czoła. Pieścił jej twarz i szyję, ogrzewając ją palcami. Kiedy jego ręka zbłądziła pod bluzkę, nie zaprotestowała. Wydało się jej naturalne, że ta dłoń znajdzie się na jej piersi. Było to tylko delikatne przypomnienie, że jest bezpieczna.

I okazało się, że jest w niej odpowiedź...

Poczuła mrowienie ogarniające całe ciało. Chciała rozpiąć mu koszulę, ale po ciemku szło jej to niezdarnie. Kiedy w końcu zdołała wsunąć dłoń pod materiał, ich oddechy przyspieszyły. Jeżeli jej intencją miało być igranie z ogniem, to właśnie zapaliła zapałkę.

Usta Victora znalazły się na jej wargach. Głowa Cathy spoczęła na poduszce. Victor patrzył na nią z góry, jak gdyby walczył z pokusą.

- To szaleństwo - wyszeptał.

- Tak, masz rację...

- Wybacz, nie chciałem...

- Ja też nie...

- To dlatego, że jesteś wystraszona. Oboje jesteśmy wystraszeni.

Nie wiemy, co robimy.

- Nie wiemy. - Zamknęła oczy, poczuwszy w oczach łzy. - Masz rację. Ale boję się. Chcę, żebyś mnie objął.

Przygarnął ją do siebie, szepcząc jej imię. Tym razem jego uścisk był delikatny, pozbawiony gorączki pożądania. Cathy oparła głowę na jego piersi. Tak, on ma rację, jest w nim mądrość. Chyba zwariowali, żeby chcieć teraz się kochać. Ogarnął ją spokój. Zwinęła się obok niego w kłębek i poczuła, jak mięśnie jej wiotczeją i ogarnia ją sen. Nawet gdyby spróbowała, to nie mogłaby poruszyć nogami czy rękami. Mogła tylko płynąć swobodnie, jak duch w mroku, gdzieś na ciepłym niebie koloru atramentu.

Jak przez mgłę uświadomiła sobie nagle, że za zamkniętymi powiekami przesunęło się światło.

Ciepło ogarniające jej ciało zdawało się uchodzić. Nie! Pragnęła znowu się w nim pogрузić! Chwilę później poczuła, jak Victor nią potrząsa.

- Cathy. Obudź się!

- Victor? - Raptownie przytomniejąc, szukała jego twarzy.

- Na ulicy coś się dzieje.

Wyskoczyła z łóżka i podbiegła z nim do okna. Przez szparę w zasłonie zobaczyła zaparkowany przy recepcji wóz policyjny, z

którego dochodził cichy odgłos trzeszczącego radia. Obudziła się na dobre, zastanawiając się, jak opuścić pokój. Wyjście było tylko jedno.

- Idziemy, już! Zanim wpadniemy w pułapkę. Otworzył drzwi i

wyszli na dwór. Lodowate powietrze

uderzyło ją w twarz. Już i tak dygotała, bardziej ze strachu niż z

zimna. Pochylając się, biegli wzdłuż balkonu otaczającego budynek. Z

dołu usłyszeli, jak drzwi do recepcji otwierają się, a potem doszły do

nich słowa kierownika motelu:

- Tak, na górze. A wyglądał na takiego sympatycznego faceta...

Zapisały opony, bo pod motel podjechał drugi radiowóz.

- Teraz! - szepnął Victor i ją popchnął.

Wpadli pod wiatę pomiędzy budynkami i przedostali się na drugą

stronę. Nie było tu schodów! Wspięli się na balustradę i zeskoczyli na

parking. Z oddali doszedł ich odgłos walenia w drzwi, a potem rozkaz:

- Otwierać! Policja!

Instynktownie rzucili się w stronę zarośli. Nikt ich nie widział,

nikt nie gonił. Mimo to biegli przed siebie, najpierw za budynki

należące do motelu, potem za następne zabudowania, aż ze zmęczenia

zaczęli się potykać. W końcu Cathy przystanęła i oparła się o jakieś

drzwi, oddychając z trudem.

- Jak oni cię znaleźli? - spytała pomiędzy jednym a drugim

urywanym haustem powietrza.

- To nie mogła być ta rozmowa... - Jęknął nagle. - Karta

kredytowa! Zapłaciłem nią rachunek.

- Dokąd teraz? Spróbujemy w innym motelu? Potrząsnął przecząco głową.

- Mam już tylko czterdzieści dolarów. Nie mogę znowu ryzykować i użyć karty.

- A ja zostawiłam torebkę w domu. Nie chciałabym tam wracać...

- Nawet nie możesz. Twoje mieszkanie jest obserwowane.

- Jesteśmy splukani - zauważyła bezradnie. Milczał. Stał z rękami w kieszeniach, sfrustrowany.

- Masz przyjaciół, do których mogłabyś pójść?

- Co bym im powiedziała? Jak bym wytłumaczyła twoją obecność?

- To prawda. Nie możemy odpowiadać na pytania. Nie mamy dokąd pójść, pomyślała. Chyba że... Obiecała sobie, że nigdy nie poniży się i nie poprosi o pomoc z tego źródła.

Victor popatrzył przed siebie, na ulicę.

- Tam jest przystanek autobusowy. - Sięgnął do kieszeni i wyjął garść pieniędzy. - Weź to i wyjedź z miasta. Odwiedź kogoś ze znajomych.

- A ty?

- Dam sobie radę.

- Bez pieniędzy? Ścigany przez wszystkich?

- Moja obecność tylko spowoduje większe zagrożenie dla ciebie.

- Wcisnął jej pieniądze do ręki.

Popatrzyła na zwitek banknotów i pomyślała, że dał jej wszystko,

co miał.

- Nie mogę - odparła.

- Musisz.

Wyraz jego oczu nie pozostawiał jej wyboru. Z ociąganiem

zaciśnęła palce na pieniądzach.

- Victorze?

Uciszył ją jednym spojrzeniem. Położył ręce na jej ramionach i

popatrzył głęboko w oczy.

- Wszystko będzie w porządku. - Potem pocałował ją w czubek

głowy. Na chwilę jego wargi zatrzymały się, a ciepło jego oddechu we

włosach sprawiło, że zadrżała.

- Nie zostawiałbym cię, gdybym nie uważał, że tak będzie lepiej.

Słyszac warkot autobusu, obydwójce się odwrócili.

- A oto twoja limuzyna, Cathy - powiedział szeptem Victor. -

Jedź i uważaj na siebie.

Ruszyła do przystanku. Trzy kroki, cztery. Zwolniła i przystanęła.

Obejrzała się, ale on już skrył się w cieniu.

- Wsiadaj! - zawołał.

- Znam jedno miejsce! Możemy się tam zatrzymać oboje! -

zawołała.

- Co?

- Nie chciałam z niego korzystać, ale...

Słowa jej utonęły w hałasie spowodowanym hamowaniem

autobusu, który podjechał na przystanek, a potem z rykiem silnika

ruszył.

- To dłuższy spacer, ale dostaniemy łóżka i jedzenie. I

gwarantuję, że nikt nie zadzwoni na policję.

Wyszedł z cienia.

- Dlaczego nie pomyślałaś o tym wcześniej?

- Pomyślałam. Ale aż do tej chwili nie było... takiej palącej potrzeby.

- Palącej potrzeby. - Przysunął się bliżej, na jego twarzy odmalowało się niedowierzanie. - Mogłabyś mi powiedzieć, co właściwie uznałabyś za palącą potrzebę?

- Musisz zrozumieć, że to jest ostateczność. Nie jest mi łatwo prosić o pomoc w tamtym miejscu.

- Co masz na myśli? Noclegownię?

- Nie, to w Pacific Heights. Można nawet nazwać ten dom pałacykiem.

- Kto tam mieszka? Jakiś twój przyjaciel?

- Przeciwnie.

Brwi Victora uniosły się w zdziwieniu.

- Mój były mąż.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Jack, otwórz! Jack! - Cathy waliła w drzwi wspaniałego domu

w Pacific Heights. Nikt nie otwierał, w oknach było ciemno. - Szlag

by cię trafił! - Powodowana frustracją kopnęła z całej siły w drzwi. -

Dlaczego nigdy cię nie ma, kiedy jesteś mi potrzebny?

Victor rozejrzał się po sąsiednich eleganckich posesjach otoczonych wypielęgnowanymi ogrodami.

- Nie możemy stać tutaj przez całą noc.

- I nie będziemy - mruknęła. Uklękła i zaczęła grzebać w ceramicznej donicy.

- Co robisz?

- Coś, czego przysięgałam sobie nie zrobić nigdy. - Przesiewała w palcach torfową ziemię, szukając zapasowego klucza, który Jack ukrywał pod pelargoniami. No i rzeczywiście, był tam gdzie zawsze.

Wstała i otrzepała ręce. - Ale moja duma też ma swoje granice.

Zagrozenie śmiercią jest jedną z nich.

Włożyła klucz do zamka i wpadła w panikę, bo nie chciał się przekręcić, ale po chwili zamek poddał się. Drzwi się otworzyły. W ciemnościach powitał ich błysk wypolerowanej podłogi i masywnych poręczy.

Pokazała Victorowi gestem, że ma wejść. Solidne drzwi zamknęły się za nimi z hukiem, jak gdyby chciały ich odciąć od wszystkich zagrożeń tej nocy.

Oboje westchnęli z ulgą.

- W jakich jesteś stosunkach ze swoim byłym? - zapytał Victor, idąc za nią ostrożnie przez nieoświetlony hol.

- Rozmawiamy. Czasami.

- Nie ma nic przeciwko temu, że łazisz mu po domu?

- A co mu to przeszkadza? Połowa rodzaju ludzkiego łązi mu po

sypialni.

Znalazła drogę przez ciemny salon i zapaliła światło. A potem zamarła na widok dwóch nagich ciał splecionych ze sobą na leżącej na podłodze niedźwiedziej skórze.

- Jack! - zawołała.

- Cześć, Cathy! - Jack usiadł, przeczesał palcami włosy i uśmiechnął się. - Jak za dawnych lat.

Kobieta leżąca obok niego powiedziała coś niecenzuralnego i pobiegła do sypialni, otoczona aureolą rozwichrzonych rudych włosów.

- To jest Lulu - ziewnął Jack, nie zapominając o przedstawieniu swojego gościa.

Cathy westchnęła.

- Widzę, że twój gust się nie poprawił.

- Nie, moja droga. Mój gust osiągnął szczyty wtedy, kiedy ożeniłem się z tobą. - Nie zwracając uwagi na swą nagość, wstał i przyjrzał się Victorowi.

Kontrast pomiędzy tymi dwoma mężczyznami był widoczny.

Chociaż obydwaj byli wysocy i szczupli, to - Jack był uderzająco przystojny, i dobrze o tym wiedział.

- Widzę, że przyprowadziłaś czwartego. - Jack zlustrował Victora wzrokiem - Brydż czy poker?

- Ani jedno, ani drugie - odparła Cathy.

- To otwiera przed nami wiele możliwości.

- Jack, potrzebuję twojej pomocy. Spojrzał na nią z kpiącym niedowierzaniem.

- No nie!

- Wiesz dobrze, że nie byłoby mnie tutaj, gdybym mogła tego uniknąć!

Jack mrugnął do Victora.

- Nie wierz jej. Ona wciąż jest we mnie śmiertelnie zakochana.

- Możemy porozmawiać poważnie?

- Kochanie, nigdy nie miałaś poczucia humoru.

- Jack! Chociaż raz w życiu mnie wysłuchaj!

Cierpliwość Victora też się skończyła. Nie potrzebował doktoratu

z psychologii, aby stwierdzić, że Jack to palant. Czy nie widzi, że

Cathy jest wykończona i przerażona? Victor podziwiał ją za jej

wytrzymałość, ale teraz cierpiał na widok jej słabości. Wziął ją w

ramiona i przytulił. Ponad jej ramieniem wyrzucił z siebie

przekleństwo, które obrażało nie tylko honor Jacka, ale i jego matki.

Jack nie wziął sobie tego do serca, pewnie dlatego, że

obdarowywano go gorszymi epitetami, i to regularnie. Po prostu

skrzyżował ramiona i przyglądał się Victorowi.

- Potrzebuje opieki.

- A z jakiegoż to powodu?

- Może nie słyszałeś, ale trzy dni temu zamordowano jej

przyjaciółkę, Sarah.

- Sarah... Sarah Boylan? Victor skinął głową.

- Dziś w nocy ktoś próbował zamordować Cathy. Jack spojrzął na swoją byłą żonę.

- To prawda, co on mówi? Cathy, ocierając łzy, kiwnęła głową.

- Dlaczego od razu mi nie powiedzieliście?

- Bo zachowywałeś się jak ostatni osioł!

Gdzieś w holu zastukotały pantofelki na wysokich obcasach.

- Święta racja! - zawołał kobiecy głos. - Jacku Zuckerman, jesteś dupkiem!

Drzwi wejściowe otworzyły się i zatrzęsły. Hałas zdawał się odbijać o ściany pałacyku niekończącym się echem. Zapadła długa cisza.

Nagle poprzez łzy Cathy roześmiała się.

- Wiesz co, Jack? Podoba mi się ta kobieta.

Jack obrzucił swą byłą żonę krytycznym wzrokiem.

- Dlaczego nie poszłaś na policję? Dlaczego zawracasz głowę staremu Jackowi?

Cathy i Victor wymienili spojrzenia.

- Nie możemy iść na policję - powiedziała.

- Przypuszczam, że to ma coś wspólnego z nim? - Wskazał palcem na Victora.

Cathy westchnęła.

- To skomplikowana sprawa...

- Na to wygląda.

- Mogę wyjaśnić - zaproponował Victor.

- No dobrze. - Jack sięgnął po szlafrok leżący obok polarnego niedźwiedzia. - Zawsze podziwiałem kreatywność. Posłuchajmy. - Usiadł na skórzanej kanapie i uśmiechnął się do Victora. - Nawijaj. Czekam.

Agent specjalny Sam Polowski leżał w łóżku i dygotał. Oglądał wiadomości o jedenastej wieczorem. Każdy miesiąc w jego ciele był obolały, w głowie mu łomotało, a termometr wskazywał czterdzieści stopni. Tak się kończy zmienianie koła w ulewnym deszczu. Gdyby tylko dorwał tego dowcipnisa, który wbił mu gwóźdź w oponę, kiedy wpadł na chwilę do przydrożnej knajpki. Winowajca nie tylko uniemożliwił mu stawienie się na spotkanie w Garberville iw ten sposób zrujnował sprawę Virateku, ale także spowodował, że Sam stracił jedyny swój kontakt w tej sprawie - Victora Hollanda. A teraz jeszcze grypa.

Sięgnął po aspirynę. Połykał właśnie trzy tabletki, kiedy z telewizora usłyszał:

- Nowe dowody łączą podejrzanego z morderstwem doktora Gerarda Martinique'a, który tak jak on prowadził badania w firmie Viratek...

Sam usiadł.

- Co jest, do cholery? - warknął w stronę telewizora, a potem złapał za słuchawkę. Jego przełożony odpowiedział po sześciu dzwonek. - Dafoe? Mówi Polowski.

- Wiesz, która jest godzina?

- Widziałeś ostatnie wiadomości?

- Jestem już w łóżku.

- Mówią o Virateku. Cisza.

- Tak, wiem. Dałem na to pozwolenie.

- Co to za bzdury o szpiegostwie przemysłowym? Robią z
Hollanda...

- Polowski, zostaw to.

- Od kiedy stał się podejrzanym w sprawie o morderstwo?

- Posłuchaj, przyjmij to za przykrywkę. Chcę go mieć. Dla jego
własnego dobra.

- I dlatego poszczułeś go policją?

- Powiedziałem ci, żebyś to zostawił.

- Ale...

- Zabieram ci tę sprawę. Dafoe odłożył słuchawkę.

Sam z niedowierzaniem spojrział na telewizor. Zabierasz mi tę
sprawę? Rąbnął słuchawką tak mocno, że fiolka z aspiryną spadła ze
stolika.

To ci się tylko tak wydaje.

- Chyba już dosyć usłyszałem - powiedział Jack.

- Ten człowiek ma wyjść z mojego domu. I to natychmiast.

- Jack, proszę cię! Daj mu szansę...

- Kupiłaś tę żalosalną historyjkę?

- Wierzę mu.

- Dlaczego?

- Ponieważ ocalił mi życie.

- Jesteś idiotką, laleczko. - Jack sięgnął po telefon

- Słyszałaś, co mówili w telewizji. Jest poszukiwany za morderstwo. Jeżeli nie zadzwonisz na policję, ja to zrobię.

Podnosił słuchawkę, gdy Victor złapał go za rękę.

- Nie. - Chociaż jego głos był spokojny, brzmiał w nim jakiś autorytet nie do zakwestionowania.

Mężczyźni patrzyli na siebie.

- To było nie tylko morderstwo - zauważył Victor. - W grę wchodzi śmiertelnie groźne badanie. Produkcja nielegalnej broni.

Sprawa może sięgać aż do Waszyngtonu.

- Do kogo w Waszyngtonie?

- Kogoś u władzy. Kogoś, kto ma fundusze federalne i może zlecić takie badania.

- Rozumiem. Jakiś wysoki urzędnik państwowy lata luzem i wykańcza naukowców. Z pomocą FBI.

- Jerry nie był zwykłym naukowcem. Miał sumienie. Był informatorem, który miał przedstawić prasie dowody i spowodować wstrzymanie eksperymentów. Skutki polityczne mogły być katastrofalne dla całej administracji.

- Zaczekaj. Mówimy o Białym Domu?

- Być może. Jack parsknął.

- Holland, ja robię horrory klasy B, ale w nich nie mieszkam.

- To nie jest film. To rzeczywistość. Prawdziwe kule, prawdziwe

ofiary.

- Kolejny powód, z jakiego nie chcę mieć z tym nic wspólnego. -

Jack zwrócił się do Cathy. - Przepraszam cię, złotko. Nie obrażaj się, ale nie podoba mi się towarzystwo, w którym się obracasz.

- Jack! Musisz nam pomóc!

- Tobie pomogę, ale jemu nigdy w życiu. Wariaci i przestępcy to dla mnie za dużo.

- Słyszałeś, co ci powiedział! Wrabiają go!

- Jesteś taka łatwowierna.

- Tylko w stosunku do ciebie.

- Cathy, w porządku - uspokoił ją Victor. - Wychodzę stąd.

- Nie. - Zerwała się na równe nogi i podeszła do byłego męża.

Popatrzyła mu prosto w oczy z takim oskarżeniem, że Jack powinien zapaść się pod ziemię. - Jesteś mi to winien. Za wszystkie lata naszego małżeństwa, które zainwestowałam w twoją karierę, twoją firmę, twoje idiotyczne filmy. Masz ten dom. Jaguara. Konto w banku.

Nigdy cię o nic nie prosiłam, bo nie chciałam niczego ocalić z tego małżeństwa poza swoją własną duszą. Ale teraz cię proszę. Ten człowiek dziś w nocy ocalił mi życie. Jeżeli kiedykolwiek zależało ci na mnie, jeżeli choć trochę mnie kochałeś, to zrobisz to dla mnie.

- Ukryję przestępcę?

- Do czasu, aż ustalimy, co zrobić.

- A jak długo to potrwa? Kilka tygodni? Miesiące?

- Nie wiem.

- To mi się podoba. Zdecydowana odpowiedź.

- Potrzebuję czasu, żeby się dowiedzieć, co Jerry chciał udowodnić. Nad czym pracuje Viratek... - zaczął Victor.

- Miałeś jego papiery - przerwał mu Jack. - Dlaczego nie przejrzałeś tej cholernej teczki?

- Nie jestem wirusologiem. Nie potrafiłem zinterpretować danych. To był jakiś łańcuch RNA, zapewne genom wirusa.

Większość z tych danych była zakodowana. Jednego tylko jestem pewien: ten projekt nosił nazwę „Cerber”.

- Gdzie są teraz te dowody?

- Straciłem teczkę. Była w moim samochodzie wtedy, kiedy zostałem postrzelony. Na pewno ją odzyskali.

- A film?

Victor zapadł się w fotelu, jego twarz jakby się nagle skurczyła ze znużenia.

- Miałem nadzieję, że Cathy... - Westchnął. - Też go straciłem.

- Wiem, gdzie jest film. Zapadła długa cisza.

- Co? - Victor podniósł głowę i wbił w nią wzrok.

- Nie wierzyłam ci, na początku. Nie chciałam ci powiedzieć, zanim nie będę całkiem pewna...

Victor zerwał się na równe nogi.

- Gdzie on jest? - Wzdrygnęła się, słysząc jego ostry ton. Musiał się zorientować, że ją przestraszył, bo następne słowa były już spokojniejsze. - Potrzebuję go, Cathy. Zanim go znajdą. Gdzie jest?

- Sarah znalazła go w moim samochodzie. Nie wiedziałam, że jest twój! Myślałam, że to film Hickeya.

- Kto to jest Hickey?

- To fotograf, mój przyjaciel. Spieszył się na lotnisko - ciągnęła. - W ostatniej chwili zostawił mi kilka rolek filmu. Prosił, żebym mu je przechowała, dopóki nie wróci z Nairobi. Ale wszystkie jego filmy mi skradziono.

- A moja rolka? - zapytał Victor.

- Była w kieszeni mojego szlafroka tej nocy, kiedy Sarah... - Urwała. - Po powrocie do San Francisco wysłałam film pocztą do pracowni Hickeya.

- Gdzie ona jest?

- Na Union Street. Wysłałam go dziś po południu.

- Powinien dojść jutro. - Victor zaczął przemierzać pokój. - Musimy po prostu poczekać na listonosza.

- Ale ja nie mam klucza.

- Znajdziemy na to jakiś sposób.

- Świetnie - westchnął Jack. - Teraz zrobi z ciebie włamywaczkę.

- Chcemy tylko odzyskać film! - zawołała Cathy.

- To w dalszym ciągu jest włamanie, rybko.

- Nie musisz brać w tym udziału.

- Ale chcesz, żebym ukrywał włamywaczy.

- Tylko na jedną noc, Jack. O nic więcej cię nie proszę.

- To zabrzmiało jak moja kwestia w scenariuszu.

- A twoje kwestie zawsze działają, prawda?

- Nie tym razem.

- No to zastanów się nad czymś innym. 1988 rok. Zeznanie podatkowe. A może raczej jego brak.

Jack rzucił gniewne spojrzenie Victorowi, a potem Cathy.

- To był cios poniżej pasa.

- Twoje najczulsze miejsce. Pomyśl o czymś jeszcze. Badanie bilansu. Urząd skarbowy. Więzienie.

- Dobrze, dobrze! - Jack w geście rozpaczy podniósł ręce do góry. - Boże, nienawidzę tego słowa.

- Którego? Więzienie?

- Nie śmieć się, kwiatuszku. Może niedługo dotyczyć nas wszystkich. - Odwrócił się i ruszył w stronę schodów.

- Dokąd idziesz? - zawołała za nim Cathy.

- Pościelić łóżka. Mam gości, którzy zostają na noc...

- Możemy mu zaufać? - zapytał Victor.

Cathy opadła na kanapę i nagle cała energia z niej wyparowała.

Zamknęła oczy.

- Musimy. Nie mamy dokąd iść.

Poczuła, że Victor siada przy niej. Nie powiedział ani słowa, ale wiedziała, że się jej przypatruje.

Otworzyła oczy i napotkała jego spojrzenie. Tak mocne, tak intensywne, że dodało jej sił.

- Wiem, że nie było to dla ciebie łatwe - zauważył.

- Poprosić Jacka o przysługę.

Uśmiechnęła się.

- Zawsze chciałam mu wygarnąć. - Z żalem dodała:

- Aż do dzisiaj nigdy mi się to nie udało.

- Coś mi się zdaje, że wygarnianie ludziom nie należy do twojego stałego repertuaru.

- Raczej nie. Jeżeli chodzi o bezpośrednią konfrontację, to zupełnie nie mam jaj.

- Jak na kogoś bez jaj, poszło ci zupełnie dobrze. Szczerze mówiąc, byłaś wspaniała.

- To dlatego, że nie walczyłam o siebie.

- Nie uważasz siebie za kogoś, za kogo warto zawalczyć?

Wzruszyła ramionami.

- Tak mnie wychowano. Walka o swoje nie przystoi damie, natomiast stanąć w obronie innych jest okej.

Skinął głową z ponurą miną.

- Poświęcanie się. Piękna kobieca tradycja.

- Powiedział mężczyzna, który dobrze zna kobiety.

- Tylko dwie. Moją matkę i moją żonę.

Na wspomnienie jego zmarłej żony Cathy zamilkła.

Zastanawiała się, jak miała na imię, jak wyglądała, czy bardzo ją kochał. Pewnie tak, bo wcześniej tego wieczoru, kiedy mówił o jej śmierci, słyszała w jego głosie ból. Poczowała nieoczekiwane ukłucie zazdrości, że ta bezimienna kobieta była tak kochana. Czego ona by

nie dała za to, żeby ją ktoś tak pokochał! Stłumiła tę myśl,

zawstydzona faktem, że może być zazdrosna o nieżyjącą już kobietę.

- Jack nam pomoże - oznajmiła pewnym głosem. - Przynajmniej dzisiaj.

- Z tym podatkiem to był szantaż, prawda?

- Jest roztrzepany. Po prostu przypomniałam mu o jego przeoczeniu.

Victor potrząsnął głową.

- Zdumiewasz mnie. Skaczesz po dachach i szantażujesz byłych mężów.

- Święta racja - zakonkludował Jack, który znów pojawił się na dole. - Zdumiewająca kobieta. Już się nie mogę doczekać, co nowego wymyśli.

Cathy wstała, ale ledwo trzymała się na nogach.

- Teraz jestem gotowa na wszystko. - Ruszyła w stronę schodów.

- Byleby tylko utrzymać się przy życiu.

Jej kroki ucichły w głębi holu. Mężczyźni przyjrzeni się sobie w milczeniu.

- No tak - odezwał się Jack z wymuszoną swobodą. - Co robimy teraz? Partyjka scrabble'a?

- Może pasjansa - odrzekł Victor, podnosząc się z kanapy. Nie miał ochoty na przerzucanie się żarcikami z Jackiem Zuckermanem.

Facet jest śliski i egocentryczny, i najwidoczniej zmienia kobiety jak rękawiczki. Victorowi trudno było sobie wyobrazić, co taka

kobieta jak Cathy mogła w nim widzieć. Oprócz tego, że jest przystojny i bogaty. Typowy bezmózgowiec z furą kasy. Może to ta kombinacja ją zaślepiła.

- Zuckerman, kochasz jeszcze swoją byłą żonę? Jack wyglądał na lekko zdziwionego tym pytaniem.

- Czy ją kocham? Zaczekaj, pomyślę. Nie, chyba nie. Ale darzę ją sentymentem, po dziesięciu latach małżeństwa. I mam dla niej szacunek.

- Szanujesz ją? Ty?

- Tak. Jej zdolności i umiejętności techniczne. Jest moją najlepszą charakteryzatorką.

Oto co jest dla niego ważne. Atuty, które może obrócić na swoją korzyść. Myśli tylko o sobie, palant. Victor pomyślał, że gdyby był ktoś inny, do kogo mógłby się zwrócić, na pewno by to zrobił. Ale jedyny człowiek, któremu ufał - Jerry - nie żyje. Jego pozostali przyjaciele mogą już być pod obserwacją. A poza tym nie mieszczą się w tym przedziale podatkowym, który pozwalałby na posiadanie ukrytej w lesie prywatnej posiadłości. Jack mógłby też pomóc w przewiezieniu Cathy w bezpieczne miejsce.

- Mam propozycję - powiedział Victor.

Twarz Jacka natychmiast przybrała podejrzliwy wyraz.

- Jaką?

- To mnie szukają, nie Cathy. Nie chcę stawiać jej w bardziej niebezpiecznej sytuacji, niż już jest.

- Ładnie z twojej strony.

- Będzie lepiej, jeżeli się stąd wyniosę. Zostawię ją z tobą, ale dopilnujesz, żeby była bezpieczna?

Jack zaczął się kręcić i przyglądać swoim stopom.

- Tak, chyba tak. Myślę, że tak.

- Nie myśl. Dopilnujesz?

- Słuchaj, w przyszłym miesiącu będziemy kręcić film w Meksyku. Sceny w dżungli, czarne laguny i te rzeczy. Tam chyba będzie bezpiecznie.

- To w przyszłym miesiącu. A teraz?

- Coś wymyślę. Ale najpierw zniknij. Bo to z twojego powodu znalazła się w kłopotach.

Victor nie mógł się z tym nie zgodzić.

- Jutro już mnie tu nie będzie.

- Dobrze.

- Zajmij się Cathy. Wywieź ją z miasta. Z kraju.

- W porządku.

W sposobie, w jaki Jack to powiedział, w jego beztroskim tonie, było coś, co sprawiło, że Victor zastanowił się, czy ten człowiek dba o kogoś poza sobą. Ale w tym momencie Victor nie miał wyboru.

Musiał zaufać Jackowi Zuckermanowi.

Kiedy wszedł na górę, zdał sobie sprawę, że rankiem musi się pożegnać z Cathy. A przecież wytworzyła się pomiędzy nimi jakaś więź. On zawdzięczał jej życie, a ona jemu. Takich zobowiązań nie

można łatwo przekreślić. Nawet gdyby mieli się już nigdy nie zobaczyć.

W holu na górze zatrzymał się przed drzwiami. Słyszał, jak Cathy otwiera i zamyka szuflady, a potem zatrzeszczały sprężyny. Zapukał do drzwi.

- Cathy?

Zapadła cisza, a potem usłyszał:

- Wejź.

Pokój oświetlała tylko mała lampka. Cathy siedziała na łóżku ubrana w męską koszulę. Włosy mokrymi falami spływały jej na ramiona. Pokój pachniał mydłem i szamponem. Przypominał mu żonę, zapach prysznic i kobiecej słodyczy. Stał tak, dręczony uczuciem tęsknoty, jakiej nie odczuwał od ponad roku, tęsknoty za ciepłem, miłością, kobietą. Nie jakąś kobietą. Nie był taki jak Jack, któremu wystarczało jędrne ciało, byle odpowiednio wyposażone. Victor pragnął serca i duszy.

Lily nie była piękna, lecz nie była też nieatrakcyjna. Nawet pod koniec, gdy choroba ją wyniszczyła, w oczach miała światło, iskierkę tłącego się w niej ducha.

Tę samą iskierkę zobaczył w oczach Catherine tej nocy, gdy uratowała mu życie. I tę samą iskierkę widział teraz.

Siedziała oparta o poduszki. Patrzyła na niego wyczekująco, z odrobiną lęku. Trzymała w garści kilka chusteczek higienicznych.

Dlaczego płakała?

Stanął w drzwiach. Ich spojrzenia się spotkały.

- Rozmawiałem z Jackiem - zaczął. Kiwnęła głową, ale nie odpowiedziała.

- Zgodziliśmy się, że lepiej będzie, jeżeli zniknę stąd jak najszybciej. Wyjadę rano.

- A co z filmem?

- Zdobędę go. Daj mi tylko adres Hickeya.

- Tak. Oczywiście. - Popatrzyła na zmięte chusteczki. Widać było, że chce coś powiedzieć. Podszedł do łóżka i usiadł. Ten słodki zapach kobiecości był urzekający. Dekolt obszernej koszuli sięgał na tyle głęboko, że ukazywał kuszący skrawek ciała kryjący się w półcieniu. Zmusił się, by skoncentrować się na jej twarzy.

- Cathy, wszystko będzie dobrze. Jack powiedział, że zaopiekuje się tobą. Wywiezie cię z miasta.

- Jack? - Zaśmiała się krótko.

- Z nim będziesz bezpieczniejsza. Nawet nie wiem, dokąd pojedę. Nie chcę cię wciągać w tę...

- Już mnie wciągnąłeś. Jestem w tym po szyję. Co mam teraz zrobić? Nie mogę tak po prostu siedzieć i czekać, aż wszystko wyjaśnisz. Jestem to winna Sarah...

- A ja jestem winien tobie, aby nie stała ci się krzywda.

- Myślisz, że możesz przekazać mnie Jackowi i wszystko będzie znów w porządku? Nie. Sarah nie żyje. Jej dziecko nie żyje. I to jest także moja wina.

- Nie, Cathy...

- To moja wina! Czy wiesz, że leżała na podjeździe przez całą noc? W deszczu. W zimnie. Tam umierała, a ja spałam! - Ukryła twarz w dłoniach. Poczucie winy, które torturowało ją od śmierci Sarah, znalazło wreszcie ujście. Nie mogła dłużej powstrzymać łez. Reakcja Victora była instynktownie męska. Przyciągnął ją do siebie i ofiarował ciepłe miejsce do wypłakania się. Kiedy tylko poczuł, że ulokowała się wygodnie w jego ramionach, zrozumiał, że popełnił błąd. Zbyt dobrze do siebie pasują. To jest jej miejsce, przy jego sercu. Victor przycisnął usta do jej włosów i wciągnął w płuca podniecający zapach mydła i rozgrzanej skóry. I ta miękkość twarzy, ten jedwabisty połysk ramienia wychylającego się spod koszuli. Gładził jej włosy, mrużąc pod nosem słowa pociechy, i myślał, że musi ją opuścić. Dla jej dobra. Bo inaczej zabiją ich oboje.

- Cathy. - Musiał użyć całej siły woli, aby się od niej oderwać.

Położył ręce na jej ramionach i zmusił, by na niego popatrzyła. -

Musimy jutro o tym porozmawiać.

Kiwnęła głową i starła z policzków łzy.

- Jedź z Jackiem do Meksyku. Gdziekolwiek. Po prostu zniknij.

- A ty co zrobisz?

- Obejrzę ten film, zobaczę, jakie są na nim dowody.

- A potem?

- Jeszcze nie wiem. Może pójdę z tym do gazet. Bo z pewnością nie do FBI.

- Skąd będę wiedziała, że nic ci się nie stało? Jak się z tobą skontaktuję?

Zastanawiał się nad tym, chociaż trochę rozpraszał go jej zapach.

Przyłapał się na tym, że gładzi skórę jej ramienia, dziwiąc się, jaka jest delikatna. Zatrzymał wzrok na jej twarzy, na jej zmartwionych wyraźnie oczach.

- Co drugą niedzielę dam ogłoszenie w „Los Angeles Times”.

Będzie skierowane do, powiedzmy, Cory. Znajdziesz tam wszystko, co będę chciał ci przekazać.

- Cora. Zapamiętam.

Popatrzyli na siebie w cichym porozumieniu, akceptując konieczność tego rozstania. Ujął jej twarz w dłonie i pocałował jej usta, a potem wstał i ruszył w stronę drzwi. Nie mógł się powstrzymać, aby nie zapytać:

- Naprawdę dasz sobie radę?

Kiwnęła głową, ale zrobiła to zbyt odruchowo. Tak jakby kwitowała jakieś nieważne pytanie.

- Oczywiście. Przecież Jack się mną zaopiekuje. Nie umknęła mu nutka ironii w jej odpowiedzi.

Najwidoczniej Jack nie wzbudza zaufania w żadnym z nich. Ale czy jest wybór? Miałby ciągnąć ją za sobą jak ruchomy cel? Nacisnął klamkę. Nie, tak jest znacznie lepiej. Już zdemolował jej życie; nie miał zamiaru porzucić jeszcze kawałków.

Gdy wychodził, Cathy siedziała z kolanami podciągniętymi pod

brodę. Koszula zsunęła się z ramienia. Przez chwilę wydawało mu się, że płacze. Potem podniosła głowę i nie zobaczył już w jej oczach łez. To było coś znacznie bardziej wzruszającego, czystego, jasnego i pięknego. To była odwaga.

W bladym świetle poranka Savitch stanął przed domem Jacka Zuckermana. Poprzez mgiełkę obserwował zasłonięte okna, próbując wyobrazić sobie mieszkańców. Zastanawiał się, kim są, w którym śpią pokoju i czy jest pomiędzy nimi Catherine Weaver. Niedługo się dowie.

Schował czarny notesik, który zabrał z mieszkania kobiety. Na wewnętrznej stronie okładki widniał napis „C. Zuckerman” i adres w Pacific Heights. Nazwisko było przekreślone i zastąpione innym, „Weaver”. Rozwódka, wywnioskował. Pod „Z” znalazł obszerne hasło „Jack”, z kilkoma numerami telefonów i adresami, zarówno zagranicznymi, jak i krajowymi. Jej były mąż, upewnił się po krótkiej rozmowie z inną osobą z notesika. Wyciąganie informacji od obcych ludzi jest proste. Wymaga tylko pewności siebie oraz identyfikatora. Tego samego, którego zamierzał użyć teraz.

Obejrzał dom po raz ostatni, odnotowując w pamięci wypielegnowane trawniki i krzewy, treliarz z rozpiętą na nim, zimującą teraz, wisterią. Człowiek sukcesu, ten Jack Zuckerman. Savitch zawsze podziwiał bogatych mężczyzn. Poprawił marynarkę, by się upewnić, że szelki z bronią nie są widoczne. Potem przeszedł przez ulicę, skierował się do frontowych drzwi i zadzwonił.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Obudziły ją pierwsze promienie słońca. Nie było to łagodne odzyskiwanie świadomości, lecz szarpnięcie. Od razu wiedziała, że nie jest w swoim własnym łóżku i że stało się coś okropnego. Zerwała się na równe nogi i zaczęła ubierać się w półmroku. Muszę być gotowa do ucieczki...

Skrzypienie desek podłogowych w sąsiednim pokoju powiedziało jej, że Victor też się już obudził i zapewne robi plany na ten dzień. Pogrzebała w szafie, szukając rzeczy, których mógłby potrzebować. Znalazła jedynie nylonową torbę na zamek błyskawiczny i płaszcz przeciwdeszczowy. W szufladach komody były męskie skarpetki, a także damska bielizna. Do diabła z tobą, Jack, i z wszystkimi twoimi panienkami, pomyślała z nagłą irytacją i zasunęła głośno szufladę. Trzask rezonował w pokoju, kiedy po domu rozniósł się echem inny dźwięk.

To był dzwonek do drzwi.

Siódma rano, za wcześnie na gości. Nagle jej drzwi się otworzyły.

Zobaczyła Victora i jego spiętą twarz.

- Co robimy? - zapytała.

- Przygotuj się. Zjeżdżamy stąd. I to szybko.

- Są tylne drzwi...

- Idziemy.

Byli już prawie u szczytu schodów, kiedy usłyszeli zaspany głos

Jacka dochodzący z dołu.

- Idę już, do cholery! Przestańcie łomotać, idę... Dzwonek

odezwał się znowu.

- Nie otwieraj! - syknęła Cathy. - Jeszcze nie...

W jednej chwili Victor pociągnął Cathy do tyłu, tak by nie było jej widać.

- Tak - usłyszeli. - Nazywam się Jack Zuckerman. Kim pan jest?

Gość mówił bardzo cicho. Słyszeli tylko, że to mężczyzna.

- Naprawdę? - W głosie Jacka usłyszeli panikę. - Pan jest z FBI?

A co, do cholery, może chcieć FBI od mojej byłej żony?

Cathy spojrzała na Victora. W jego oczach wyczytała przestach i pytanie: którądy do tylnego wyjścia?

Wskazała na sypialnie na końcu holu. Skinął głową. Oboje przeszli po dywanie na palcach, zdając sobie sprawę, że jeden fałszywy krok, jedno głośniejsze skrzypnięcie może wzbudzić w agencji podejrzenia.

- Mogę zobaczyć pański nakaz? Zaraz, zaraz, nie może pan tu tak po prostu wtargnąć!

Nie ma czasu, pomyślała Cathy, wchodząc do ostatniego pokoju.

Zamknęli za sobą drzwi.

- Okno! - powiedziała szeptem.

- Skaczemy?

- Nie. - Przebiegła przez pokój i szybko otworzyła okno. -

Treliaż!

Popatrzył z powątpiewaniem na splecione pnącza wisterii.

- Jesteś pewna, że nas utrzyma?

- Tak, wiem - powiedziała, przekładając nogę przez parapet. -

Kiedyś przyłapałam jedną z blondynek Jacka, jak zwisała w nocy z gałęzi. A wierz mi, że to była duża dziewczyna. - Spojrzała w dół i ogarnęła ją fala mdłości spowodowana lękiem wysokości. - Boże - mruknęła - dlaczego ciągle wyłazimy przez okna?

Z głębi domu doszedł ich oburzony krzyk Jacka:

- Niech pan tam nie wchodzi! Gdzie jest nakaz?

- Szybciej! - rzucił Victor.

Cathy zsunęła się na treliarz. Gałęzie drapały ją po twarzy, gdy schodziła w dół. W chwilę później wylądowała na mokrej trawie, a Victor obok niej. Natychmiast zerwali się na nogi i rzucili w stronę zarośli. Gdy skryli się za krzewami azalii, usłyszeli, że okno na piętrze otwiera się, a potem doszedł do nich głos Jacka:

- Znam swoje prawa! To przeszukanie jest nielegalne!

Zadzwonię do prawnika!

Żeby nas tylko nie zauważył! - modliła się Cathy, chowając się jak najgłębiej w gąszczu. Czowała, jak Victor osłania jej plecy, a jego ręce ciasno ją obejmują. Jego oddech był gorący i urywany. Przez całą wieczność leżeli w mokrej trawie, a wilgotna mgła przyprawiała ich o drżenie.

- Widzi pan? - usłyszeli słowa Jacka. - Nie ma tu nikogo oprócz mnie. A może chce pan sprawdzić garaż?

Okno się zamknęło. Victor lekko popchnął Cathy.

- Idź - wyszeptał. - Do końca żywopłotu.

Mokre dżinsy były lodowate, podrapane dłonie krwawiły, ale była zbyt otępiała ze strachu, by odczuwać ból. Dobrze się do ostatniego krzewu i zatrzymała się, żeby odgarnąć włosy z twarzy. Victor był tuż za nią.

- Biegnij! - usłyszała.

Rzucili się przed siebie jak para wystraszonych królików, pokonując dwadzieścia metrów trawnika. Kiedy zasłonił ich sąsiedni dom, biegli dalej, obok zaparkowanych samochodów i porannych przechodniów. Pięć przecznic dalej wpadli do baru kawowego, skąd przez frontowe okno wyjrzelili na ulicę, wypatrując pościgu. Zobaczyli tylko typowy poniedziałkowy ranek: ruch pojazdów na ulicy, ludzi w płaszczech i szalikach.

Od strony grilla dochodził syk i skwierczenie bekonu, a z kontuaru zapach świeżo zmielonej kawy. Aż zaboląła ich myśl, że razem mają tylko czterdzieści dolarów. Cholera jasna, dlaczego nie wyżebrała, nie pożyczyła albo nie ukradła Jackowi trochę pieniędzy?

- I co teraz? - zapytała, mając nadzieję, że Victor zaproponuje jej śniadanie, on tymczasem wyjrzał jeszcze raz na ulicę.

- Chodźmy.

- Dokąd?

- Do studia Hickeya.

- Aha. - Zawiedziona, westchnęła. Kolejny długi spacer, i to wszystko na pusty żołądek.

Za szybą przejechał samochód z naklejką na zderzaku: Dziś jest pierwszy dzień reszty twojego życia.

Boże, mam nadzieję, że będzie lepsza, pomyślała. Potem wyszła za Victorem.

Larry Dafoe siedział przy biurku i regulował swój wspaniały fotel - symbol jego władzy. Zawsze twierdził, że siła górnej połowy ciała jest kluczem do sukcesu. Napompować mięśnie, wypełnić sobą marynarkę rozmiar czterdzieści cztery, i masz klatę, która robi wrażenie na każdej kobiecie i zastraszy każdego rywala. A z fotela za siedemset dolców to nawet nie musisz już wstawać.

Sam Polowski obserwował, jak przełożony męczy się z systemem metalowych linek i bloczków, myśląc, że całe to urządzenie wygląda jak egzotyczne narzędzie tortur.

- Zrozum - Dafoe ledwo łapał powietrze - że chodzi tu o sprawy, o których nie masz pojęcia.

- Takie jak? - zapytał Polowski.

Dafoe puścił dźwignię i popatrzył na niego. Twarz mu błyszczała od potu i zdrowego wysiłku.

- Gdybym mógł ci powiedzieć, to chyba bym to już dawno zrobił, nie uważasz?

- Dalej nie rozumiem - odparł. - Po co ścigać tego całego Victora Hollanda?

- To nie ty decydujesz - rzekł Dafoe.

- Dałem Hollandowi słowo, że nie będzie miał kłopotów.

- On jest częścią tych kłopotów! Najpierw twierdzi, że ma dowody, a potem znika.

- To trochę moja wina. Nie dojechałem na spotkanie.

- To dlaczego nie próbował się z tobą skontaktować?

- Nie wiem. - Polowski westchnął i potrząsnął głową. - Może nie żyje.

- Powinniśmy go odszukać. Popracuj nad aktami sprawy

Lanzana. Albo idź do domu. Wyglądasz okropnie.

- Dobrze, dobrze. - Polowski wyszedł z gabinetu szefa, ale w drzwiach jeszcze słyszał, jak Dafoe zrzędzi.

Podszedł do swojego biurka i przyjrzał się kolekcji leków na przeziębienie, aspirynie i syropowi na kaszel. Wziął podwójną dawkę wszystkiego. Potem sięgnął do teczki i wyjął akta sprawy Virateku.

Pogrzebał w prywatnym zbiorze nabazgranych notatek, numerów telefonów i wycinków. Zastanowiło go powiązanie Hollanda z tą Weaver. Pierwszy raz zobaczył jej nazwisko na karcie szpitalnej, a potem zaskoczyło go, gdy usłyszał, że coś ją łączy z ofiarą morderstwa w Garberville. Za wiele zbiegów okoliczności, zawiloci i nagłych zwrotów akcji. Czy jest tu coś oczywistego, czego nie dostrzega? Czy ta kobieta coś wie?

Sięgnął po telefon i nakręcił numer posterunku w Garberville.

Powinni wiedzieć, jak dotrzeć do świadka. Może przez nią odnajdzie Victora Hollanda. Szansa nie jest duża, ale...

Człowiek, który zadzwonił do drzwi, wyglądał jak pień drzewa

ubrany w brązowy garnitur z poliestru. Jack otworzył drzwi i

zakomunikował:

- Niczego od pana nie kupię.

- Niczego nie sprzedaję, panie Zuckerman. Jestem z FBI.

Jack westchnął.

- Co? Znowu?

- Agent specjalny, Sam Polowski. Próbuję znaleźć kobietę.

Nazywa się Catherine Weaver, poprzednio nazywała się Zuckerman.

Wydaje mi się...

- Jeden z waszych agentów już tu był dzisiaj rano. Niech pan z nim pogada!

- Nasz agent? - Mężczyzna się zasępił.

- Tak. I mam zamiar złożyć przeciwko niemu skargę. Wdarł się tu bez nakazu i przeszukał cały dom.

- Jak wyglądał?

- A czy ja wiem? Ciemne włosy, dobrze zbudowany. Przydałby mu się kurs dobrych manier.

- Mojego wzrostu?

- Wyższy. Chudszy. O wiele więcej włosów.

- Podał nazwisko?

- Nie, nie przedstawił się. Polowski wyciągnął odznakę FBI.

- Pokazał panu taką?

- Nie. Zapytał tylko o Cathy i jakiegoś faceta o nazwisku Victor Holland. Czy wiem, gdzie ich znaleźć.

- Powiedział mu pan?

- Temu chamowi? - Jack roześmiał się. - Nie powiedziałbym mu nawet, która jest godzina. W życiu nie powiedziałbym mu, że... - Jack przerwał i odchrząknął. - Nie miałem zamiaru nic mu mówić, nawet gdybym coś wiedział. Ale nie wiem.

Polowski wsunął odznakę do kieszeni.

- Chyba powinniśmy porozmawiać, panie Zuckerman.

- O czym?

- O pana byłej żonie. Ma duże kłopoty.

- O tym - westchnął Jack - to ja dobrze wiem.

- Grozi jej niebezpieczeństwo. Nie mogę podać panu wszystkich szczegółów, bo ich nie znam. Ale wiem, że jedna kobieta już zginęła.

Pańska żona...

- Moja była żona.

- Pańska była żona może być następna.

Jack tylko popatrzył na niego bez przekonania.

- Jest pańskim obowiązkiem obywatelskim powiedzieć mi, co pan wie - przypomniał mu Polowski. - Niech pan posłucha, będzie pan współpracował, to się jakoś dogadamy. - Jack nie odwzajemnił jego uśmiechu. - Panie Zuckerman, mogę do pana mówić „Jack”? Jack, powie mi pan, gdzie ona jest? Zanim będzie za późno?

Jack skrzywił się. Postukał palcami we framugę, zastanowił się.

W końcu szerzej otworzył drzwi.

- Jestem przestrzegającym prawa obywatelem, więc to chyba mój

obowiązek. - Niechętnie wskazał agentowi gestem, że ma wejść. -

Dobrze, panie Polowski. Powiem panu to, co wiem.

Szyba w oknie rozprysnęła się, sypiąc wokół odłamkami szkła.

Cathy aż się wzdrygnęła.

- Przepraszam cię, Hickey - mruknęła pod nosem.

- Jakoś mu to wynagrodzimy - odparł Victor, wyjmując z ramy

resztki szyby. - Wyślemy mu czek. Widzisz kogoś?

Zlustrowała wzrokiem pasaż między domami. Poza pogniecioną

gazetą walającą się pomiędzy kubłami na śmieci nic się nie poruszyło.

Kilka przecnic dalej dźwięczały klaksony w kolejnym korku wzdłuż

Union Street.

- W porządku - powiedziała cicho.

- Dobrze. - Victor położył kurtkę na parapecie. - Możesz

wchodzić.

Weszła się do środka, lądując pomiędzy odłamkami szkła. Victor

znalazł się obok kilka sekund później.

To była garderoba. Przy jednej ścianie stał wieszak z bielizną

damską, przy drugiej toaletki i duże lustro.

Victor zmarszczył się na widok różowego jedwabnego peniuaru

przewieszzonego przez oparcie krzesła.

- Jakie zdjęcia robi ten twój przyjaciel?

- Hickey specjalizuje się w czymś, co się nazywa, delikatnie

mówiąc, portretem buduarowym.

Zdumione spojrzenie Victora napotkało czarny koronkowy negliż

wiszący na ścianie.

- Czy to oznacza to, o czym myślę?

- A o czym myślisz?

- Sama wiesz.

Weszła do następnego pomieszczenia.

- Hickey upiera się, że to nie pornografia, tylko sztuka erotyczna w dobrym guście. - Zatrzymała się w pół kroku, bo stanęła twarzą w twarz z powiększonym aktem na ścianie. Nagie kończyny - osiem, a może więcej - skręcone były niczym jakaś ludzka ośmiornica. Nie pozostawiono nic wyobraźni. Zupełnie nic.

- Bardzo gustowne - zauważył Victor sucho.

- To musi być jedno z jego komercyjnych zamówień.

- Zastanawiam się, jaki produkt sprzedaje.

Obróciła się i znalazła się oko w oko z innym zdjęciem.

Przedstawiało dwie nagie kobiety, niezwykle atrakcyjne.

- Kolejne zamówienie komercyjne? - zapytał uprzejmie Victor.

W pokoju od frontu, pod drzwiami, leżał stos poczty z całego tygodnia, katalogi i druki reklamowe. Rolki filmu, który Cathy wysłała dzień wcześniej, nie znaleźli.

- Chyba musimy usiąść i poczekać grzecznie na listonosza - zaproponowała.

Pokiwał głową.

- Czy twój przyjaciel trzyma tu jakieś jedzenie?

- W sąsiednim pokoju jest lodówka. Zaprowadziła Victora do

pomieszczenia, które Hickey nazywał „galerią zdjęciową”. Cathy nacisnęła przycisk i wielki pokój w jednej chwili zalały światła reflektorów.

- To tutaj robi zdjęcia - zauważył Victor, oślepiony nagłym blaskiem. Przeszedł ponad zwojami kabli i powoli okrążył pokój, przyglądając się z żartobliwym niedowierzaniem różnym rekwizytom.

Kolekcja

była

przedziwna: prawdziwa angielska budka

telefoniczna, ławka uliczna, rower treningowy. Honorowe miejsce zajmowało łóżko z baldachimem. Leżała na nim wiktoriańska kapa z falbanami, ale kajdanki zwisające u wezłowia nie były już z epoki.

Victor podniósł je, a potem wypuścił z ręki.

- A ten Hickey, to bardzo bliski przyjaciel?

- Tych rzeczy wcale tu nie było, kiedy w zeszłym miesiącu robił mi zdjęcie.

- Fotografował cię? - Victor wlepił w nią wzrok.

Zaczerwieniła się, wyobrażając sobie, jakie obrazy muszą mu się przewijać przez myśl. Pewnie już widzi, jak leży rozciągnięta na tym idiotycznym łóżku. Oczywiście w kajdankach.

- Chciałam wyświadczyć mu przysługę...

- Przysługę?

- To było zwykłe komercyjne zdjęcie!

- Rozumiem.

- Byłam ubrana w kombinezon i miałam wyglądać na hydraulika.

- Kobieta hydraulik?

- Zastępstwo w ostatniej chwili. Jeden z jego modeli nie zjawił

się i potrzebny był ktoś z pospolitą twarzą. A ja taka jestem. Pospolita.

To była tylko twarz.

- I twój kombinezon.

- Tak.

Spojrzeni na siebie i wybuchnęli śmiechem.

- Mówiłaś, że jest tu jakieś jedzenie?

Podeszła do lodówki. W środku znalazła całą półkę filmów oraz

słoik ogórków, kilka zwiędłych marchewek i pół salami. W

zamrażalniku był natomiast prawdziwy skarb: mielona kawa i

bochenek chleba.

- Uczta! - zakomunikowała z uśmiechem. Usiedli na łożu z

baldachimem i żuli salami z na wpół rozmrożonym chlebem, popijając

kawą. Dziwny był ten piknik - marchewka i ogórki na papierowych

talerzykach pod gorącym światłem reflektorów.

- Dlaczego to powiedziałaś? - spytał.

- Co powiedziałam?

- Że jesteś pospolita. Tak pospolita, że możesz pozować jako hydraulik.

- Ponieważ jestem pospolita.

- Wcale tak nie uważam. A znam się na ludziach. Spojrzała na

plakat z jedną z supermodelek Hickeya.

Dziewczyna patrzyła na nich z wystudiowaną pewnością siebie.

- Przecież nie mogę się równać z nią.

- Ona jest czystą fantazją. To nie jest prawdziwa kobieta, tylko makijaż, lakier do włosów i sztuczne rzęsy.

- Wiem. Przecież to moja praca, zamiana aktorów w fantazję widza. Albo koszmar. - Wyłowiła ze słoika ostatni ogórek. - Miałam na myśli to, co jest w środku. Gdzieś w głębi duszy czuję się pospolita.

- Myślę, że jesteś niezwykła. A po ostatniej nocy wiem to już na pewno.

Spuściła wzrok na zwiędłą marchewkę rozciągniętą na papierowym talerzu jak miniaturowe zwłoki.

- Był taki czas... Myślę, że zawsze, kiedy jesteśmy jeszcze młodzi, czujemy się wyjątkowi. Ostatni raz tak się poczułam, kiedy wyszłam za Jacka. - Westchnęła. - Ale nie trwało to długo.

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Nie wiem. Byłam zaślepiona? Miałam tylko dwadzieścia trzy lata, praktykowałam na planie. On był reżyserem. - Zrobiła małą przerwę. - To był car i Bóg.

- Aż takie zrobił na tobie wrażenie?

- Jack to potrafi. Może włączyć siłę, czar i po prostu oszołomić dziewczynę. A potem był szampan, kolacje, kwiaty. Nie od razu dałam się na to złapać i to sprawiło, że się mną poważnie zainteresował. Nie omdlewałam na jego widok. Myślał o mnie jak o

wyzwaniu, o tym, że mnie w końcu zdobędzie. - Spojrzała na niego ze smutkiem. - Kiedy już tego dokonał, przerzucił się na większą i lepszą zdobycz. Wtedy zdałam sobie sprawę, że jestem zwykła. To nie jest przykre uczucie. Nie jest tak, że idę przez życie, pragnąc być kimś innym, kimś specjalnym.

- Kogo uważasz za niezwykłą osobę?

- Moją babcię. Ale ona już nie żyje.

- Sędziwe staruszki zawsze trafiają na tę listę.

- No dobrze. Matkę Teresę.

- Ona jest na wszystkich listach.

- Katharine Hepburn. Glorię Steinem. Moją przyjaciółkę Sarah. -

Jej głos załamał się. Spojrzała na swoje ręce i dodała cicho: - Ale ona też nie żyje...

Obserwował ją spokojnie i ze współczuciem.

- Opowiedz mi o niej - poprosił. Cathy próbowała zdławić łzy.

- Była absolutnie wspaniała. Ale nie w taki sposób. - Wskazała

na zdjęcie modelki Hickeya. - To był ten błysk w oczach. Doskonały

spokój. Jak gdyby odkryła w sobie dokładnie to, czego chce, podczas

gdy reszta z nas ciągle grzebała w ziemi w poszukiwaniu skarbu.

Chyba się taka nie urodziła. Sama do tego doszła. W college'u mało

miałymy pewności siebie. Małżeństwo nie pomogło żadnej z nas.

Mój rozwód mnie zniszczył, ale Sarah stała się po swoim silniejsza.

Nauczyła się dbać o siebie. Kiedy w końcu zaszła w ciążę, było to

dokładnie tak, jak sobie zaplanowała. Bo widzisz, nie było ojca, tylko

próbówka. Anonimowy dawca. Sarah często mówiła, że pierwotna rodzina to nie był mężczyzna, kobieta i dziecko, tylko sama kobieta i dziecko. Uważałam, że jest odważna, żeby podjąć taki krok.

Odważniejsza ode mnie... W każdym razie była niezwykła.

Niektórzy ludzie tacy po prostu są.

- Tak - zgodził się z nią. - Niektórzy. Spojrzała na niego. Patrzył na przeciwległą ścianę wzrokiem nieskończenie smutnym. Co wyłobiło mu na twarzy bruzdy bólu? Zastanawiała się, czy takie głębokie ślady mogą zostać kiedykolwiek wymazane. Są w życiu takie straty, których nigdy nie można przeboleć ani zaakceptować.

- Jaka była twoja żona? - zapytała cichym głosem. W pierwszej chwili nie odpowiedział. Po co o to zapytała? Dlaczego przywołuje takie straszne wspomnienia?

- Była dobra. Zawsze będę pamiętał jej dobroć.

- Jak miała na imię?

- Lily. Lillian Dorinda Cassidy. Długie nazwisko dla takiej małej kobietki. - Uśmiechnął się pod nosem. - Była drobnuteńka. Zawsze mnie to przerażało, że jest taka mała. Jak gdyby mogła się stłuc.

Zwłaszcza pod koniec, kiedy straciła dużo na wadze. Wydawało się, że pozostała tylko para brązowych oczu.

- Młodo umarła.

- Miała trzydzieści osiem lat. To takie niesprawiedliwe. Nigdy nie paliła, bardzo rzadko sięgała po kieliszek wina. Nie chciała nawet jeść mięsa. Podejrzewaliśmy, że powodem choroby mogło być to, że

dorastała w miasteczku leżącym dokładnie na linii wiatrów wiejących od strony elektrowni atomowej.

- Tak myślisz?

- Nigdy nie ma pewności. Dowiedzieliśmy się, że w tej okolicy w przynajmniej dwudziestu rodzinach zdarzyły się przypadki białaczki.

Cztery lata walczyliśmy o wszczęcie śledztwa. Wykryto cały ciąg rażących zaniedbań od chwili otwarcia elektrowni. Cathy pokręciła głową z niedowierzaniem.

- I przez te wszystkie lata działała?

- Przypadki zaniedbań tak sprytnie ukrywano, że nawet komisje federalne nie miały o nich pojęcia.

- Zamknęli ją, prawda? Kiwnął głową.

- Nie odczuwam wielkiej satysfakcji z tego powodu. Lily już nie żyła, a wszystkie rodziny były wyczerpane walką. Chociaż czasami wydawało się nam, że walimy głową o ścianę, musieliśmy to robić.

Dla wszystkich kobiet takich jak Lily, na całym świecie. - Popatrzył w górę, na reflektory. - I znowu walę głową o ściany. Tylko że tym razem jest to chyba Wielki Mur. A stawką jest życie, twoje i moje.

Ich spojrzenia się spotkały. Siedziała bez ruchu, a on delikatnie gładził jej policzek. Przytrzymała jego rękę i przycisnęła ją do ust.

Delikatnie przyciągnął ją do siebie. Ich usta spotkały się w ostrożnym pocałunku.

- Przykro mi, że zostałam w to wmieszana - wyszeptał. - Ty i

Sarah, i te dwie Cathy Weaver. Żadna z was nie chciała w tym

uczestniczyć. W jakiś sposób udało mi się skrzywdzić was wszystkie.

- To nie twoja wina. To ten wiatrak, z którym walczysz.

Ogromny niebezpieczny wiatrak. Nikt inny nie kruszyłby kopii, tylko by uciekł. A ty ciągle walczysz.

- Nie miałem wielkiego wyboru.

- Miałeś. Mogłeś po prostu pogodzić się ze śmiercią swojego przyjaciela. Przymknąć oko na to, co się dzieje w Virateku. Tak postąpiłby Jack.

- Aleja nie jestem Jackiem. Są takie sprawy, których nie można po prostu tak zostawić. Zawsze będę myślał o takich kobietach jak Lily. I tysiącach ludzi, którzy cierpią.

Na kolejną wzmiankę o zmarłej żonie Cathy poczuła, że powstaje między nimi nieprzekraczalna bariera - cień Lily, kobiety, której nigdy nie poznała. Odsunęła się, odczuwając natychmiast tęsknotę za dotykiem Victora.

- Myślisz, że dużo ludzi może zginąć?

- Tak uważał Jerry. Nie można przewidzieć rezultatu. Świat jeszcze nie zna skutków rażenia broni biologicznej. Chciałbym wierzyć, że to dlatego, że jesteśmy za mądrzy, aby igrać z naszym własnym samounicestwieniem. A potem myślę o tych wszystkich idiotycznych rzeczach, jakich ludzie dokonali w ciągu wieków, i to mnie przeraża...

- Czy broń wirusowa jest aż tak niebezpieczna?

- Jeżeli zmienisz kilka genów, sprawisz, że choroba stanie się

bardziej zakaźna i podniesiesz ryzyko śmiertelności. Już same eksperymenty są ryzykowne. Mała nieostrożność w laboratorium i można przypadkowo zarazić miliony ludzi. I nie będzie lekarstwa. To jest ten rodzaj światowej katastrofy, o której naukowcy nie chcą nawet myśleć.

- Armagedon. Koniec świata. Nie rozumiem, dlaczego się na to pozwala.

- Konwencje międzynarodowe zabraniają takich prób. Ale zawsze znajdzie się jakiś szaleniec, który zechce mieć przewagę, czyli broń, której nie ma nikt inny.

Szaleniec. Trzeba nim być, żeby nawet pomyśleć o użyciu takiej broni. Przypomniała sobie powieść, którą kiedyś czytała, o takiej właśnie epidemii, podczas której wymarły i szczyły miasta, a powietrze stało się trujące. Ale to były tylko koszmary science fiction. Oni zaś mają do czynienia z rzeczywistością.

Z budynku dobiegło ich gwizdanie. Usiedli, nasłuchując. Melodia wędrowała wzdłuż korytarza, coraz bliżej, aż zatrzymała się tuż za drzwiami. Usłyszeli szelest, a potem kłaśnięcie czasopism o podłogę.

- Jest! - zawołała Cathy, zrywając się na nogi. Victor biegł tuż za nią. Zauważyła ją natychmiast, na samym szczycie stosu poczty: kopertę zaadresowaną jej pismem.

Podniosła ją i rozerwała. Wypadła z niej rolka filmu. Karteczka, którą napisała do Hickeya, sfrunęła na podłogę. Z uśmiechem triumfu podniosła do góry plastikowy pojemnik.

- Jest twój dowód!
- Miejmy nadzieję. Gdzie jest ciemnia?
- Obok przebieralni. - Podała mu film. - Wiesz, jak go wywołać?
- Bawiłem się kiedyś w amatorską fotografię. Jeżeli tylko znajdę odczynniki... - Urwał i odwrócił się w stronę biurka.

Dzwonił telefon. Victor potrząsnął głową.

- Nie odbieraj - powiedział i udał się do ciemni. Usłyszeli, że włącza się automatyczna sekretarka.

Z taśmy popłynął gładki niczym jedwab głos Hickeya:

- Studio fotograficzne Hickmana von Trappa. Specjalizujemy się w gustownych i artystycznych zdjęciach form kobiecych...
- Gustownych? - roześmiał się Victor.

Dotarli do ciemni, kiedy nagranie się skończyło. Z głośnika dobiegł ich podenerwowany głos Jacka.

- Halo? Cathy? Jeżeli tam jesteś, podnieś słuchawkę i odezwij się. Szuka cię agent FBI, jakiś Polowski...

Cathy stanęła jak wryta.

- To Jack! - krzyknęła i wróciła do telefonu. Właściciel głosu coraz bardziej panikował.

- Nic nie mogłem na to poradzić, wydusił ze mnie to, co wiem o Hickeyu. Zjeżdżajcie stamtąd natychmiast!

Wiadomość urwała się w chwili, kiedy Cathy złapała za słuchawkę.

- Halo? Jack?

Usłyszała tylko ciągły sygnał. Trzęsącymi się rękami zaczęła

wystukiwać numer telefonu Jacka.

- Nie ma czasu! - zawołał Victor.

- Muszę z nim porozmawiać... Wyrwał jej słuchawkę.

- Później! Musimy się stąd wynosić!

Kiwnęła głową i ruszyła w stronę drzwi. Tam się zatrzymała.

- Zaczekaj. Potrzebujemy pieniędzy!

Wróciła do biurka w recepcji i przeszukała szuflady. W pudełku z drobnymi były dwadzieścia dwa dolary.

Schowała pieniądze, a potem zerwała z wieszaka jeden ze starych płaszczy przeciwdeszczowych Hickeya.

- W porządku - oznajmiła. - Chodźmy.

Zatrzymał się tylko na chwilę, aby sprawdzić korytarz. Doszedł ich głuchym echem śmiech, a gdzieś wyżej zastukotały na drewnianej podłodze wysokie obcasy. Przebiegli przez hol i wyszli frontowymi drzwiami.

Słońce stało wysoko i wpatrywało się w nich jak oskarżycielskie oko. Szybko włączyli się w uliczny tłum biznesmenów i artystów korzystających z godziny lunchu, w cały ten szyk Union Street. Nikt nawet na nich nie spojrział. Wśród tych wszystkich ludzi Cathy czuła się jednak widoczna, jak gdyby w tym jaskrawym miejskim pejzażu, wśród tłumów i betonu, stała się nagle ośrodkiem zainteresowania malarskiego oka.

Schowała się głębiej w fałdy płaszcza, marząc o tym, by zadziałał

jak czapka niewidka. Victor przyspieszył i musiała biec, aby

dotrzymać mu kroku.

- Dokąd idziemy?

- Mamy film. Chodźmy na dworzec autobusowy.

- A potem?

- Dokądkolwiek. Byle jak najdalej od tego miasta.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ten przeklęty agencik FBI znowu dzwoni do drzwi. Jack westchnął i otworzył.

- Już pan wrócił?

- Już, do cholery, wróciłem. Chcę wiedzieć, gdzie teraz mogę ich znaleźć.

- Powiedziałem panu. Na Union Street jest studio, którego właścicielem jest pan Hickman...

- Byłem w studiu tego von coś - tam - coś - tam.

- I nie znalazł ich pan?

- Jack, pan wiedział, że ich tam nie znajdę. Ostrzegł ich pan, prawda?

- Naprawdę nie rozumiem, dlaczego mnie pan prześladowuje.

Próbowałem pomóc...

- Wyszli w pośpiechu. Drzwi były otwarte na oścież.

Zostawili jedzenie. Na biurku stała pusta kasetka na pieniądze.

Oburzony Jack postąpił krok do tyłu.

- Nazywa pan moją byłą żonę złodziejką?

- Nazywam ją kobietą zdesperowaną. A pana imbecylem, bo tyle pan namieszał. A więc gdzie ona jest?

- Nie wiem.

- Do kogo może się zwrócić?

- Nie znam takiej osoby.

- Niech pan pomyśli.

Jack patrzył na arogancką twarz agenta i zastanawiał się, jak istota ludzka może być tak nieatrakcyjna. Przecież proces naturalnej selekcji powinien wyeliminować niekorzystne geny. Jack potrząsnął głową.

- Naprawdę nie mam zielonego pojęcia,

Taka była prawda i Polowski musiał to wyczuć.

- Dlaczego ich pan ostrzegł?

- Bo... - Jack bezradnie wzruszył ramionami. - Nie wiem! Po pana wyjściu nie byłem pewien, czy postąpiłem słusznie. Nie wiedziałem, czy mogę panu zaufać. On panu nie ufa.

- Kto?

- Victor Holland. Myśli, że należy pan do jakiegoś spisku.

Szczerze mówiąc, wyglądał mi na paranoika.

- Ma do tego pełne prawo. Biorąc pod uwagę to, co mu się dotychczas przytrafiło.

Polowski skierował się do drzwi.

- No i co teraz będzie?

- Dalej ich będę szukać.

- Gdzie?

- Myśli pan, że panu powiem? Proszę nie opuszczać miasta,

panie Zuckerman - rzekł przez ramię. - Jeszcze pogadamy.

- Nie przypuszczam - mruknął Jack pod nosem, patrząc, jak agent wraca do samochodu.

Spojrzał w górę i zobaczył, że na niebie nie ma ani jednej chmurki. Uśmiechając się, zamknął drzwi.

W Meksyku też będzie słonecznie.

Ktoś wychodził stąd w pośpiechu.

Savitch przeszedł przez wszystkie pomieszczenia studia fotograficznego. Zauważył resztki jedzenia na łóżku: okruchy chleba, kawałek salami, pusty słoik po ogórkach. Zarejestrował też kubki po kawie: dwa. To dziwne, bo widział tylko jedną osobę wychodzącą ze studia - małego krępego mężczyznę w poliestrowym garniturze. Ten człowiek nie był tam długo. Savitch obserwował, jak wsiadał on do ciemnozielonego forda zaparkowanego na piętnaście minut. Tarcza parkometru wskazywała, że zostały mu jeszcze trzy minuty.

Savitch podjął obchód studia, odnotowując w myślach kiczowate zdjęcia i zastanawiając się, czy nie marnuje tu czasu. Przecież sprawdził wszystkie adresy z notesika tej kobiety i nic nie znalazł.

Dlaczego miałyby być inaczej z adresem Hickmana von Trappa?

Nie mógł jednak pozbyć się uczucia, że jest blisko. Wszędzie były jakieś znaki. Odczytał je i złożył do kupy. Tego dnia do studia przyszły dwie głodne osoby. Weszły przez wybite okno w

przebieralni. Zjadły resztki z lodówki. Opróżniły (chyba że zrobił to facet w tym paskudnym garniturze) kasetkę na pieniądze.

Savitch zakończył penetrowanie studia i wrócił do recepcji.

Dopiero wtedy zauważył migające światełko na automatycznej sekretarce.

Nacisnął przycisk odtwarzania. Ilość nagranych wiadomości zdawała się nie mieć końca. Dotyczyły kogoś o imieniu Hickey - z pewnością Hickmana von Trappa z książeczki adresowej. Savitch leniwie przechadzał się po pokoju, słuchając kolejnych głosów.

Rozmowy o interesach, pytania o sesje, odbitki i czy nie zechciałby zrobić zdjęć do magazynu „Detektyw”? Przy drzwiach zatrzymał się i schylił, aby przejrzeć pocztę. Same śmieci, wszystko zaadresowane do von Trappa. W pewnej chwili zauważył luźną karteczkę. To był liścik do Hickeya.

„Głupio mi, ale ktoś ukradł wszystkie filmy z mojego samochodu.

Został tylko jeden. Pomyślałam, że wyślę go do ciebie, zanim też się zawieruszy. Mam nadzieję, że wystarczy, żeby twoja sesja nie była kompletną stratą”.

Podpisany był „Cathy”.

Teraz rozumiał. Catherine Weaver? To musi być ona! Film - gdzie, do cholery, jest film?

Przerzucił pocztę, ale znalazł tylko rozdartą kopertę z adresem zwrotnym Cathy. Ze złością począł rozrzucać czasopisma po pokoju.

Nagle zamarł, bo z automatycznej sekretarki dobiegła go kolejna

wiadomość.

„Halo? Cathy? Jeżeli tam jesteś, podnieś słuchawkę i odezwij się.

Szuka was agent FBI, jakiś Polowski... Zjeżdżajcie stamtąd natychmiast!”

Savitch podkradł się do telefonu jak dzikie zwierzę i wpatrywał się weń, kiedy mechanizm automatycznie przewijał taśmę do początku. Przesłuchał jeszcze raz ostatnią wiadomość. Zjeżdżajcie stamtąd natychmiast!

Nie miał już wątpliwości. Catherine Weaver była tutaj, a Victor Holland razem z nią. Ale kim jest ten cały Polowski i dlaczego poszukuje Hollanda? Przecież zapewniono go, że FBI odpuści sprawę.

Trzeba to sprawdzić. Podszedł do okna i wlepił wzrok w jaskrawe słońce i zatłoczone ulice. Tyle twarzy, tylu obcych ludzi. Gdzie w takim wielkim mieście może się ukryć dwoje przerażonych uciekinierów? Odnalezienie ich będzie trudne, ale nie niemożliwe.

Wyszedł ze studia i udał się w kierunku automatu telefonicznego.

Stamtąd nakręcił numer w Waszyngtonie. Nie był zadowolony, że musi prosić o pomoc Kowboja, ale nie miał wyboru. Victor Holland odzyskał dowód i nadszedł czas, aby przyspieszyć pogoń.

- Proszę przejść do następnego okienka! - zawołał kasjer i je zamknął.

- Niech pan zaczeka! - zawołała Cathy i zastukała w szybę. -

Ucieknie mi autobus!

- Który?

- 23 do Palo Alto...

- Jest następny o siódmej.

- Ale...

- To moja przerwa na kolację.

Cathy patrzyła bezradnie, jak kasjer odchodzi. Z głośników

usłyszała ostatnie wezwanie na pospieszny do Palo Alto. Rozejrzała się i zobaczyła, że właśnie rusza.

- Komunikacja już nie jest taka jak dawniej - mruknął pod nosem

jakiś starszy mężczyzna za jej plecami. - Szybciej się dojedzie stopem.

Cathy z westchnieniem przeniosła się do drugiej kolejki, wlokącej się jak ślimak, w której już stało kilka osób. W porządku, pomyślała.

No to wyjedziemy o siódmej. Będziemy w Palo Alto o ósmej. I co

potem? Śpimy w parku? Poprosimy o resztki w restauracji? Co

Victor... Rozejrzała się i zobaczyła jego plecy w jednej z budek telefonicznych. Do kogo on może dzwonić?

- Następny, proszę! - Ktoś dotknął ramienia Cathy. - Teraz pani kolej.

Obejrzała się i zobaczyła, że kasjer czeka.

- Dokąd? - zapytał, gdy podeszła do okienka.

- Dwa bilety do... - Jej głos nagle zamarł.

- Dokąd?

Zaniemówiła. Wzrok jej zawisł na plakacie przyklejonym do ściany tuż za kasą. Nad zdjęciem przedstawiającym ponure oblicze Victora Hollanda widniał napis „Poszukiwany”. Na samym dole

wymienione były oskarżenia: „szpiegostwo przemysłowe i zabójstwo.

Jeżeli posiadasz jakąkolwiek informację o tym człowieku, skontaktuj się z lokalną policją lub FBI".

- Jedzie pani czy nie?

- Słucham? - Spojrzenie Cathy padło znowu na kasjera,

przyglądającego się jej z niechęcią. - Ach, tak. Proszę... dwa bilety.

Do Pało Alto. - Otępiła wręczyła mu garść drobnych. - W jedną stronę.

- Dwa do Palo Alto. O siódmej. Stanowisko 11.

- Dziękuję. - Cathy wzięła bilety i wyszła z kolejki. Wtedy

zobaczyła dwóch policjantów stojących przy wejściu. Wyglądało na

to, że przeszukują wzrokiem halę dworca. W panice skierowała wzrok

na budkę. Była pusta. Zostawił ją! Zostawił ją z dwoma biletami do

Pało Alto i pięcioma dolcami w kieszeni!

Gdzie się podziałeś, Victorze?

Nie mogła tak stać jak idiotka. Powinna coś zrobić, ruszyć się.

Otuliła się ciasniej trenczem i zmusiła do powolnego przejścia przez

halę. Żeby tylko nie zwrócili na mnie uwagi, modliła się. Proszę.

Jestem nikim.

Zatrzymała się przy ławce i podniosła porzucony egzemplarz

„San Francisco Chronicle". Potem, udając, że przegląda dział z

ogłoszeniami, przemaszerowała wolno obok policjantów. Nawet nie

spojrzeli w jej stronę, gdy opuszczała dworzec autobusowy głównym

wyjściem.

Co teraz? Jak robot ruszyła przed siebie, ale nie zdążyła zrobić kilku kroków, gdy ktoś wciągnął ją w wąskie przejście między domami. Straciła równowagę i zatoczyła się pomiędzy kubłami na śmieci.

- Victor!

- Widzieli cię?

- Nie. To znaczy tak, ale nie zwrócili na mnie uwagi...

- Jesteś pewna? I co teraz zrobimy?

Odwrócił się i z frustracją uderzył dłonią o ścianę.

- Mam bilety.

- Nie możemy z nich skorzystać.

- To jak się wydostaniemy z miasta? Autostopem? Victor, zostało nam tylko pięć dolarów!

- Będą obserwować każdy odjeżdżający autobus. Cały ten cholerny dworzec jest oblepiony plakatami z moją twarzą! - Oparł się bezradnie o ścianę i jęknął. - Poszukiwany. O Boże, jak jakiś podrzędny gangster.

- Zdjęcie nie jest nadzwyczajne. Roześmiał się z przymusem.

- A widziałaś kiedyś korzystną fotografię na liście gończym?

Oparła się o ścianę tuż obok niego.

- Victorze, musimy się wydostać z miasta.

- Wróć. To ty się musisz stąd wydostać.

- Co to ma oznaczać?

- Policja nie szuka ciebie. Wsiadaj do tego autobusu. Skontaktuję

cię ze starymi znajomymi. Dopilnują, żebyś znalazła się w

bezpiecznym miejscu.

- Nie.

- Cathy, moja twarz widnieje pewnie w każdej wypożyczalni samochodów! Wydaliśmy prawie wszystkie pieniądze na bilety.

Musisz je wykorzystać!

- Nie zostawię cię.

- Nie masz wyboru.

- A właśnie że mam. Postanowiłam przyczepić się do ciebie jak klej. Bo tylko z tobą czuję się bezpieczna. Tylko na ciebie mogę liczyć!

- Sam będę szybszy. Ty mnie spowalniasz. Do diabła, nie chcę, żebyś została ze mną.

- Nie wierzę ci.

- Wcale mi nie zależy, żebyś mi wierzyła.

- Popatrz mi w oczy i powiedz to! - Złapała go za ramię i zmusiła go, by spojrzał jej w twarz. - Powiedz, że nie chcesz, żebym z tobą została!

Zaczął coś mówić, powtarzać swoje kłamstwo. Widziała w jego oczach, że nie mówi prawdy. I dostrzegła jeszcze coś, co odebrało jej dech w piersiach.

- Nie chcę... nie potrzebuję...

Nie spodziewała się jednak pocałunku. Potem nie pamiętała, jak to się stało. Wiedziała tylko, że jego ramiona ogarnęły ją i nagle

porwały w jakieś ciepłe, bezpieczne i cudowne miejsce. Na początku

był to uścisk powodowany bardziej desperacją niż namiętnością.

Znaleźli się poza strachem, poza potrzebą. To było zjednoczenie dusz,

którego nic już nie zdoła rozerwać, nawet jeżeli coś ten uścisk

rozdzieli, nawet jeżeli już nigdy się nie dotkną.

Kiedy w końcu oderwali się od siebie i popatrzyli w swoje

twarze, czuła jeszcze smak jego warg.

- Widzisz? - szepnęła. - Chcesz, żebym z tobą była. Uśmiechnął

się i dotknął jej policzka.

- Nie umiem kłamać.

- Potrzebujesz mnie. Nie możesz pokazać twarzy, ale ja mogę!

Mogę kupować bilety, biegać na posyłki...

- Jedyne, czego teraz potrzebuję - westchnął - to nowej twarzy. -

Wyjrzał na ulicę. - A ponieważ nie mamy pod ręką chirurga

plastycznego, zasuwamy na stację kolejki. Teraz będzie tłok.

Spróbujemy dojechać do East Bay...

- Boże, ale ze mnie idiotka! - jęknęła Cathy. - Naprawdę

potrzebujesz nowej twarzy! Chodź! Nie ma dużo czasu...

- Cathy? Dokąd biegniesz?

- Musimy znaleźć budkę telefoniczną.

- A do kogo zadzwonimy?

Odwróciła się i posłała mu zniecierpliwione spojrzenie.

- Do kogoś, kogo oboje znamy i kochamy.

Jack właśnie pakował walizkę, kiedy zadzwonił telefon. Nie miał

zamiaru odbierać, ale wydawało mu się, że w sygnale jest jakieś uporczywe naleganie, więc w końcu podniósł słuchawkę. Natychmiast tego pożałował.

- Jack?

- Powiedz mi, że to nieprawda...

- Jack, będę mówić szybko, bo telefon może być na podsłuchu...

- Nigdy bym nie przypuszczał.

- Potrzebuję mojej walizeczki do charakteryzacji. I trochę gotówki. Przysięgam, że ci wszystko zwrócę. Przywieź ją tam, gdzie kręciliśmy ostatnią scenę „Kretynoida”. Pamiętasz, gdzie to było.

- Zaczekaj, Cathy! Już i tak mam kłopoty!

- Za godzinę. Nie mogę dłużej czekać.

- Jest godzina szczytu! Nie zdążę...

- To ostatnia przysługa, o jaką cię proszę. - Urwała, a potem dodała cichutko: - Proszę!

Westchnął głośno.

- To już naprawdę ostatni raz. Obiecujesz?

- Jack, za godzinę. Będę czekać.

Odłożył słuchawkę i utkwiał wzrok w walizce. Była tylko do połowy spakowana, ale to musi wystarczyć. Na pewno dziś wieczorem tu nie wróci. Zamknął ją i zaniósł do jaguara. Gdy odjeżdżał, nagle zdał sobie sprawę, że zapomniał odwołać swoją dzisiejszą randkę z Lulu.

Teraz nie ma na to czasu, pomyślał. Mam ważniejsze sprawy na

głowie: muszę prysnąć z miasta.

Lulu będzie wściekła jak osa, ale jakoś jej to wynagrodzi. Para kolczyków z brylantami powinna załatwić sprawę. Dobra stara Lulu, łatwo jej zrobić przyjemność. Taką kobietę mógł zrozumieć.

Na rogu Piątej i Mission zbierali się ludzie ulicy. Za piętnaście szósta panował tu jeszcze większy zgiełk niż zwykle. Ktoś puścił plotkę, że w darmowej jadłodajni będą serwować gulasz z wołowiny a la Bourguignonne, który, jak twierdzili ci, którzy pamiętali lepsze czasy, przygotowywano z dodatkiem czerwonego wina. Nikt nie mógł przepuścić takiej okazji, nawet jeżeli alkohol wyparował podczas gotowania. Tak więc stali i opowiadali sobie o posiłkach, które kiedyś jedli, o pogodzie, o długich kolejkach w urzędzie do spraw bezrobotnych.

Nikt nie zauważył dwojga nieszczęśników skulonych we wnęce drzwi wiodących do lombardu.

Mamy fart, pomyślała Cathy, chowając się w fałdach płaszcza przeciwdeszczowego. Smutna prawda brzmiała, że oboje zaczęli już wtapiać się w ten tłum. Chwilę wcześniej złapała swoje odbicie w szybie wystawowej lombardu i prawie siebie nie poznała. Ile to już czasu nie zdążyłam dotknąć grzebieniem włosów? Nie jadłam przyzwoitego posiłku ani nie przespałam spokojnie nocy?

Victor wcale nie wyglądał lepiej. Podarta koszula i dwudniowy zarost podkreślały wygląd człowieka wyczerpanego, niemożliwy do pomylenia. Mógł pójść po zupę dla bezdomnych i nikt nie zwróciłby

na niego uwagi. Będzie wyglądał jeszcze gorzej, kiedy się za niego

zabiorę, pomyślała w przypiływie wisielczego poczucia humoru.

Jeżeli Jack w ogóle się pojawi.

- Jest pięć po szóstej - mruknął Victor. - Daj mu jeszcze chwilę.

- Nie mamy dużo czasu.

- Możemy jeszcze zdążyć na autobus.

Wyrzała na ulicę, jakby chciała przywołać swojego byłego męża

samą siłą woli. Szybciej, Jack!

- Popatrz! - usłyszała niski pomruk, a potem wyrazy uznania ze

strony sporej grupki zebranych.

- Hej, panie ładny! - zawołał jeden ze zgromadzonych. - Co

robiłeś, że masz taki wózek?

Poprzez tłumek Cathy dostrzegła błysk chromu i coś w kolorze

burgunda.

- Odwał się od mojego samochodu! - zabrzmiał zdenerwowany

głos. - Dopiero był umyty!

- Widać, że elegancik się zgubił. Wjechałeś nie w tę przecznicę,

co, panie ładny?

Cathy aż podskoczyła.

- Jest! Przyjechał!

Przepchnęła się wraz z Victorem przez tłumek i zobaczyła, że

Jack stoi obok jaguara.

- Nie dotykaj! - wrzasnął, kiedy jeden z gapiów przejechał

brudnym paluchem po karoserii. - Nie możecie się wziąć do jakiejś

uczciwej roboty?

- Roboty? - krzyknął któryś. - A co to jest?

- Jack! - zawołała Cathy.

Na jej widok wydał głośnie westchnienie ulgi.

- To już ostatnia przysługa. Naprawdę koniec... Podeszedł do

bagażnika i odepchnął kolejną łapę głaszczącą bordową tylną flankę jaguara.

- Proszę. Walizeczka i cały twój kram. Doręczono zgodnie z obietnicą. Muszę lecieć.

- Dokąd jedziesz? - zapytała.

- Nie wiem. - Wsiadł z powrotem do samochodu. - Dokąds.

Gdziekolwiek!

- Widzę, że jedziemy w tym samym kierunku.

- O Boże. Mam nadzieję, że nie. - Zapalił silnik.

- Do zobaczenia, panie ładny! - zakrzyknął któryś z gapiów.

- Naprawdę powinnaś zastanowić się nad towarzystwem, w którym przebywasz. Cześć, kurczątku - powiedział Jack sucho.

Jaguar ruszył z jękiem opon, wóz wziął zakręt i wtopił się w ruch uliczny. Cathy odwróciła się i zauważyła, że jest przedmiotem obserwacji licznie zebranych meneli. Victor zbliżył się do niej, zmęczony i głodny, i stanął twarzą w twarz ze zmęczonym i głodnym tłumem.

- Kim był ten palant w jagu? - zawołał ktoś.

- To mój były - odparła Cathy.

- Lepiej mu się powodzi niż tobie, kochana.

- Bez żartów. - Podniosła walizeczkę i roześmiała się z pozorną beztroską. - Proszę gnojka o jakieś ciuchy, a ten mi z łaski przywozi zmianę bielizny.

- Kochaniutka, zawsze tak jest.

Mężczyźni zaczęli się rozchodzić, tworząc małe grupki w bramach i przy narożnym kiosku z gazetami. Ich zainteresowanie zniknęło w sieni dali, tak jak jaguar.

Przy Cathy i Victorze został tylko jeden człowiek, który przyglądał im się ze współczuciem.

- To wszystko, co ci zostawił? Ten palant z taką bryką? - Już miał odejść, gdy coś go tknęło. - Potrzebujecie chaty, żeby przenocować? Mam dużo znajomych. Taka laleczka nie powinna zostać na noc na lodzie.

- Dzięki za propozycję - wykręcił się Victor, wzięwszy Cathy za rękę. - Spieszmy się na autobus.

Facet kiwnął głową i odszedł, powłócząc nogami.

Życzliwa ale nefartowna dusza, której ulica nie odarła jeszcze z elementarnej przyzwoitości.

- Mamy pół godziny. Lepiej bierzmy się do roboty - Victor ponaglił Cathy.

Ruszyli przed siebie, pragnąc skryć się w pasażu pomiędzy domami, kiedy Cathy nagle przystanąła.

- Victor...

- Co się stało?

- Spójrz. - Wskazała drżącą ręką na kiosk z gazetami.

Pod plastikową osłoną widniał egzemplarz popołudniówki „San Francisco Examiner”. Z pierwszej strony bił w oczy tytuł: „Dwie ofiary, to samo nazwisko. Policja sprawdza, czy to przypadek”.

Poniżej widniało zdjęcie młodej blondynki, podpis był ukryty. Cathy jednak wcale nie musiała go czytać. Znała jej nazwisko.

- Już dwie - wyszeptała. - Victorze, miałeś rację.

- Tym bardziej musimy się stąd wynieść.

Szli ulicą, oddalając się od stoiska z gazetami, ale przed oczami miała obraz młodej kobiety o blond włosach, kolejnej ofiary. Drugiej Catherine Weaver.

W przeciwieństwie do większości kolegów, O'Hanley przyszedł do służby z chęci niesienia pomocy. Za plecami koledzy mówili o nim Harcerzyk. Przewisko to jednocześnie denerwowało go i sprawiało mu przyjemność. Wskazywało na to, że nie pasuje do tej zbieraniny.

A także na to, że jest ponad intrygami i zabiegami o awans. Nie po to wychodził na ulice, by świecić policyjną odznaką na mundurze.

I dlatego ostatnie zadanie było dla niego tak frustrujące.

Całe to wystawanie na dworcu autobusowym, i to tylko dlatego, że ktoś podobno kilka godzin temu tego człowieka widział. O'Hanley nikogo takiego nie zauważył. Przyglądał się wszystkim, którzy wchodzili. Większość z nich stanowiła żaloszny widok. I nic dziwnego, bo teraz każdy, kto ma parę dolców w kieszeni, leci samolotem.

Sądząc po tym, jak większość z nich wyglądała, to ci mieli niewiele więcej niż kilka centów.

Na przykład ta para skulona na ławce w poczekalni. Pewnie ojciec i córka, widać, że szczęście im nie sprzyja. Córka w starym płaszczu, z kołnierzem postawionym tak, że widać tylko strzechę potarganych włosów. Ojciec w jeszcze gorszym stanie, wychudzona twarz, siwe wąsy i broda, stary jak Matuzalem. Mimo wszystko była w tym starym dziadku jakaś resztką dumy - O'Hanley zauważył, że trzyma się prosto i z godnością. Za młodych lat musiał to być gość imponującej postury, jeszcze teraz miał z metr dziewięćdziesiąt. Przez głośnik wezwano ostatnich pasażerów autobusu do Pałó Alto. Staruszek z córką wstali.

O'Hanley z niepokojem przyglądał się, jak para przeszła przez halę dworca w stronę stanowisk, z których odjeżdżały autobusy. Kobieta miała ze sobą tylko małą walizeczkę, która musiała być dość ciężka. Miała pełne ręce roboty, bo starała się prowadzić starego człowieka. Wszystko było w porządku do momentu, kiedy wpadł na nich jakiś dzieciak.

Miał może z sześć lat, typ, do jakiego żadna matka nie lubi się przyznawać, taki, który robi złą opinię wszystkim sześciolatkom. Przez ostatnie pół godziny chłopak ganiał po dworcu, rozsypując popiół z popielniczek, przewracając walizki, zatraskując drzwiczki szafek na bagaż. Teraz biegał. Tyle że tyłem.

O'Hanley wiedział, że tak się stanie. Stary człowiek i jego córka

szli wolno w stronę autobusu. Szczeniak zbliżał się do nich. Kolidacja nie do uniknięcia. Dzieciak rąbnął w kolana kobiety, walizeczka wypadła jej z rąk. Kobieta straciła równowagę i oparła się o swojego towarzysza. O'Hanley zamarł, oczekując, że staruszek się przewróci. Ku jego zdumieniu starzec po prostu złapał kobietę w ramiona i postawił ją na ziemi.

O'Hanley ruszył im z pomocą.

- W porządku, proszę pani?

Kobieta zareagowała tak, jakby ją uderzył. Wpatrywała się w niego wzrokiem zaszczutego zwierzęcia.

- Słucham? - zapytała.

- Czy wszystko dobrze? Chyba mocno panią uderzył. Skinęła głową.

- A wy, dziadku?

- Nic się nie stało - odpowiedziała szybko. - Chodźmy, tato, bo ucieknie nam autobus.

- Może pani pomóc?

- Bardzo pan uprzejmy, ale damy sobie radę. Kobieta

uśmiechnęła się do policjanta. Coś tu się nie

zgadza. Ten uśmiech... O'Hanley patrzył, jak drepczą w stronę

czternastki, i marszczył czoło. Coś tu nie gra... Odwrócił się i omal się

nie potknął o walizeczkę. Kobieta musiała o niej zapomnieć. Schwycił

ją i pobiegł do autobusu. Za późno, czternastka do Paño Alto właśnie

odjeżdżała. O'Hanley stał bezradnie na krawężniku i patrzył na

znikające za rogiem tylne światła. Zaniósł walizczkę do Działu

Rzeczy Znalezionych, a potem znowu zajął miejsce przy wejściu. Już

siódma, a podejrzanego Victora Hollanda ani widu, ani słychu.

O'Hanley westchnął. Żeby tak marnować czas policjanta.

Pięć minut po opuszczeniu San Francisco stary człowiek siedzący

w autobusie zwrócił się do kobiety w płaszczu przeciwdeszczowym i

powiedział:

- Ta broda mnie zamorduje.

- Ale spełniła swoje zadanie, prawda? - Cathy roześmiała się i

pociągnęła za fałszywe baczki.

- Daj spokój. Do końca mieliśmy policyjną eskortę. - Podrapał

się po brodzie. - Szlag by trafił, jak ci aktorzy to wytrzymują? Swędzi

mnie tak, że zwariuję.

- Mam ci ją zdjąć?

- Lepiej nie. Zaczekaj, aż dojedziemy do Palo Alto. Jeszcze

godzina, pomyślała. Oparła się wygodniej i spojrzała na autostradę

przesuwającą się za oknem.

- A co potem? - zapytała cicho.

- Postukam do paru drzwi. Może znajdę jakichś starych kumpli.

Minęło sporo czasu, ale jeszcze kilku zostało.

- Mieszkałeś tam kiedyś?

- Wieki temu. Kiedy jeszcze byłem w college'u.

- Absolwent Stanfordu.

- Dlaczego zabrzmiało to trochę pogardliwie?

- Bo ja kibicowałam Bearsom z Berkeley.

- Czyli że zadaję się ze swoim śmiertelnym wrogiem?

Chichocząc, przytuliła się do niego i wciągnęła w płuca ciepły, znajomy zapach jego ciała.

- To było inne życie. Uniwersytet w Berkeley i dzinsy.

- Piłka nożna. Wariackie balangi.

- Wariackie balangi? - zdziwiła się. - Ty?

- No nie, znam je tylko z opowiadań...

- Gra we frisbee. Seminaria na trawniku...

- Wiek niewinności - powiedział cicho. Oboje umilkli.

- Victorze? - zapytała. - A jeżeli twoich przyjaciół już tam nie ma? Albo jeżeli nas nie przyjmą?

- Powoli. Podejźmy do sprawy z marszu. Inaczej to wszystko nas przytłoczy.

- Tak już się chyba stało. Przytulił ją do siebie mocno.

- Hej, wszystko jest dobrze. Wyjechaliśmy z miasta. Pod samym nosem policji. Myślę, że to duży sukces.

Nie mogła się powstrzymać, aby nie uśmiechnąć się pod nosem na wspomnienie młodego gorliwego policjanta.

- Wszyscy gliniarze powinni być tacy uczynni.

- Lub ślepi - parsknął Victor. - Nie mogę uwierzyć, że nazwał mnie dziadkiem.

- Kiedy zabieram się do charakteryzacji, robię to przyzwoicie.

- Jak widać.

Włożyła mu rękę pod ramię i pocałowała w siwe bokobrody.

- Zdradzić ci pewną tajemnicę?

- No pewnie.

- Szaleję na punkcie starszych panów. Rozpogodził się i uśmiechnął dwuznacznie.

- Mówimy o dużo starszych? Pocałowała go znowu, tym razem w usta.

- Dużo, dużo starszych. Sędziwych.

- No tak. Może ta broda ma jakieś dobre strony. Ujął jej twarz w dłonie. Tym razem to on ją całował, długo i namiętnie, nie myśląc wcale o tym, gdzie są i dokąd jadą.

Cathy poczuła, że zapada się w fotelu, w jakąś przestrzeń, z której nie ma ucieczki, ale jest bezpieczna.

- Tak trzymaj, dziadku! - zawołał ktoś z głębi autobusu.

W migającym oświetleniu autobusu Cathy zobaczyła błysk w oku Victora i cień kpiącego uśmiešku. Odwzajemniła go i szepnęła:

- Tak trzymaj, dziadku.

Cały dworzec autobusowy oblepiony był listami gończymi z twarzą Victora Hollanda. Polowski zachnął się z irytacji na widok zdjęcia człowieka, co do którego niewinności miał nieodparte przekonanie. To wszystko przeobraziło się w jakieś cholerne polowanie z nagonką. Jeżeli Holland nie jest dotąd wystarczająco przerażony, to ukryje się jeszcze lepiej i znajdzie się poza zasięgiem osób, które mogłyby mu pomóc. Polowski miał nadzieję, że także

poza zasięgiem tych, którzy mają mniej niewinne zamiary.

Holland byłby idiotą, gdyby spacerował po dworcu wśród tych wszystkich listów gończych. Ale Polowski miał instynkt w takich sprawach, wiedział, jak zachowują się desperaci. Gdyby był na miejscu Hollanda, miał na karku zabójcę, a u boku kobietę, którą musi się opiekować, to wiedziałby, co zrobić - przede wszystkim zniknąć z San Francisco. Samolot nie wchodził w rachubę, Holland miał mało kasy. Karta kredytowa - wykluczona. To przekreśla również wypożyczenie samochodu. Co pozostaje? Jazda stopem lub autobus. Polowski postawił na autobus.

Ostatnie informacje potwierdzały jego przeczucie. Podśluch założony na telefonie Zuckermana zasygnalizował rozmowę z Cathy Weaver. Ustaliła miejsce spotkania, którego w pierwszej chwili Polowski nie potrafił zidentyfikować. Stracił w biurze całą godzinę na to, by znaleźć kogoś, kto nie tylko widział film Zuckermana „Kretynoid”, ale mógł do tego zidentyfikować miejsce sfilmowania ostatniej sceny. W okolicach Mission, oznajmiła w końcu jakaś maniaczka kina pracująca w archiwum. Tak, była tego pewna. Potwór wydostał się przez studzienkę kanalizacyjną na samym rogu Piątej i Mission i pożarł jednego czy dwóch meneli, zanim główny bohater nie rozwalił go fortepianem zapakowanym w skrzynię. Polowski nie czekał, by się dowiedzieć, jak to się skończyło, bo pobiegł do samochodu.

Ale było już za późno. Holland, kobieta i Zuckerman zniknęli.

Polowski krążył po Mission z zamkniętymi oknami i zablokowanymi drzwiami, zastanawiając się, kiedy lokalna policja oczyści wreszcie te ulice.

Wtedy przypomniał sobie, że dworzec autobusowy znajduje się tylko kilka przecznic dalej.

Stał teraz w hali pomiędzy zmęczonymi i przymulonymi podróżnymi i zaczynał myśleć, że tylko traci czas. Przy automacie do kawy zobaczył gliniarza popijającego kawę ze styropianowego kubka.

Polowski podszedł do niego.

- FBI - powiedział, mignawszy odznaką.

Policjant wyprostował się jak struna.

- Szeregowy O'Hanley, szefie.

- Coś się dzieje?

- Znaczy... dzisiaj?

- Tak. Tutaj.

- Nie, szefie - westchnął O'Hanley. - Kompletna kłapa. To

znaczy, mógłbym pójść na patrol. A kazali mi tu sterczeć i przyglądać się ludziom.

- Obserwacja?

- Tak, szefie. - Kiwnął głową w stronę plakatu z listem gończym.

- Chodzi o tego faceta. Strasznie są na niego napaleni. Mówią, że to szpieg.

- Taka jest teraz wersja? - Polowski rozejrzał się leniwie. -

Widziałeś tu kogoś, kto by go przypominał?

- Nikogo. A pilnuję przez cały czas. Najwidoczniej Hollanda tu

nie było. Sam odwrócił

się, by odejść, ale coś jeszcze wpadło mu do głowy.

- Podejrzany może podróżować z kobietą - dodał i wyciągnął

zdjęcie Cathy, to, które za jego namową Jack Zuckerman

wspaniałomyślnie ofiarował FBI. - Nie widziałeś jej?

O'Hanley zmarszczył czoło.

- O holender! Podobna do... Nieee. To nie mogła być ona.

- Kto?

- No, była tu kobieta, z godzinę temu. Bezdomna. Jakiś szczeniak

na nią wpadł. Pomogłem jej się pozbierać. Była podobna do tej, ale

wyglądała znacznie gorzej.

- Podróżowała sama?

- Był z nią taki starszy gościu. Chyba ojciec.

Połowski nadstawił uszu.

- Jak ten stary wyglądał?

- Był bardzo stary. Mógł mieć z siedemdziesiąt lat. Krzaczasta

broda, dużo siwych włosów.

- Wysoki?

- Dosyć. Z metr dziewięćdziesiąt. - Głos policjanta zamarł, kiedy

jego spojrzenie utkwilo w zdjęciu na plakacie. Victor Holland miał

metr dziewięćdziesiąt wzrostu. O'Hanley zbladł. - O Boże...

- To był on?

- Nie wiem, nie jestem pewien...

- Zastanów się!

- Nie wiem. Niech pan zaczeka, szefie. Ta kobieta upuściła

walizeczkę! Zostawiłem ją w tamtym okienku...

Wystarczyło mignięcie odznaką FBI i urzędnik w Dziale Rzeczy

Znalezionych podał mu walizeczkę. Gdy Polowski zobaczył jej

zawartość, wiedział, że trafił w dziesiątkę. Wypełniona była

materiałami do charakteryzacji. Na wewnętrznej stronie pokrywy

widniała nalepka: „Własność Firmy Producentckiej Jack Zuckerman”.

- Dokąd poszli? - warknął w stronę O'Hanleya.

- Eee... Wsiedli do autobusu, o tam. O siódmej. Polowski spojrział

na rozkład. O siódmej odjeżdża czternastka do Palo Alto.

Dziesięć minut zabrało mu zlokalizowanie kierownika dworca w

Palo Alto, a kolejne pięć przekonanie go, że to nie jakiś żart

telefoniczny.

- Czternastka z San Francisco? - brzmiała odpowiedź. -

Przyjechał dwadzieścia minut temu.

- A pasażerowie? Może jeszcze się kręcą?

Kierownik tylko się roześmiał.

- Panie, gdyby to od pana zależało, kręciłby się pan po

śmierdzącym dworcu autobusowym?

Sam zaklął i rozłączył się.

- Szefie? - O'Hanley nie wyglądał dobrze. - Nawaliłem, co?

Przeszedł mi przed nosem. Nie mogę uwierzyć, że...

- Olej to.

- Ale...

Polowski skierował się do wyjścia.

- Dopiero zaczynasz - zawołał przez ramię. - Nabierzesz doświadczenia.

- Mam złożyć raport?

- Ja się tym zajmę. Zresztą i tak tam jadę.

- Dokąd?

- Do Palo Alto.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Drzwi otworzyła starsza kobieta o orientalnej urodzie i ograniczonej znajomości angielskiego.

- Pani Lum? Pamięta mnie pani? Victor Holland. Przyjaźniłem się z pani synem.

- Tak, tak!

- Czy zastałem go?

- Tak. - Przeniosła wzrok na Cathy, jak gdyby nie chciała wyłączać swojego drugiego gościa z rozmowy.

- Muszę się z nim zobaczyć - nalegał Victor. - Czy Milo jest tutaj?

- Milo? - Przynajmniej to słowo zdawała się rozpoznawać.

Odwróciła się i zawołała coś po chińsku.

Skrzypnęły drzwi i na schodach zadudniły kroki. Mężczyzna koło czterdziestki, w dżinsach i bawełnianej koszuli, podszedł do drzwi frontowych. Wyglądał jak kluseczka i towarzyszył mu lekki zapach

chemikaliów, czegoś ostrego i kwaśnego. Wycierał ręce w ścierkę.

- W czym mogę pomóc?

- Miło Lum! - Victor rozpromienił się. - Dalej ukrywasz się w piwnicy swojej mamy?

- Słucham? - spytał grzecznie Miło. - Czy my się znamy, proszę pana?

- Nie poznajesz dawnego członka zespołu Fałszywa Nuta?

Miło wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

- Gershwin? To niemożliwe...

- Tak, wiem - odparł Victor, śmiejąc się. - Czas nie obszedł się ze mną łaskawie.

- Nie chciałem nic mówić, ale...

- Nie będę brał tego do siebie, bo - Victor odkleił fałszywą brodę - ta twarz nie jest moja.

Miło spojrzał na kłęb sztucznych włosów zwisających z ręki

Victora jak zdechłe zwierzę, a potem na jego podbródek podrażniony od kleju.

- Robisz sobie żarty ze starego Miła? - Wystawił głowę przez drzwi i zerknął na chodnik. - A inni faceci gdzieś się chowają, żeby wrzasnąć „Niespodzianka"! Prawda? To jakiś kawał.

- Chciałbym, żeby tak było - mruknął Victor. Miło natychmiast zauważył cień niepokoju w jego głosie. Popatrzył na Cathy, a potem znowu na Victora. Kiwając głową, odsunął się na bok.

- Wejdźcie. Widzę, że mamy dużo do nadrobienia. Przy późnej

kolacji składającej się z chińskiej zupy z kaczki z makaronem sojowym i jaśminowej herbaty, Milo usłyszał całą historię. Nie mówił wiele; wydawało się, że jest głównie skupiony na siorbaniu resztek ze swej miseczki. Dopiero kiedy uśmiechająca się przez cały czas pani Lum ukloniła się im na dobranoc i podreptała do sypialni, Milo skomentował sytuację.

- Muszę przyznać, stary, że jak już wpadasz w tarapaty, to robisz to starannie. Szkoda, że nie można tego powiedzieć o glinach. Gdyby tylko popytali, toby się dowiedzieli, że jesteś całkowicie nieszkodliwy. O ile wiem, to jesteś winien tylko jednej, poważnej zbrodni.

Cathy, zaskoczona, podniosła wzrok.

- Jakiej zbrodni?

- Napaści na uszy słuchaczy, którzy mieli to nieszczęście, że byli świadkami twojej gry na saksofonie.

- I kto to mówi, wirtuoz harmonijki ustnej, który ćwiczy z zatyczkami w uszach? - odciął się Victor.

- Tylko po to, żeby się odseparować od hałasu z zewnątrz.

- Jasne. Głównie własnego. Cathy uśmiechnęła się pod nosem.

- Zaczynam się domyślać, dlaczego daliście swojej grupie nazwę Fałszywa Nuta.

- To tylko takie żarty z siebie - wyjaśnił Milo. - Potrzebowaliśmy tego, kiedy nas nie przyjęto do orkiestry na Stanfordzie. Zobaczmy, co jest na tej rolce filmu.

Poprowadził ich rozklekotanymi schodami do piwnicy. W

powietrzu unosił się zapach chemikaliów, na blatach z nierdzewnej stali stał rząd kuwet, z kranu powoli kapała woda. Do ścian poprzypinane były rozmaite zdjęcia. W większości były to twarze uchwycone na całym świecie. Gdzieś tam widniały zdjęcia jakby pochodzące z serwisu prasowego - żołnierzy szturmujących lotnisko, demonstrantów rozwijających transparent.

- Czy to twoja praca, Milo? - zapytała Cathy.

- Dobrze by było - odparł Milo, kołysząc kuwetą z wywoływaczem. - Nie, pracuję w starym interesie rodzinnym.

- To znaczy?

- Buty. Włoskie. Brazylijskie. Skóra, aligator, sprowadzimy, co zechcesz. - Przyjrzał się fotografiom. - Tak znajduję te egzotyczne twarze. Podczas podróży służbowych, kiedy zamawiamy buty. Jestem ekspertem ód damskiego podbicia.

- I po to - rzekł Victor - spędziłeś cztery lata na Stanfordzie.

- A dlaczego nie? Takie samo dobre miejsce jak każde inne, żeby studiować budowę delikatnej stópki należącej do płci pięknej. -

Zadzwonił minutnik. Milo wylał wywoływacz, wyjął film i powiesił, żeby wysechł. - Właściwie - ciągnął, zezując w stronę negatywów - to było życzenie mojego umierającego ojca. Pragnął, żeby jego syn miał dyplom ze Stanfordu. A ja chciałem nieprzerwanego balowania przez cztery lata. Nasze życzenia się spełniły.

Zamilkł i popatrzył smutno na swoje zdjęcia.

- Szkoda, że nie mogę tego samego powiedzieć o następnych latach.

- Co masz na myśli? - zapytała Cathy.

- To, że balowanie się skończyło. Trzeba dbać o zyski, podnosić sprzedaż. Nigdy nie przypuszczałem, że tak nisko upadnę. Co się stało z naszym entuzjazmem? Zgubił się gdzieś po drodze. W końcu Fałszywa Nuta zaczęła grać tak jak wszyscy. Maszerujemy teraz zgodnie z rytmem nadawanym przez tego samego nudnego perkusistę.

- Westchnął i zerknął w kierunku Victora. - Rozumiesz coś z tych negatywów? Victor potrząsnął przecząco głową.

- Potrzebujemy odbitek.

Milo zgasił światło, pozostawiając czerwoną lampę.

- Już się robi.

Kiedy wyjmował papier fotograficzny, Victor zapytał:

- A co się stało z resztą chłopaków? Masz z nimi kontakt?

- Roger jest wiceprezesem jakiegoś banku w Tokio. Cały w jedwabnych garniturach i krawatach. Bach ma firmę komputerową w San Jose.

- A Ollie?

- Dalej czai się gdzieś w laboratorium Wydziału Medycznego na Stanfordzie. - Milo wykopał pierwszą odbitkę. - Nie wiem nawet, czy wychodzi na światło dzienne. Podejrzewam, że ma jakąś sekretną celę w piwnicy, gdzie trzyma swojego asystenta, Igora, przykutego do ściany.

- Muszę poznać tego faceta - rzekła Cathy.

- Spodobałabyś się mu. - Victor zaśmiał się i uścisnął jej ramię. -

Zwłaszcza że pewnie już zapomniał, jak wyglądają kobiety.

Milo włożył odbitkę do następnej kuwety.

- Tak, Ollie nic się nie zmienił. Dalej jest sową. I dobrze gra na

klarnecie. A twój saks, Gersh? Grasz?

- Nie grałem od miesiący.

- Twoi sąsiedzi to szczęściarze.

- Skąd ta ksywka? Gersh? - zapytała Cathy.

- Stąd - odparł Milo, machając szczypcami, którymi prznosił

kolejne odbitki z jednej kuwety do drugiej - że zawsze głęboko

wierzył we władzę, jaką miał George Gershwin nad sercami kobiet.

„Someone to Watch Over Me”. Czy to nie z powodu tej melodii Lily

zgodziła się... - Nagle urwał i popatrzył z żalem na przyjaciela.

- Masz rację - odparł Victor spokojnie. - To była ta melodia. A

Lily powiedziała „tak”.

Milo pokręcił głową.

- Przepraszam. Chyba ciągle trudno mi się pogodzić z tym, że jej nie ma.

- Rzeczywiście nie ma - odrzekł Victor obojętnie. Cathy zdawała sobie sprawę z jego bólu. - Ale teraz musimy zastanowić się nad czymś innym.

- Tak. - Milo przeniósł uwagę na odbitki, które właśnie skończył wywoływać. Wyłowił je i przypiął kilka do linki, by się wysuszyły. -

Dobra, Gersh. Teraz powiedz, co jest na tym filmie i dlaczego warto za to zabić.

Zapalił światło. Victor stał przez chwilę w zupełnej ciszy, marszcząc czoło na widok pierwszych pięciu odbitek. Cathy widziała tylko serię liczb i kodów, zapisaną dosyć nieczytelnym pismem.

- Rzeczywiście - burknął Milo. - Dużo mi to mówi. Victor zatrzymał się przy piątej odbitce, na której

kolumna cyfr zajmowała całą długość strony. Zawierała dwadzieścia siedem pozycji: każda z nich stanowiła datę, a po niej następowały dwie litery: MA.

- Victorze? - spytała Cathy. - Co to oznacza?

Odwrócił się do nich. Wyraz jego oczu szczerze ją zaniepokoił.

Były jak martwe.

- Musimy zadzwonić do Olliego - rzekł spokojnie.

- Jeszcze dzisiaj? - zdziwił się Milo. - Dlaczego?

- To nie jest zwykły eksperyment naukowy w probówkach i kolbach laboratoryjnych. Posunęli się już dalej, do badań klinicznych.

- Victor wskazał na ostatnią stronę. - To są małpy. Każda z nich została zarażona nowym wirusem, stworzonym przez człowieka. I we wszystkich przypadkach wynik był ten sam.

- To masz na myśli? - Milo pokazał mu ostatnią kolumnę. - MA?

- Tak. Skrót od „martwy”. Wszystkie zdechły.

Sam Polowski siedział na ławce w hali dworca autobusowego w

Palo Alto i myślał: gdybym chciał zniknąć, co bym teraz zrobił?

Przyglądał się kilkunastu pasażerom wsiadającym do autobusu 210 z San Jose, odnotowując w myśli, że w większości to brygada plecakowiczów i trampkarzy. Pewnie studenci ze Stanfordu wyjeżdżający na ferie świąteczne. Zastanawiał się, dlaczego studenci, których stać na taki drogi uniwersytet, nie mogą sobie pozwolić na przyzwoitą parę dzinsów. Albo na to, żeby się porządnie ostrzyć.

W końcu wstał i poszedł zadzwonić - zawiadomił automatyczną sekretarkę swojego szefa, Dafoe, że Victor Holland przeniósł się do Palo Alto. Winien jest przecież przełożonemu informację. Ucieszył się, że rozmawia tylko z maszyną, a nie z nim samym.

Wyszedł z dworca i ruszył przed siebie, sam nie wiedząc dokąd, w poszukiwaniu jakiegoś przeczucia. To była przyjemna dzielnica, miłe miasteczko. W Palo Alto były stare domy profesorów, księgarnie i kawiarnie, gdzie uniwersyteckie typki, tacy z brodami i w okularkach w drucianej oprawie, lubili siedzieć i dyskutować na temat znaczenia Prousta, Brechta i Goethego. Polowski pamiętał swoje czasy studenckie, kiedy po godzinie takich gadek dochodzących z sąsiedniego stolika wrzasnął: może Brecht miał to na myśli, a może coś zupełnie innego. Ale powiedzcie mi, dupki: jakie to ma, do cholery, znaczenie?

Trzeba powiedzieć, że nie wzmocniło to jego opinii poważnego naukowca.

A

teraz,
przemierzając
ulice niewątpliwie po śladach
poważniejszych od niego filozofów, Polowski przetwarzał w swojej
głowie problem Hollanda. A dokładniej pytanie, gdzie taki
zdesperowany człowiek jak on mógł się ukryć.

Holland był naukowcem, muzykiem, człowiekiem nielicznych,
ale trwałych przyjaźni. Miał doktorat z Massachusetts Institute of
Technology, licencjat ze Stanfordu. Uniwersytet znajduje się
niedaleko. Musi wiedzieć, jak się tu poruszać. Z pewnością ciągle ma
przyjaciół w tej okolicy, ludzi, którzy dadzą mu schronienie,
dochowają jego tajemnic.

Postanowił przyrzeć się jeszcze raz aktom sprawy Hollanda.

Gdzieś w dokumentach Virateku musi być jakiś papier dotyczący
zatrudnienia, jakiś list polecający od kogoś ze Stanfordu. Wzmianka o
przyjacielu, do którego Holland może się zwrócić.

Bo prędzej czy później zwróci się do kogoś.

Było już po północy, kiedy Dafoe wrócił z żoną do domu. Był w
doskonałym nastroju, w głowie miał lekki szmerek od szampana, w
uszach dźwięczała mu jeszcze rozdzierająca serce aria z „Samsona i
Dalili”. Opera była jego pasją, błyskotliwą inscenizacją odwagi,
intrygi i miłości, wizji życia o wiele wspanialszego niż ten
małostkowy świat, w którym przyszło mu żyć.

Opera wynosiła go na taki poziom porywającej intensywności, że nawet jego własna żona stawała się podniecająca. Przyglądał się, jak zdejmuje płaszcz i zrzuca buty. Dwadzieścia kilo nadwagi, włosy przyprószone siwizną, ale było w niej coś atrakcyjnego. To już trzy tygodnie. Z pewnością dziś pozwoli mi...

Ale ona zignorowała jego zaloty i powędrowała do kuchni. W chwilę później szum zmywarki zaanonsował, że dostała kolejnego ataku utrzymywania domu w czystości.

Pełen frustracji sięgnął po telefon i nacisnął mrugający przycisk sekretarki. Wiadomość od Polowskiego kompletnie zniweczyła wszelkie erotyczne zamiary, które się jeszcze w nim tliły.

- Mam powód przypuszczać, że Holland znajduje się, lub właśnie opuścił, teren Palo Alto. Będę informować...

Polowski, kretynie jeden. Czy wykonywanie poleceń jest takie cholernie trudne?

W Waszyngtonie była trzecia nad ranem. To nie jest przyzwoita godzina, mimo to zadzwonił. Głos, który mu odpowiedział, był zaspany.

- Tyrone, słucham.

- Kowboju, tu Dafoe. Przepraszam, że cię budzę. Mężczyzna po drugiej stronie linii oprzytomniał.

- Co się dzieje?

- Nowe wieści na temat Hollanda. Nie znam szczegółów, ale pojechał do Palo Alto. Może tam jeszcze być.

- Na uniwersytecie?

- Gdzieś w pobliżu.

- To nam może pomóc.

- Dla starego kolesia wszystko. Będę cię informował.

- Dafoe, jeszcze jedno.

- Tak?

- I żeby nikt mi nie przeszkadzał. Odwołaj swoich ludzi.

Przejmujemy sprawę.

- Tu... może być pewien problem.

- Jaki?

W głosie Kowboja, chociaż spokojnym, zabrzmiał ton ostry jak brzytwa.

- To... jeden z moich ludzi. Czasem działa na własną rękę.

Polowski. Zawziął się na Hollanda i go szuka.

- Istnieje coś takiego jak rozkaz.

- W tej chwili Polowski jest poza moim zasięgiem. Jest w Palo

Alto i kopie nie wiadomo w czym.

- Wolny strzelec. Nie lubię takich.

- Zdejmę go ze sprawy, jak tylko będzie to możliwe.

- Zrób to. I siedź cicho. To sprawa o najwyższym stopniu tajności.

Kiedy Dafoe rozłączył się, jego wzrok automatycznie

powędrował w stronę fotografii na kominku. Na zdjęciu z

sześciesiątego ósmego roku Kowboj i on, młodzi żołnierze piechoty

morskiej, z bronią przewieszoną przez ramię stali po kostki w wodzie na polu ryżowym. Od lojalności współtowarzyszy zależało życie.

Matt Tyrone był bohaterem wtedy i teraz. Dafoe wpatrywał się w uśmiechniętą twarz na zdjęciu z odrobiną zazdrości, która wkradała się w podziw dla tego człowieka. Chociaż Dafoe sam miał powód do dumy - osiemnaście lat nienaganej służby w FBI, szansę na stanowisko zastępcy dyrektora, nie mógł się jednak równać z widowiskowym awansem Matta Tyrone'a w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego. Chociaż Dafoe nie wiedział dokładnie, jakie stanowisko Kowboj tam zajmuje, dochodziły do niego wieści, że Tyrone regularnie bierze udział w posiedzeniach rządu i cieszy się zaufaniem prezydenta. To człowiek, którego kraj potrzebuje, człowiek, dla którego patriotyzm nie oznacza tylko powiewania flagą i pustej retoryki, ale jest sposobem na życie.

Nie wolno go zawieść. Nakręcił numer domowego telefonu Polowskiego i nagrał swoją wiadomość.

- To jest rozkaz. Masz się natychmiast wycofać ze sprawy Hollanda. Jesteś zawieszony aż do odwołania.

Kusiło go, aby dodać, że to na szczególną prośbę jego przyjaciół z Waszyngtonu, ale zmienił zdanie. To nie miejsce na próżność. Sam Kowboj powiedział, że wchodzi tu w grę bezpieczeństwo narodowe.

Dafoe nie miał co do tego wątpliwości. Miał na to słowo Matta Tyrone'a. A władza Matta pochodzi bezpośrednio od samego prezydenta.

- To wcale nie wygląda dobrze.

Ollie Wozniak zmrużył oczy osłonięte okularami w drucianej oprawie i popatrzył na dwadzieścia cztery fotografie rozrzucone na kuchennym stole. Wziął jedną, by lepiej jej się przyjrzeć.

Bładoniebieskie oko przezierające zza szkła grubego jak dno od butelki stało się wyłupiaste i ogromne. Potrząsnął głową i przyjrzał się kolejnemu zdjęciu.

- Niektórych nie potrafię zinterpretować. Przyjrzę im się później.

Ale te dotyczą prowizorycznych danych na temat śmiertelności.

Małpy rezusy, podejrzewam, że to o nie chodzi.

- Chyba nie używaliby ludzi do takich rzeczy - zauważyła Cathy.

- Może nie oficjalnie. - Ollie odłożył zdjęcie. - Były już takie przypadki.

- Może w nazistowskich Niemczech.

- Tutaj też - wtrącił Victor.

- Co? - Cathy patrzyła na nich z niedowierzaniem.

- Badania wojska nad bronią bakteriologiczną. Wypuszczano kolonie *serratia marcescens* nad San Francisco i czekano, jak daleko się rozprzestrzenia. W wielu szpitalach nad Zatoką rozwijały się infekcje. Niektóre przypadki kończyły się śmiercią.

- Nie mogę w to uwierzyć - szepnęła Cathy.

- Skutki śmiertelne były oczywiście niezamierzone, ale jednak ludzie umierali.

- A pamiętacie ten przypadek w Nowym Jorku? - zapytał Ollie. -

Opóźnione umysłowo dzieci celowo wystawiano na kontakt z żółtaczką. Żadne z nich nie zmarło, ale podstawy etyczne takiego badania są również wątpliwe. Czasami postępowano tak w imię dobra ludzkości.

- A czasami nie - dodał Victor. Ollie przytaknął.

- Tak jak w tym konkretnym wypadku.

- O czym właściwie mówimy? - zapytała Cathy, wskazując na fotografie. - Czy są to badania medyczne? Czy prace nad nową bronią?

- I to, i to. - Ollie wskazał na jedno ze zdjęć. - Wszystko wskazuje na to, że pracują nad wirusem niezwykle złośliwym i zaraźliwym, prowadzącym do śmiertelności na poziomie ponad osiemdziesięciu procent w warunkach laboratoryjnych. To zdjęcie pokazuje pęcherzykowate zmiany tworzące się na zainfekowanych osobnikach. Pęcherzyki, a raczej obecny w nich płyn, mogą być jedną z dróg przenoszenia się infekcji.

Przerzucił odbitki i wyjął jedną z nich.

- Oto tabela z czasem trwania choroby. Prawie w każdym przypadku jest ten sam. Tutaj osobnik zostaje zarażony. - Wskazał palcem na podpis „Dzień pierwszy”. - „Drobne oznaki choroby” tutaj, przy „Dniu siódmym”. „Obfita wysypka” przy „Dniu dwunastym”. A tutaj... - postukał palcem w wykres przy „Dniu czternastym” - zaczynają się zejścia śmiertelne. Rezultat jest ten sam, choć o różnym czasie. Wszystkie osobniki umierają.

- Użyłeś słowa „wysypka” - zauważyła Cathy. Ollie popatrzył na nią swoimi niebieskimi oczami.

- Bo tak to wygląda - powiedział.

- Jak wietrzna ospa?

- Dobrze by było. Bo wtedy nie byłaby to śmiertelna choroba.

Prawie wszyscy przechodzimy wietrzną ospę jako dzieci i większość z nas się na nią uodpornia.

- Czy to jest nowy wirus? - zapytał Milo.

- I tak, i nie. - Ollie sięgnął po mikrogram elektroniczny. - Kiedy to zobaczyłem, pomyślałem, że jest w tym wszystkim coś dziwnie znajomego. Wygląd tych organizmów, zmiany na skórze, przebieg choroby. Coś mi to przypominało. Coś, o czym czytałem parę dziesiątków lat temu. Coś, czego w najśmielszych snach nie spodziewałem się znowu zobaczyć.

- Chcesz przez to powiedzieć, że to stary wirus? - zapytał Miło.

- I to bardzo, ale zmodyfikowano go i stał się bardziej zaraźliwy.

I jeszcze bardziej zjadliwy. Co uczyni go naprawdę straszliwą bronią, mając na uwadze miliony ludzi, które już zdołał zabić.

- Miliony? - Cathy wpatrywała się w niego. - O czym ty mówisz?

- O zabójcy znanym od wieków. O czarnej ospie.

- To niemożliwe! - zawołała. - Czytałam, że ospa już nie występuje. Wygasła.

- Praktycznie tak - odrzekł Victor. - Szczepienia na całym

świecie doprowadziły do tego, że nie ma jej od dziesiątków lat. Nawet

nie wiem, czy produkują jeszcze szczepionki. Ollie?

- Nie ma takiej potrzeby, bo wirus nie istnieje.

- To skąd się ten wziął? - dopytywała się Cathy. Ollie wzruszył ramionami.

- Pewnie z czyjejsz szafy.

- Daj spokój.

- Mówię serio. Po zwalczeniu ospy w laboratoriach państwowych pozostawiono kilka szczepów wirusa, na wypadek, gdyby były potrzebne w przyszłości do jakichś badań. Można powiedzieć, że to taki naukowy trup w szafie. W takich laboratoriach obowiązują nadzwyczajne środki ostrożności. Bo gdyby wirus wydostał się na zewnątrz, mogłoby dojść do wielkiej epidemii. - Popatrzył na stos zdjęć. - Wygląda na to, że zabezpieczenia zostały złamane. Ktoś musiał zdobyć wirusa.

- Albo zwyczajnie go dostał - zasugerował Victor. - Dzięki wsparciu rządu Stanów Zjednoczonych.

- Nie mogę w to uwierzyć - odparł Ollie. - To jest igranie z ogniem na beczce dynamitu. Żadna komisja nie zaaprobowałaby takiego przedsięwzięcia.

- Racja. Dlatego uważam, że to jest niezależna operacja. Łatwo rozszyfrować scenariusz. Grupka konserwatystów w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego wpada na pomysł. Albo kilku facetów z połączanego kolegium szefów sztabu. A może nawet z Gabinetu Ovalnego. Wystarczy, że ktoś powie: „Sytuacja światowa zmieniła

się. Nie da się puścić atomówki na wroga. Potrzebujemy nowej broni, takiej, która będzie skuteczna w walce z armią trzeciego świata.

Opracujmy coś nowego". I jakiś facet w tym gabinecie, czerwono - biało - granatowy robot, potraktuje to jako przyzwolenie. A prawo międzynarodowe niech trafi szlag.

- A ponieważ sprawa nie jest oficjalna - dodała Cathy - w razie czego można całkowicie się wszystkiego wyprzeć.

- Racja. Władze stwierdzą, że nikt nic nie wiedział. Jeżeli nawali coś w Projekcie Cerber, zginie kilka milionów ludzi.

- Zostałem zaszczepiony na ospę, kiedy byłem dzieciakiem. Czy to oznacza, że jestem odporny?

- Zapewne tak. Zakładając, że wirus nie został zmutowany.

Faktem jest, że osoby powyżej trzydziestego piątego roku życia prawdopodobnie nie są zagrożone. Ale pamiętajcie, że całe następne pokolenie nie dostało tej szczepionki. Młode osoby i dzieciaki. Do chwili, kiedy zdołalibyśmy wyprodukować ilość dostateczną dla wszystkich, epidemia już by się rozszalała.

- Zaczynam dostrzegać w tym jakąś logikę - powiedział Victor. -

Kim jest większość żołnierzy biorących bezpośredni udział w każdej wojnie? To młodzi ludzie.

Ollie kiwnął głową.

- Oni ucierpieliby najbardziej. I dzieciaki.

- Całe pokolenie - rzekła cicho Cathy. - Ocaleliby tylko starzy

ludzie. - Spojrzała Victorowi w oczy i zobaczyła odbicie swojego

strachu.

- Wybrali właściwy kryptonim - rzucił Milo.

- Słucham? - Ollie zachmurzył się.

- Cerber. Trójgłowy pies z Hadesu. - Widać było, że Milo jest roztrzęsiony. - Strażnik zmarłych.

Dopiero gdy Cathy twardo zasnęła, a Milo poszedł na górę,

Victor zdecydował się przedstawić sprawę Olliemu. Męczyło go to przez cały wieczór. Nie mógł spojrzeć Cathy w oczy, nie mógł znieść dźwięku jej głosu ani chłonać zapachu jej włosów, nie myśląc jednocześnie o tej straszliwej możliwości. I w tej najczarniejszej godzinie nocnej, kiedy zdawało się, że cały świat - prócz niego i Olliego - jest pogrążony we śnie, podjął decyzję.

- Muszę cię poprosić o przysługę.

Ollie spojrzał na niego przez stół, nad którym unosiła się para znad jego czwartej filiżanki kawy. . - Co to za przysługa?

- W związku z Cathy.

Ollie przeniósł wzrok na kobietę śpiącą na podłodze. Pod kołdrą wyglądała na małą i bezbronną.

- Fajna dziewczyna - stwierdził Ollie.

- Wiem.

- Od śmierci Lily nie było żadnej innej, prawda? Victor potrząsnął głową.

- Chyba nie byłem gotowy. Ollie uśmiechnął się.

- Zawsze są jakieś wymówki. Wiem coś o tym. Wszyscy mi

mówią, że są tłumy wolnych kobiet. Nie zauważyłem.

- A mnie się nie chciało zauważyć, aż do teraz.

- Co zrobisz?

- Nie jestem facetem, z którym jest się teraz bezpiecznie prowadzić. Dziewczyna może oberwać.

Ollie zaśmiał się.

- Facet też.

- Czuję się za nią odpowiedzialny. Gdyby coś się jej stało, nie wiem, czy mógłbym... - Westchnął i potarł zaczerwienione oczy. - Chyba byłoby najlepiej, gdyby wyjechała.

- Dokąd?

- Jej były mąż przez kilka miesięcy będzie pracował w Meksyku.

Myślę, że byłaby tam bezpieczna.

- Chcesz ją wysłać do byłego męża?

- Znam go. To palant, ale nie byłaby sama.

- Czy Cathy się na to zgadza?

- Nie pytałem.

- Może powinienes.

- Nie chcę jej dawać wyboru.

- A jeżeli chciałaby mieć wybór?

- Nie jestem teraz w nastroju, żeby się tym przejmować. Robię to dla jej dobra.

Ollie zdjął okulary i przetaił je rogiem obrusa.

- Przepraszam, że to mówię, Gersh, ale na twoim miejscu

chciałbym mieć ją blisko, żeby mieć na nią oko.

- To znaczy tam, gdzie będę mógł zobaczyć, jak ją zabijają? -

Victor potrząsnął głową. - Wystarczyła mi Lily. Nie chcę jeszcze raz przez to przechodzić z Cathy.

Ollie pomyślał przez chwilę, a potem skinął głową.

- Co mam zrobić?

- Chciałbym, żebyś jutro zawiózł ją na lotnisko. Kup jej bilet do Meksyku. Niech użyje twojego nazwiska. Pani Wozniak. Upewnij się, że odleci. Zwrócę ci pieniądze, jak tylko będę mógł.

- A jeżeli nie będzie chciała wsiąść do samolotu? Mam ją po prostu wnieść na pokład?

- Zrób, co należy. Ollie, liczę na ciebie.

- Może mi się uda. Powiem jutro w pracy, że jestem chory. Będę miał wolny cały dzień. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

Ja też, pomyślał Victor.

- Zadzwoń rano. - Ollie schował kopertę ze zdjęciami. -

Najpierw pokażę dwie ostatnie odbitki Bachowi. Może on będzie wiedział, czego dotyczą te tabele.

- Jeżeli to ma coś wspólnego z elektroniką, Bach to wygłódkuje.

Razem podeszli do drzwi. Tam zatrzymali się na chwilę, dwaj starzy przyjaciele, którzy trochę posiwili i trochę, miał nadzieję Victor, zmądrzeli.

- Jakoś się to ułoży - powiedział Ollie. - Pamiętaj, system jest po to, żeby go pokonać.

- Jakbym znowu słyszał starego radykała ze Stanfordu.

- Minęło sporo czasu... - Ollie uśmiechnął się i poklepał Victora po plecach. - Ale nie jesteśmy jeszcze za starzy, żeby nie dać trochę czadu. Do zobaczenia rano.

Victor pomachał mu i Ollie zniknął. Potem zamknął drzwi i pogasił wszystkie światła.

Usiadł w salonie obok Cathy i patrzył, jak śpi. Światło dobiegające z ulicznej latarni sączyło się przez okno na jej włosy.

Mówi, że jest pospolita. Może gdyby jej nie znał i minął ją na ulicy, też by tak pomyślał. Przypadkowe spotkanie na szosie w Garberville sprawiło, że nie był w stanie uznać tej kobiety za pospolitą. Swoją delikatnością i łagodnością przypominała Lily.

Chociaż był bardzo przywiązany do swojej żony, uważał, że Lily była przedziwnie pozbawiona pasji. Była czystą uduchowioną istotą uwięzioną w ludzkim ciele. Rozbierała się po ciemku, kochała się - z rzadka - w ciemnościach. A potem choroba pozbawiła ją całkowicie tej odrobiny pożądania, jakie kiedyś w niej się tliło.

Patrząc na Cathy, zaczął zgadywać, jakie pokłady namiętności tkwią w tym nieruchomym ciele. Szybko przerwał te rozważania.

Jakie to ma znaczenie? Jutro wyśle ją stąd gdzieś daleko. To konieczne. Nie mógł myśleć rozsądnie, kiedy była obok. Nie mógł się skoncentrować na tym, co teraz jest najważniejsze. Jerry Martinique kiedyś na niego liczył. Tysiące potencjalnych ofiar na niego liczy. Jest naukowcem, człowiekiem, który czerpie dumę ze swojego wyczucia

logiki. Jego pociąg do tej kobiety, w całym tym wielkim planie, nie ma żadnego znaczenia.

Postanowił, że póki może, odpocznie trochę. Zrzucił buty i wyciągnął się obok niej, by się zdrzemnąć. Kołdra była wystarczająco duża dla obojga. Okrył się i leżał tak przez chwilę, nie dotykając Cathy, jak gdyby lękał się dzielić z nią ciepło jej ciała.

Jęknęła przez sen, jej jedwabiste włosy omiotły jego twarz. Nie był w stanie jej się oprzeć. Westchnąwszy wziął ją w ramiona i poczuł, że tuli się do niego. To ich ostatnia wspólna noc. Przynajmniej rozgrzeją się nawzajem. I tak zasnął, z nią w ramionach.

Obudził się tylko raz. Śniła mu się Lily. Spacerowali razem w ogrodzie pełnym śnieżnobiałych kwiatów. Milczała. Patrzyła tylko z głębokim smutkiem, jak gdyby chciała powiedzieć: „Jestem, Victorze.

Wróciłam. Dlaczego nie jesteś szczęśliwy?”. Nie potrafił jej odpowiedzieć. Po prostu wziął ją w ramiona. A gdy się obudził, okazało się, że zamiast niej obejmuje Cathy.

Jego serce przepelniła radość. Zagrzała najciemniejsze zakamarki jego duszy. Ten nagły przyptyw szczęścia zaskoczył go i wzbudził poczucie winy. Ale radość trwała krótko. Przypomniawszy sobie, że Cathy dziś wyjedzie.

Cathy, Cathy. Przez ciebie wszystko się skomplikowało.

Odwrócił się od niej, budując w myślach ścianę między nimi.

Skoncentrował się na swoim śnie, próbując przypomnieć sobie, co się stało. Spacerował z Lily. Starał się przywołać obraz jej twarzy,

brązowych oczu, kręconych czarnych włosów. Twarzy kobiety, której mężem był przez dziesięć lat, twarzy, którą powinien dobrze znać. Ale jedyną twarzą, którą widział, gdy zamknął oczy, była twarz Catherine Weaver.

Tylko dwie godziny zajęło Nicholasowi Savitchowi spakowanie torby i jazda do Palo Alto. Matt Tyrone przekazał mu wiadomość, że Holland wymknął się na południe, w okolice Stanfordu, prawdopodobnie w celu odnalezienia starych przyjaciół. Dawne więzy z czasów studenckich łączą ludzi na zawsze. Savitch tego tylko się domyślał, bo sam nie wyszedł poza szkołę średnią. Jego wykształcenie składało się z tego, co głodny i ambitny chłopak mógł sobie przyswoić w południowych dzielnicach Chicago. Głównie niesamowity dryg do tego, aby wejść w położenie drugiego człowieka i domyślić się, co zrobi w danej sytuacji. Można to nazwać zaawansowaną psychologią uliczną.

Nicholas Savitch, czarodziej ludzkich dusz, myśliwy, który potrafi wykurzyć człowieka z jego najprzemysłniejszej kryjówki. W większości przypadków była to tylko kwestia logiki. Nawet uciekając, większość osób trzyma się dawnych przyzwyczajęń. Wynika to ze strachu. W obcym mieście to, co znane, jest cenne, nawet jeżeli miałby to być kolejny MacDonald. Jak każdy zbieg, Victor Holland też będzie szukał tego, co zna.

Savitch skręcił na Palm Drive i zatrzymał się przy Stanford Arch.

Na kampusie uniwersyteckim panowała cisza; była druga nad ranem.

Savitch posiedział chwilę, przyglądając się opustoszałym budynkom.

Alma Mater Hollanda. To tutaj Holland zwróci się o pomoc do swoich dawnych przyjaciół, odwiedzi miejsca, w których kiedyś przesiadywał. Savitch zdążył odrobić lekcje. W teczce miał listę z nazwiskami, które wytypował, przeglądając dane personalne Victora.

Rano zapuka do drzwi sąsiadów, mignie identyfikatorem, zapyta o nowe twarze w okolicy.

Jedyną komplikację może stanowić Polowski. Z ostatniego raportu wynika, że tu jest. Polowski to uparciuch. Nieprzyjemna sprawa, załatwienie agenta. Ale w końcu Polowski to tylko mały trybik, tak jak ta cała Weaver, tyle tylko że w znacznie większej maszynie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

O zimnej i ponurej godzinie tuż przed świtem Cathy obudziła się w sidłach nocnego koszmaru. Śniło się jej, że spacerowała w świetle betonu i cienia, gdzie wyszczerzały się na nią jamy otwartych drzwi, a na rogach ulic czyhały pozbawione twarzy skulone sylwetki. Snuła się pomiędzy nimi, korzystając z mroku i instynktownie unikając światła.

Nikt jej nie ścigał, z ciemnych uliczek nie groził żaden atak.

Prawdziwe zagrożenie leżało w niekończącym się labiryncie betonu, twardym echu dobywającym się z ulic, frenetycznym poszukiwaniu bezpiecznego miejsca.

I pewności, że nigdy go nie znajdzie.

Przez chwilę leżała w ciemnościach, zwinięta w kłębek pod

puchową kołdrą na dywanie w salonie Mila.

Musiała być już po trzeciej, gdy zasnęła. Ostatnie co zapamiętała to widok Olliego i Victora pochylonych nad stołem ze zdjęciami.

Teraz panowała cisza. Jadalnia, tak jak reszta domu, pogrążona była w półmroku.

Przewróciła się na plecy, a jej ramiona natrafiły na coś twardego i ciepłego. Victor. Poruszył się i coś mruknął.

- Nie śpisz? - zapytała.

Odwrócił się i zaspany zamknął ją w ramionach. Wiedziała, że to tylko instynkt popchnął go do niej, tylko pragnienie ciepłego ciała. A może była to pamięć o żonie śpiącej obok niego, która w jego myślach była z nim zawsze i czekała, by ją objął. Na chwilę pozwoliła mu pogrążyć się w tym śnie. Póki jeszcze jest na wpół przytomny, niech wierzy, że to Lily, pomyślała. Nie ma w tym nic złego. Potrzebuje takiego wspomnienia. A ja pociechy.

Ukryła się w jego ramionach, w tym bezpiecznym miejscu, które kiedyś należało do innej. Zajęła je, nie zważając na konsekwencje, pragnąc dać się ponieść fantazji, że przynajmniej w tej chwili jest jedyną kobietą na świecie, którą Victor kocha. To wspaniałe uczucie, że ktoś ją chroni. Szorstki materiał jego koszuli stał się dla niej rajem. Victor oddychał głęboko, ukrywszy usta w jej włosach i szepcząc słowa, które przecież były przeznaczone dla innej. Uwięził jej twarz w dłoniach i przyłgął ustami do jej warg, w pocałunku pełnym takiej żądzy, że zapalił w niej ogień. Odpowiedziała mu pożądaniem

kobiety, dla której miłość była obca od zbyt dawna. Natychmiast zagubiła się i pogrążyła w cudownej kipieli. Poddawała mu się, pragnąc jego dotyku. To już tak długo, tak dawno.

Nie wiedziała, kiedy palce Victora jeszcze muskały materiał bluzki, a kiedy jej skórę. To ten nieoczekiwany kontakt dwóch ciał, magiczna tortura jego pieścizot, sprawiły, że ostatni opór został przełamany. Jaka szansa im została? Ile wspólnych nocy? Pragnęła wieczności, ale może uda im się zyskać zaledwie kilka chwil.

Przywitała go z wdzięcznością, z całą namiętnością kobiety, której dano posmakować miłości po raz ostatni.

Razem niezdarnie walczyli z guzikami i suwakami, bo oboje nagle zapragnęli wolności. Wszelkie opory opadły z nich w szamotaninie bawełny i koronki. I kiedy nic już ich nie dzieliło poza aksamitną czernią ciemności, przyciągnęła go ku sobie. Wypełnił ją radością, jak gdyby w tej jednej chwili zdołał zaspokoić pustkę jej duszy.

- Proszę... - Jej szept przeszedł w jęk. Zamarł na chwilę.

- Cathy? Co...

- Proszę. Nie...

Jego

cichy

śmiech był całym zapewnieniem, jakiego

potrzebowała.

- Nie mam najmniejszego zamiaru - szepnął i zabrał ją ze sobą

daleko, w miejsce poza myślą czy rozsądkiem. Dopiero kiedy przyszło wybawienie, fala zalała kolejną falę, zrozumiała, jak wysoko się wspięli.

Zapadli się w słodkie wyczerpanie. A tymczasem na dworze, w szarości poranka, zaśpiewał ptak. Ale tu, w domu, ciszę przerywał tylko rytm ich oddechu.

Cathy westchnęła, wtulona w ciepło jego ramienia.

- Dziękuję ci.

- Za co? - Victor dotknął jej twarzy.

- Za to, że poczułam, że ktoś mnie znowu pragnie.

- Och, Cathy.

- Minęło już tyle czasu. Jack i ja przestaliśmy być ze sobą na długo przed rozwodem. Właściwie to ja... Nie mogłam znieść... -

Zaczerpnęła powietrza. - Kiedy już kogoś nie kochasz, i kiedy ta druga osoba cię nie kocha, trudno jest pozwolić, żeby cię... dotykano.

- Dalej ci trudno? Nie chcesz, żeby cię dotykać?

- Nie chodzi o ciebie. Kiedy ty mnie dotykasz, to jest tak... jakby to się działo po raz pierwszy.

W łagodnym świetle poranka zobaczyła jego uśmiech.

- Mam nadzieję, że twój pierwszy raz nie był taki straszny.

Teraz ona obdarowała go uśmiechem.

- Nie pamiętam dokładnie. To było coś wariackiego i śmiesznego na podłodze w akademiku.

Wyciągnął rękę spod kołdry i poklepał dywan.

- Widzę, że zrobiłaś duży krok do przodu.

- Prawda? - Roześmiała się. - Ale podłoga może stać się bardzo romantycznym miejscem.

- O Boże. Znawczyni dywanów. Czy jest jakaś różnica pomiędzy podłogą w akademiku i dywanem w salonie?

- Nie odpowiem ci na to pytanie. Minęło tyle czasu od chwili, kiedy miałam osiemnaście lat. Chodzi o to... że minęło dużo czasu od chwili, kiedy z kimś byłam.

- To dotyczy nas obojga - odparł cicho.

Ten ich wspólny sekret zawisł na chwilę w powietrzu.

- Chyba nie... od czasów Lily? - zapytała.

- Tak.

Jedno słowo, a wyjawilo tak wiele. Trzy lata lojalności w stosunku do nieżyjącej kobiety. Smutek i samotność.

Tak bardzo pragnęła wypełnić tę przerażającą pustkę! Ocalić i jego, i siebie. Czy mogłaby dać mu zapomnienie? Nie, nie chciała, by zapomniał; nie może oczekiwać, że zapomni Lily. Ale pragnęła miejsca w jego sercu dla siebie, dużo miejsca, aby starczyło jej na całe życie. Przestrzeni, której żadna kobieta, żywa lub martwa, nigdy jej nie odbierze.

- Musiała być wspaniałą kobietą - powiedziała.

- Miała w sobie wiele mądrości. I była dobra. To coś, co rzadko w ludziach odnajduję.

Ciągle jest częścią ciebie. Ciągle ją kochasz, prawda?

- Tę samą dobroć odnajduję w tobie - dodał. Dłoń Victora

zsunęła się ku twarzy Cathy i pieściła teraz jej policzek. Zamknęła oczy, rozkoszując się jego dotykiem i ciepłem.

- Przecież wcale mnie nie znasz - szepnęła.

- Znam cię dobrze. Tej nocy, po wypadku, przeżyłem tylko dzięki twojemu głosowi. I twoim rękami. Wszędzie bym je poznał.

- Naprawdę?

Przyłgął wargami do jej czoła.

- Nawet we śnie.

- Ale ja nie jestem taka jak Lily. Nigdy się nią nie stanę.

- To prawda. Żadna kobieta nie będzie taka jak ona.

- Nie mogę zastąpić tego, co utraciłeś.

- A skąd wiesz, że tego właśnie pragnę? Kogoś, kto ją zastąpi.

Była moją żoną. Tak, kochałem ją. - Sposób, w jaki to powiedział, wskazywał na to, że nie oczekuje żadnych pytań.

I nie próbowała ich zadawać.

Gdzieś w domu zadzwonił telefon. Usłyszeli dochodzący z góry przytłumiony głos Mila.

Cathy usiadła i sięgnęła po ubranie. Włożyła je po ciemku, odwrócona plecami do Victora. Zawiązała się pomiędzy nimi jakaś nowa nieśmiałość obcych sobie ludzi.

- Cathy - powiedział. - Ludzie idą naprzód.

- Wiem.

- Doszłaś do siebie po rozstaniu z Jackiem. Parsknęła krótkim

śmieszkiem.

- Tak naprawdę to żadna kobieta nie dochodzi do siebie po rozstaniu z Jackiem. Tak, najgorsze już za mną. Ale za każdym razem, kiedy kobieta się zakochuje na poważnie, traci jakąś część siebie. Coś, czego nie może już odzyskać.

- Ale też coś zyskuje.

- To zależy od tego, w kim się zakocha, prawda?

Niespodziewanie usłyszeli pospieszne kroki na schodach. W drzwiach stanął rozbudzony już na dobre Milo z włosami nastroszonymi jak szczotka.

- Hej, wy dwoje! - syknął. - Wstawać! Szybko! Zaniepokojona Cathy zerwała się na równe nogi.

- Co się stało?

- Dzwonił Ollie. Mówił, że jakiś facet zadaje pytania na wasz temat. Był już u sąsiadów Bacha.

- Co? - Teraz podniósł się błyskawicznie Victor.

- Ollie wygłówkował, że facet będzie zaraz tutaj. Widocznie wiedzą, z kim się przyjaźniłeś.

- Kto to był?

- Twierdzi, że jest z FBI.

- To Polowski - mruknął Victor, wkładając koszulę. - To na pewno on.

- Znasz go?

- To ten gość, który mnie wrobił. Od tego czasu nas śledzi.

- Skąd wiedział, że tu jesteśmy? - spytała Cathy. - Nikt nie mógł za nami...

- Nikt nie musiał. Mają moje dane. Wiedzą, że mam tu przyjaciół. - Victor zerknął w stronę Mila. - Przepraszam, stary. Mam nadzieję, że nie ściągnąłem na ciebie kłopotów.

Śmiech Mila był wyraźnie wymuszony.

- No, nic złego nie zrobiłem. Ukrywałem tylko przestępcę. - Ale brawura szybko się skończyła. - A właściwie to jakich kłopotów mogę oczekiwać?

- Pytań. Szczegółowych. Może będą chcieli się rozejrzeć.

Zachowaj spokój, powiedz, że dawno nie miałaś ze mną kontaktu.

Myślisz, że dasz sobie radę?

- No jasne. Ale nie wiem jak mama...

- To nie problem. Powiedz jej, żeby trzymała się chińskiego. -

Victor złapał kopertę ze zdjęciami i spojrzał na Cathy. - Gotowa?

- Tak. Zabierajmy się stąd.

- Tylnymi drzwiami - rzucił Milo.

Pobiegli za nim przez kuchnię. Jeden rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że droga jest wolna.

- Byłbym zapomniał. Ollie chce się z wami zobaczyć dziś po południu. Chodzi o te zdjęcia - dodał Milo.

- Gdzie?

- Nad jeziorem. Za hangarem dla łodzi. Znasz to miejsce.

Powitała ich chłodna wilgoć poranka. W powietrzu wisiała cisza.

Czy nigdy nie przestaniemy uciekać?

- pomyślała Cathy. Nigdy nie przestaniemy nadśłuchiwać
kroków?

Victor poklepał przyjaciela po ramieniu.

- Dzięki, Milo. Jestem twoim dłużnikiem.

- Wkrótce zgłoszę się po zapłatę! Victor podniósł dłoń w geście
pożegnania.

- Do zobaczenia.

- O, tak - mruknął Milo w stronę otulającej ich mgły.

- Mam nadzieję, że nie w więzieniu.

Chińczyk kłamię. Choć jego głos nie zdradzał żadnego
wahania, Savitch wiedział, że pan Milo Lum coś ukrywa. Zdradziły go
oczy.

Siedział na kanapie w salonie, a z boku, w fotelu, siedziała
uśmiechnięta pani Lum.

- Nie rozumiem, dlaczego go szukacie - rzekł Milo.

- Victor jest zupełnie czysty. A przynajmniej taki był, kiedy go
znałem. Ale to było dawno temu.

- Kiedy? - zapytał grzecznie Savitch.

- Och, wieki temu. Tak. Od tego czasu go nie widziałem, proszę
pana.

Savitch podniósł brwi. Milo założył nogę na nogę i rozejrzał się
po pokoju bez widocznego powodu.

- Mieszka pan tylko z matką? - zapytał Savitch.

- Tak, od czasu śmierci ojca.

- Żadnych lokatorów? Nikt więcej tu nie mieszka?

- Nie. Dlaczego?

- Mieliśmy raport, że mężczyzna o wyglądzie Hollanda pojawił się w tej okolicy.

- Niech mi pan wierzy, że gdyby Victor był poszukiwany przez policję, to z pewnością nie kręciłby się tutaj. Myśli pan, że wpuściłbym do domu kogoś podejrzanego o morderstwo? Tu, gdzie mieszkam sam, tylko ze starą matką?

Savitch zerknął na panią Lum, która tylko się uśmiechała. Stara kobieta miała bystre, wszytkowiedzące oczy. Oczy osoby, która przeszła wiele. Nadszedł czas, aby Savitch potwierdził swoje przypuszczenia.

- Przepraszam - powiedział, wstając - miałem długą podróż. Czy mógłbym skorzystać z toalety?

- Oczywiście. Na końcu korytarza.

Savitch wszedł do łazienki i zamknął drzwi. W ciągu sekundy zauważył dowód, którego szukał. Na wykafelkowanej podłodze leżał długi włos koloru brązowego. Bardzo jedwabisty, bardzo cienki.

Jak włosy Catherine Weaver. To był cały dowód, jakiego potrzebował, by przedsięwziąć dalsze kroki. Sięgnął pod marynarkę i wyciągnął z futerału pistolet półautomatyczny. Potem poklepał gors swojej wykrochmalonej białej koszuli. Brudna sprawa, takie przesłuchanie. Trzeba uważać na plamy z krwi.

Wyszedł na korytarz z pistoletem w ręku. Najpierw załatwi starą.

Lufa do skroni, zagrozi, że pociągnie za spust. Między matką a synem istniała niezwykle silna więź. Będą osłaniać siebie nawzajem za wszelką cenę.

Był już w połowie drogi, kiedy usłyszał dzwonek do drzwi.

Zatrzymał się.

- Pan Milo Lum?

- A pan kim jest? - Savitch usłyszał znużony głos gospodarza.

- Sam Polowski. FBI.

Mięśnie w ciele Savitcha się napięły. Teraz nie ma wyjścia, musi pozbyć się faceta. Podniósł broń i bezszelestnie ruszył w stronę salonu.

- Jeszcze jeden? - zabrzmiał zirytowany głos Mila. - Niech pan posłucha, jeden z waszych ludzi już tu jest...

- Co?

- Jest tam, w...

Savitch pokazał się i skierował broń w stronę drzwi frontowych, kiedy pani Lum krzyknęła.

Milo zastygł, lecz Polowski rzucił się w bok, zanim kula z hukiem utwiła we framudze, roztrzaskując drewno na kawałki. Zanim Savitch wystrzelił po raz drugi, Polowski był już za kanapą i druga kula utkwiała w tapicerce. Savitch zdecydował, że pora zniknąć.

Odwrócił się i prysnął w korytarz, do najbardziej oddalonej sypialni. Był to pokój matki; pachniał kadzidełkami i perfumami starej

kobiety. Okno otworzyło się łatwo. Savitch jednym kopnięciem zrobił dziurę w siatce przeciwko owadom i wyskoczył. Zapadł się w błotnistą rabatkę kwiatową. Przeklinając, powlókł się przez trawnik, pozostawiając za sobą ślady błota.

- Stać! FBI! - usłyszał jeszcze z oddali. Przez całą drogę do samochodu aż kipiał z wściekłości.

Milo w zdumieniu wpatrywał się w podeptane bratki.

- O co tu, do cholery, chodziło? - zażądał wyjaśnień. - Czy FBI robi mi jakiś kawał?

Polowski milczał, zbyt zajęty obserwowaniem śladów butów w trawie. Wiodły do chodnika, a potem znikły na asfaltowej nawierzchni drogi.

- Hej! - zawołał Milo. - Co tu się dzieje? Polowski odwrócił się.

- Właściwie nie widziałem go. Jak wyglądał?

- Nie wiem. Tak jak ten aktor w tym policyjnym serialu, no wie pan... Wysoki, zadbany, dobrze zbudowany. Typowy agent FBI. -

Milo wzruszył ramionami.

Zapadła cisza, bo Milo zauważył nadwagę Polowskiego i jego wystający brzuch.

- No, może nie typowy... - A twarz?

- Niech pomyślę. Ciemne włosy. Oczy chyba brązowe?

- Nie jest pan pewien?

- Wie pan, jak to jest. Wy wszyscy biali faceci jesteście dla mnie jednakowi.

Zalał ich nagle potok chińszczyzny. To pani Lum wyszła na

trawnik i teraz coś mówiła, obficie przy tym gestykulując.

- Co ona mówi? - zapytał Polowski.

- Że miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, proste włosy koloru ciemnobrązowego z przedziałkiem po lewej stronie, brązowe oczy, prawie czarne, wysokie czoło, wąski nos i cienkie wargi, mały tatuaż na wewnętrznej stronie lewego nadgarstka.

- Hm, to wszystko?

- Miał wytatuowane litery PJX. Polowski potrząsnął głową ze zdumieniem

- Zawsze miała taki zmysł obserwacji?

- Nie mówi po angielsku, więc dużo się przygląda.

- Najwidoczniej.

Polowski wyjął długopis i zapisał informacje.

- Kim był ten facet? - dopytywał się Milo.

- Na pewno nie agentem.

- Skąd mam wiedzieć, czy pan jest naprawdę z FBI?

- A wyglądam?

- Nie.

- To znaczy, że jestem. Gdybym chciał udawać agenta, to czy nie próbowałbym przynajmniej na niego wyglądać? A jeżeli nim jestem, to mi nie zależy na wyglądzie.

- Aha.

- No dobrze. - Polowski wsunął notes do kieszeni. - Czy dalej

będzie się pan upierał, że nie miał pan kontaktu z Victorem

Hollandem?

- Oczywiście. - Milo wyprostował się.

- I nie wie pan, jak się z nim skontaktować?

- Nie mam pojęcia.

- To niedobrze. Bo tak się składa, że mogę ocalić mu życie. Bo już ocaliłem pańskie.

Milo nie odpowiedział.

- Jak pan myśli, po jaką cholereę ten facet tu przyjechał? Z

towarzystwą wizytą? Nie, szukał informacji. - Polowski zamilkł, po czym dodał złowieszczo: - I niech mi pan wierzy, uzyskałby ją.

Milo potrząsnął głową.

- Nie wiem już, co o tym wszystkim myśleć.

- Ja też nie. I dlatego potrzebny mi jest Holland. On ma w zanadrzu odpowiedzi. Ale potrzebuję go żywego. A to oznacza, że muszę go odnaleźć, zanim to zrobi tamten.

Polowski i Milo patrzyli sobie w oczy.

- Nie wiem, co mam zrobić - mruknął Milo.

Pani Lum znowu zaczęła mówić. Wskazała na Polowskiego i kiwnęła głową.

- Co teraz powiedziała? - zapytał Polowski.

- Mówi, że ma pan duże uszy.

- Wystarczy mi lustro, żeby się tego dowiedzieć.

- Ma na myśli, że wielkość pana uszu wskazuje na roztropność i

że jest pan sprytnym gościem. Uważa, że powinienem pana posłuchać.

Polowski zwrócił się z uśmiechem w stronę pani Lum.

- Pańska matka zna się na ludziach. Nie chciałbym, żeby coś się jej stało. Albo panu. Musicie wyjechać z miasta.

Milo kiwnął głową.

- W tej sprawie zgadzam się z panem - odparł i zaczął iść w kierunku domu.

- A co z Hollandem? - zawołał Polowski. - Pomoże mi pan go znaleźć?

Milo wziął matkę pod ramię i poprowadził przez trawnik. Nie oglądając się za siebie, odpowiedział:

- Zastanowię się nad tym.

- To te dwie fotografie. Zupełnie nie mogłem ich zrozumieć - oznajmił Ollie.

Stali przy hangarze dla łodzi, na pomoście schodzącym na dno jeziora Lagunita. Wodę spuszczone i wyglądało teraz na błotniste bagno zarośnięte trzcinami. Wiosną będzie to idylliczne miejsce, z wodą pluszczącą przy brzegach, parami kochanków na łodziach, a pod drzewami tu i ówdzie zasiądzie poeta. Lecz teraz, pod czarnymi chmurami, gdy zimna mgła wydobywała się spomiędzy trzcin, panował tu ostateczny smutek.

- Wiedziałem, że nie są to dane biologiczne - ciągnął Ollie. -

Myślałem, że to przypomina jakiś elektryczny wykres. Więc dziś rano, po wyjściu z domu Mila, zabrałem je do Bacha, w San Jose.

Złapałem go przy śniadaniu.

- Do Bacha? - zapytała Cathy.

- To jeden z członków grupy Fałszywa Nuta. Grał na fagocie.

Założył kilka lat temu firmę elektroniczną i teraz współpracuje z dużymi graczami na rynku. W każdym razie, kiedy tylko wszedłem, zapytał, czy rozmawiało już ze mną FBI. Powiedział, że właśnie dzwonił i pytali o Gershwin'a i że pewnie teraz zwrócą się do mnie.

Pomyślałem, że muszę was wyciągnąć z domu Mila, i to szybko.

- Ale co mówił o tych zdjęciach?

- To alarm elektroniczny. - Ollie sięgnął do teczki i wyjął fotografię.

-

Bardzo
skomplikowany,
bardzo
bezpieczny.

Zaprojektowany tak, że można go unieruchomić przy użyciu kodu, na klawiaturze, tu, w tym miejscu. Prawdopodobnie przy wejściu.

Widziałeś kiedyś coś takiego w Virateku?

Victor potwierdził skinieniem głowy.

- Budynek C - 2. Tam gdzie pracował Jerry. Klawiatura jest umieszczona w holu, tuż przy drzwiach do Sekcji Projektów Specjalnych.

- Byłeś tam kiedyś?

- Nie. Mogą tam wejść tylko osoby dopuszczone do spraw tajnych.

- Wnioskując z diagramu, tutaj jest kolejny punkt kontrolny, chyba kolejna klawiatura. Przy pierwszych drzwiach zainstalowano system kamer.

- Taki jaki stosują w bankach? - zainteresowała się Cathy.

- Podobny. Przypuszczam tylko, że ten jest monitorowany przez całą dobę.

- Nie żalowali sobie, prawda? System pierwsza klasa - rzekł Victor. - Dwoje zabezpieczonych drzwi, strażnik. Nie licząc strzeżonej bramy zewnętrznej.

- Nie zapomnij o siatce laserowej.

- Co to jest?

- W tym wewnętrznym pokoju. - Ollie wskazał na środek diagramu. - Strumienie laserowe skierowane pod różnymi kątami. Wyłapią ruch wszystkiego, co jest większe od szczura.

- Jak się je wyłącza?

- Na konsoli ochroniarza są wyłączniki. Victor potrząsnął głową.

- To niemożliwe. Nigdy się tam nie przedostaniemy. Cathy nagle spoważniała.

- Zaczekajcie. O czym wy właściwie mówicie? Chyba nie macie zamiaru wejść do tego budynku?

- Rozmawialiśmy o tym wczoraj w nocy - przyznał Victor. - To może być jedyny sposób...

- Zwariowałeś? Viratek chce nas zabić, a ty chcesz się do nich włączyć?

- Potrzebujemy dowodów - wtrącił Ollie. - Jeżeli zechcesz pójść z tym do gazet albo Departamentu Sprawiedliwości, zażądamy dowodów. Viratek na pewno wszystkiemu zaprzeczy. Nawet jeżeli ktoś rozpocznie śledztwo, Viratek musi tylko pozbyć się wirusa i puf! brak dowodów. Nikt już niczego nie udowodni.

- Masz zdjęcia...

- Kilka stron badań na zwierzętach. Nazwa wirusa nie jest ani razu wymieniona. I powiedzą, że wszystkie dowody zostały sfabrykowane przez, na przykład, jakiegoś niezadowolonego byłego pracownika.

- To co wreszcie jest dowodem? Czego jeszcze potrzebujesz? Kolejnej ofiary? Na przykład Victora?

- Potrzebujemy wirusa, tego, który został uznany za wygasłego. Jedna próbówka i sprawa jest zamknięta.

- Tylko jedna próbówka. - Cathy potrząsnęła głową.

- Czym ja się martwię? Nikt nie przedostanie się przez te zabezpieczenia. Bez kodów.

- Ale my je mamy! - Ollie pokazał drugie zdjęcie.

- Te tajemnicze sekwencje cyfr. Zobacz, wreszcie nabrały sensu.

Dwa zestawy siedmiocyfrowych liczb. To nie są numery telefonów!

Jerry wskazał nam drogę do sekretów Virateku.

- A co z laserami? - wytknęła im Cathy, bo jej zdenerwowanie

rosło. Chyba nie mówią serio! Przecież muszą widzieć beznadziejność swojej misji. - A do tego jeszcze strażnicy. Dwóch. Jak obok nich przejdziecie? A może Jerry zostawił wam patent na czapkę niewidkę?

Ollie spojrzał zakłopotany na Victora.

- Może powinniście to wszystko najpierw sami przedyskutować.

Zanim zrobimy następne plany.

- Myślałam, że moje zdanie też się liczy. Widzę, że się myliłam. -

Cisza, jaka zapadła, wzmogła złość Cathy. A więc wyłączyliście mnie z tego, pomyślała. Nie szanujecie mojego zdania na tyle, żeby zapytać, co o tym myślę.

Bez słowa odwróciła się i odeszła.

Chwilę potem Victor ją dogonił. Stała na ścieżce, obejmując się ramionami, by ochronić się przed zimnem. Słyszała, że się zbliża, wyczuła jego niepewność, walkę o znalezienie właściwych słów.

- Uważam, że powinniśmy uciekać - oznajmiła.

Popatrzyła w przestrzeń ponad dnem suchego jeziora. Ostry i przenikliwy wiatr, który szumiał w trzcinach, przenikał przez jej sweter.

- Chcę się stąd wydostać - powiedziała. - Pojechać gdzieś, gdzie jest ciepło. Gdzie świeci słońce, gdzie mogłabym się położyć na plaży i nie martwić się, czy ktoś mnie nie śledzi zza krzaków...

Nagle przypomniała sobie o takiej strasznej możliwości, obejrzała się i zerknęła na gęstwinę drzew. Zobaczyła tylko drżące martwe liście.

- Zgadzam się z tobą - rzekł po cichu Victor.

- Naprawdę? - Z ulgą zwróciła się w jego stronę. - Chodźmy,

Victorze! Zapomnij o tym wariackim pomysle. Możemy złapać następny autobus na południe...

- Dziś po południu będziesz już w drodze.

- Ja? - Popatrzyła na niego z niedowierzaniem, bo w pierwszej chwili nie chciała przyjąć tego do wiadomości. Potem znaczenie jego słów dotarło do niej. - A ty?

- Nie mogę.

- To znaczy nie chcesz.

- Nie rozumiesz? - Schwycił ją za ramiona, jak gdyby potrząśnięcie nią miało dodać jej rozsądku. - Zapędzili nas w kozi róg.

Jeżeli czegoś nie zrobimy, zawsze już będziemy uciekać.

- No to uciekajmy! - Wyciągnęła do niego rękę i złapała za kurtkę. Chciało się jej krzyżeć, zerwać mu tę spokojną maskę rozsądku i dostać się do uczuć, które kłębiły się pod nią. Muszą tam być, ukryte głęboko w tym jego logicznym mózgu.

- Moglibyśmy pojechać do Meksyku - zaproponowała. - Znam miejsce na wybrzeżu, w Baji. Mały hotelik przy plaży. Moglibyśmy tam zostać, zaczekać, aż zrobi się bezpieczniej...

- Nigdy nie będzie bezpieczniej.

- Mylisz się! Zapomną o nas...

- Nie mówisz poważnie.

- Mówię. Chcę żyć.

- I właśnie dlatego muszę to zrobić. - Uwięził jej twarz w dłoniach tak, że mogła patrzeć tylko na niego. Nie był już kochankiem ani przyjacielem. Jego głos był teraz zimny i władczy, wzbudzał lęk. - Staram się ocalić twoje życie, dać ci przyszłość. I jedyny sposób to rozdmuchać tę sprawę tak, żeby cały świat się o niej dowiedział.

Jestem ci to winien. I Jerry'emu.

Chciała z nim się kłócić, błagać, aby jechał z nią, ale wiedziała, że to beznadziejne. Ucieczka byłaby rozwiązaniem tymczasowym, które dałoby im tylko kilka słodkich miesięcy bezpieczeństwa, na krótko.

- Wybacz mi, Cathy. Nie ma innego sposobu...

- ...żeby się mnie pozbyć - dokończyła.

Ten nagły rozdźwięk pomiędzy nimi sprawił jej ból. Nie mogła patrzeć na niego, wiedząc, że nie zobaczy odbicia swojego cierpienia w jego oczach.

- Jak to zrobisz? - zapytała głucho. - Mam wyjechać dzisiaj?

Samolotem?

- Ollie zawiezie cię na lotnisko. Prosiłem, żeby ci kupił bilet dla pani Wozniak. Będzie bezpieczniej, jeżeli nie pojedę z wami.

- Oczywiście.

- Dostaniesz się do Meksyku. Ollie da ci pieniądze, które powinny na jakiś czas wystarczyć. Żebyś mogła pojechać stamtąd, dokąd zechcesz, do Baji albo Acapulco. Albo dołączyć do Jacka, jeżeli uznasz, że tak będzie lepiej.

- Do Jacka. - Odwróciła się, by ukryć łzy. - Dobrze.

- Cathy... - Poczwała jego rękę na ramieniu. Usłyszeli jakieś kroki.

To był Ollie.

- Jedziemy?

Nastąpiła długa cisza. Potem Victor skinął głową.

- Cathy jest gotowa.

- Posłuchajcie - bąknął Ollie, zdawszy sobie sprawę, że im

przerwał. - Samochód stoi przy hangarze. Jeżeli chcecie, to

poczekam...

Cathy gniewnie otarła łzy.

- Nie - odparła z gwałtowną determinacją. - Już idę. Victor

patrzył na nią wzrokiem przyćmionym przez jakąś chłodną,

nieprzeniknioną mgłę.

- Zegnaj, Victorze - powiedziała, lecz on dalej milczał. - Jeżeli...

już cię nigdy nie zobaczę... - Urwała, chcąc dodać sobie odwagi. -

Uważaj na siebie - dokończyła, a potem odwróciła się i poszła za

Olliem.

Przez okno samochodu dostrzegła jeszcze Victora stojącego nad

jeziorem, z rękoma w kieszeniach, zgarbionego w podmuchach

wiatru. Nie pomachał im, tylko obserwował, jak odjeżdżają. To był

obraz, jaki Cathy pragnęła zachować na zawsze, ten ostatni znikający

widok mężczyzny, którego kochała. Tego, który się jej pozbył.

Ollie wyjechał na główną drogę, ale Cathy siedziała w milczeniu,

z takim bólem, że trudno jej było oddychać. Został w tyle, już go nie

widziała, ale czuła, że tam stoi, nieporuszony jak te dęby, które go otaczały. Kocham cię, pomyślała. I nigdy więcej już cię nie zobaczę.

Po raz ostatni obejrzała się za siebie. Victor był już daleko, prawie zniknął między drzewami. W geście pożegnania podniosła rękę i dotknęła szyby.

Była zimna.

- Muszę wstąpić do laboratorium - powiedział Ollie, skręcając na szpitalny parking. - Przypomniało mi się, że zostawiłem w biurku książeczkę czekową. Bez niej nie kupię ci biletu.

Cathy ponuro kiwnęła głową. Ciągle jeszcze była w szoku i próbowała zaakceptować fakt, że została sama.

Ollie zatrzymał się na miejscu z tabliczką „Zarezerwowane, Wozniak”.

- To potrwa tylko chwilę.

- Mam iść z tobą?

- Lepiej zaczekaj w samochodzie. Pracuję z ciekawskimi.

Zobaczą mnie z dziewczyną, to zaraz będą chcieli o wszystkim wiedzieć. Zaraz wracam.

Cathy patrzyła, jak znika w bocznym wejściu. Uśmiechnęła się na myśl o Olliem w towarzystwie kobiety. No, chyba żeby to była babka z doktoratem, która wytrzymałaby jego naukowe wywody.

Minęła minuta. Na zewnątrz zaskrzeczał ptak. Cathy rozejrzała się i w drzewach otaczających wjazd do szpitala zauważyła sójkę przycupniętą na gałęzi. Nic więcej nie poruszyło się, nawet liście.

Oparła się wygodniej i zamknęła oczy.

Za mało snu, ciągle w biegu, oto rezultat. Plaża, pomyślała.

Ciepły piasek. Fale u stóp...

Wrzask sójki zamilkł nagle. Cathy nie zauważyła nagłej ciszy. A

potem wyczuła jakiś cień w oknie, jak gdyby chmura przesłoniła

słońce. Otworzyła oczy i zobaczyła twarz wpatrującą się w nią przez

szybę. W panice usiłowała zablokować drzwi, ale się otworzyły. Przed

oczami mignęła jej odznaka.

- FBI! Wysiadać!

Powoli wysiadła, chociaż kolana się pod nią ugiwały. Ollie, gdzie

jesteś? Jeżeli się pojawi, to pryśnie przez parking pomiędzy drzewa.

Wątpliwe, aby facet z odznaką zdołał ją dogonić; krótkie nogi i

wydatny brzuch nie wskazywały na sportowca. Ale musi mieć broń.

Jeżeli zacznę uciekać, to strzeli mi w plecy?

- Niech pani nawet o tym nie myśli, panno Weaver.

- Wziął ją pod rękę i lekko popchnął w stronę wejścia do szpitala.

- Naprzód. Idziemy.

- Ale...

- Doktor Wozniak czeka na nas w laboratorium. Czekanie to nie

było właściwe słowo. Ollie, zgięty wpół, przykuty był kajdankami do

nóg biurka, a jego trzech kolegów przyglądało mu się ze zdumieniem.

- Wracajcie do pracy, panowie - powiedział agent i wyprowadził

ich z pokoju. - To rutynowa sprawa.

- Zamknął drzwi i przekręcił klucz. Potem zwrócił się do Cathy i

Olliego. - Muszę znaleźć Hollanda. I to szybko.

- Człowieku - mruknął pod nosem Ollie - jesteś jak zepsuta płyta.

- Kim pan jest? - spytała Cathy.

- Sam Polowski. Z biura w San Francisco. - Wyjął odznakę i

klapnął nią o biurko. - Przyjrzyjcie się bliżej. Jest prawdziwa.

- Przepraszam - zawołał Ollie - nie mógłby pan przykuć mnie w wygodniejszej pozycji?

Polowski udał, że nie słyszy.

- Chyba nie muszę pani tego tłumaczyć, panno Weaver. Holland ma kłopoty.

- To pan sprawia mu największy kłopot - odparowała.

- I tu się pani myli. - Polowski przysunął się bliżej niej. - Jestem dla niego jedyną szansą.

- Próbuje pan go zabić.

- Nie ja. Ktoś inny, komu to się w końcu uda. Chyba że zdołam go powstrzymać.

Potrząsnęła głową.

- Nie jestem idiotką! Wiem o tym. Ale pan próbuje...

- To nie ja. To ten drugi facet. - Sięgnął do telefonu i podał jej słuchawkę. - Niech pani zadzwoni do Mila Luma i zapyta go, co się dziś stało u niego w domu. Może on zdoła panią przekonać, że jestem po waszej stronie.

Cathy zastanawiała się, co to za gra. I dlaczego daje się w nią wciągnąć.

- Jest sam - rzekł Polowski. - Samotny człowiek, który usiłuje wykołować rząd Stanów Zjednoczonych. Nie zna się na tym. Prędzej czy później potknie się, zrobi coś głupiego. I tak się to skończy. - Wykręcił numer i znowu podał jej słuchawkę. - Proszę.

Usłyszała trzy dzwonki, a potem głos Mila.

- Halo?

- Milo?

- To ty, Cathy? O Boże, myślałem, że zadzwonisz.

- Posłuchaj, Milo. Muszę cię o coś zapytać. O faceta, który nazywa się Polowski...

- Znam go.

- Naprawdę?

- Miałem szczęście. Ten facet ma tyle wdzięku ile stary but, ale uratował mi życie.

- Dzięki, Milo - powiedziała i odłożyła słuchawkę.

- Pomoże mi pani?

- Jeszcze nie wiem. Niech mnie pan przekona. Polowski skinął głową.

- Właśnie mam ten zamiar.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Dla Victora było to długie i nieprzyjemne popołudnie. Po wycieczce nad jezioro błąkał się przez jakiś czas po kampusie, aż dotarł do głównego placu. Stał tam teraz i starał się skupić na najważniejszym, czyli na zdemaskowaniu Virateku. Ale jego myśli

uciekały do Cathy, pełnej urazy i smutku. Jak gdyby ją zdradził.

Gdyby tylko zrozumiała, co się kryje pod jego decyzją. Był naukowcem, człowiekiem, którego życiem i pracą steruje logika. Jej wyjazd to logiczne wyjście. Pogoń przybliżyła się coraz bardziej, stryczek się zaciska. Mógł zaakceptować niebezpieczeństwo, które grozi jemu. W końcu to on zdecydował się podjąć walkę Jerry'ego, doprowadzić ją do końca.

Nie może jednak stawiać Cathy w groźnej sytuacji.

Ale już wydobyła się z tego bagna i jest w drodze do bezpiecznego miejsca. Jedno zmartwienie mniej. Czas przestać o niej myśleć.

Jak gdyby to było możliwe. Popatrzył na jeden z krużganków dziedzińca i jeszcze raz powtórzył sobie, że postąpił mądrze.

Nieprzyjemne uczucie jednak pozostało. Gdzie ona jest? Nie ma jej dopiero od godziny, a już za nią tęskni. Wzruszył ramionami, jak gdyby ten gest miał mu ułatwić pozbycie się całego strachu. Ale on pozostał. Victor przycupnął na schodach, by zaczekać na powrót Olliego.

Nadszedł zmierzch, a on jeszcze czekał. Dodał Olliemu trochę czasu na korki, czerwone światła i kolejkę po bilet. Trzy godziny powinno wystarczyć. Cathy siedzi w samolocie, w drodze do cieplejszego kraju.

Ale gdzie jest Ollie?

Na dźwięk kroków odwrócił się gwałtownie. Przez chwilę nie

wierzył własnym oczom.

- Cathy? - spytał zdumiony.

- Victorze - powiedziała cicho i w radosnym uniesieniu pobiegła w stronę jego wyciągniętych ramion. Podniósł ją do góry, okręcił w powietrzu i całował jej włosy i twarz. Cieszył się, że jest. - Nie wiem, czy dobrze zrobiłam - wyszeptała - ale mam nadzieję, że tak.

- Dlaczego wróciłaś?

- Nie byłam pewna... Dalej nie jestem pewna...

- Cathy, co ty tu robisz?

- Nie dasz sobie rady! A on ci pomoże.

- Kto?

Jakiś mężczyzna wyłonił się z cienia i wolno do nich podszedł.

- Cześć, Holland. Cieszę się, że się w końcu spotkaliśmy.

Nazywam się Polowski.

Victor spojrzał na Cathy, nie wierząc sam sobie.

- Dlaczego to zrobiłaś? - Był wściekły. - Dlaczego? Zareagowała tak, jak gdyby ją uderzył. Chciała go schwycić za ramię, ale się odsunął.

- Chce nam pomóc - powiedziała z bólem w głosie.

- Wysłuchaj go!

- Nie jestem pewien, czy słuchanie go ma jakiś sens. Nie teraz. -

Uczuł, że jego ciało wiotczeje, że został pokonany. To koniec ucieczki, strachu i nadziei. Cathy go zdradziła. - Rozumiem, że jestem aresztowany - zwrócił się do Polowskiego.

- Wcale nie. Szczególnie że on ma moją broń.

- Co?

- Hej, Gersh! Tutaj! - zawołał Ollie. - Pilnuję go! Polowski

wzdrygnął się.

- Cholera, musisz tym wymachiwać?

- Przepraszam - bąknął Ollie.

- Czy to cię przekonuje, Holland? Czy myślisz, że oddałbym
swojego gnata takiemu idiocie jak on, gdybym nie chciał tylko z tobą
porozmawiać?

- Mówi prawdę - wtrąciła Cathy. - Oddał broń Olliemu. Gotów
był podjąć ryzyko, żeby tylko spotkać się z tobą twarz w twarz.

- To błąd, Polowski - zauważył Victor z goryczą. - Przecież
jestem poszukiwany za morderstwo, chyba wiesz? I szpiegostwo
przemysłowe.

- Wiem, że jesteś niewinny. Wplątałeś się w coś większego,
Holland. Coś, co pożre cię żywcem. Mój szef aż staje na głowie, żeby
tylko zdjąć mnie z tej sprawy. Nie lubię tego. To rani moje delikatne
ego.

Obaj mężczyźni zmierzyli się wzrokiem. W końcu Viktor kiwnął
głową. Spojrzał na Cathy z cichą prośbą o wybaczenie. Kiedy
wreszcie znalazła się w jego ramionach, poczuł, że w świecie znowu
zapanował ład.

Usłyszał, że ktoś znacząco chrząka. Odwracając się, zobaczył, że
Polowski wyciąga rękę. Victor ujął ją w uścisku, który mógł oznaczać

dla niego katastrofę - albo wybawienie.

- Zafundowałaś mi długą i ciężką pogoń - rzekł Polowski. -

Chyba już czas, żebyśmy pracowali razem.

- Mamy zadanie niemożliwe do wykonania - powiedział Ollie. -

Mission impossible.

Siedzieli w pokoju hotelowym Polowskiego, cała pięcioosobowa drużyna, którą Milo nazwał Jeszcze Bardziej Zwariowaną Fałszywą Nutą. Środek stołu zavalony był paczkami chipsów, puszkami piwa i zdjęciami pokazującymi system bezpieczeństwa Virateku. Był też plan budynków Virateku, rozrzuconych na czterdziestu akrach zalesionego terenu, otoczonego płotem pod napięciem. Studiowali już te zdjęcia od godziny, ale zadanie, które mieli wykonać, wyglądało beznadziejnie.

- Nie ma drogi do środka - oznajmił Ollie, potrząsając głową. -

Nawet jeżeli kody są w dalszym ciągu ważne, jest jeszcze problem z rozpoznaniem przez element ludzki. Dwóch strażników, dwa miejsca.

Nie ma mowy, żeby przejść.

- Musi być jakiś sposób - przerwał mu Polowski.

- Dawaj, Holland, przecież należysz do jajogłowych.

Cathy zerknęła na Victora. Podczas gdy inni przierzucali się pomysłami, on się nie odzywał. A ma najwięcej do stracenia, swoje życie, pomyślała. Wymaga to niezwyklej odwagi, wręcz brawury, by choćby brać pod uwagę taki desperacki krok. Mimo to ze spokojem analizował mapę, jak gdyby planował niedzielną przejażdżkę.

Musiał poczuć na sobie wzrok Cathy, bo objął ją i przytulił.

Teraz, kiedy znowu byli razem, mogła się cieszyć każdą chwilą, zapamiętywać każde spojrzenie i pieszczotę. Pocałował ją w czubek głowy, a potem znów skierował uwagę na mapę.

- O elektronikę się nie martwię - powiedział. - Najtrudniejsza rzecz to ludzie. Strażnicy. Dalej twierdzę, że FBI - kiwnął głową w stronę Polowskiego - powinno postarać się o nakaz i przeszukać tę budę.

- Racja - prychnął Polowski - tylko że zanim nakaz przejdzie przez sędziego, Viratek przerobi to laboratorium na fabrykę mleka w proszku dla niemowląt. Musimy tam wejść sami. I nikt nie może się o tym dowiedzieć.

- Zerknął na Olliego. - Jesteś pewien, że to jedyne dowody, jakich potrzebujemy?

Ollie kiwnął głową.

- Jedna próbówka wystarczy. Bierzemy ją potem do renomowanego laboratorium, potwierdzają, że to czarna ospa, i sprawa jest prosta jak drut.

- I nie wykręcą się?

- Nie. Wirus oficjalnie nie istnieje. Każda firma, która bawi się żywymi koloniami, ma przerąbane.

- To mi się podoba - odparł Polowski. - Żaden wypasiony prawnik Virateku tego nie oprotestuje.

- Ale najpierw musimy się dorwać do tej próbówki

- zmartwił się Ollie. - Na moje oko to zupełnie niemożliwe.

Chyba że spróbujemy włamania z bronią w rękę.

Przez jedną przerażającą chwilę Polowski zdawał się brać tę możliwość pod uwagę.

- Neeee - zdecydował w końcu. - To nie wyglądałoby dobrze w sądzie.

- A poza tym - dodał Ollie - strzelanie do człowieka jest przeciwne moim zasadom.

- Moim też - zadeklarował Milo.

- Ale kradzież - ciągnął Ollie - jest w porządku. Polowski popatrzył na Victora.

- Oto grupa o wysokim standardzie moralnym. Victor zaśmiał się.

- Relikt lat sześćdziesiątych.

- A więc wracamy do pierwszej propozycji - rzekła Cathy. -

Musimy ukraść wirusa. - Skoncentrowała się na mapie terenu. Droga

dojazdowa wiodła prosto do głównej bramy. Poza niewybrukowaną

drogą pozarową, oznaczoną jako „Nieużywana”, nie było innego

wjazdu. - W porządku - dodała. - Założmy, że przedostaniecie się

przez główną bramę. Musicie jeszcze przejść przez dwoje

zamkniętych drzwi, zmylić dwóch strażników i blokadę laserową.

Dajcie sobie spokój.

- Drzwi nie stanowią problemu - powtórzył Victor.

- Tylko ci strażnicy.

- A może odwrócimy ich uwagę? - zaproponował Milo. - Na przykład wznecimy pożar?

- I sprowadzimy sobie na głowę straż pożarną?

- zapytał Victor. - To nie najlepszy pomysł. A zresztą miałem już do czynienia ze strażnikiem przy głównej bramie. Znam go. To służbista. Nigdy nie wychodzi z budki. Przy najmniejszym podejrzeniu włączy alarm.

- A może Milo mógłby wyprodukować fałszywą przepustkę? - wyskoczył Ollie. - Pamiętacie, jak nam robił fałszywe prawa jazdy?

- Fałszował dowody tożsamości? - oburzył się Polowski.

- Tylko zmieniałem wiek na dwadzieścia jeden lat! - zaprotestował Milo.

- Robił też świetne paszporty - rozczulił się Ollie.

- Mój był z królestwa Booga Booga. Przeszedłem z nim przez cło na lotnisku w Atenach.

- Naprawdę? - Polowski był pod wrażeniem. - No to jak, Holland? Czy to by podziałało?

- Nie ma szans. Strażnik ma listę pracowników dopuszczonych do tajnych badań. Jeżeli nie zna kogoś osobiście, sprawdza kilkakrotnie.

- Ale są osoby, które wpuszcza automatycznie?

- Oczywiście. Tych, których poznaje... - Victor nagle urwał i odwrócił się w stronę Cathy - na pierwszy rzut oka. O Boże! To chyba mogłoby się udać.

Cathy zobaczyła jego minę i odgadła, o co mu chodzi.

- Nie - odparła. - To nie takie łatwe! Muszę zobaczyć tę osobę!

Potrzebuję odlewów jej twarzy. Dokładnych zdjęć zrobionych pod różnym kątem.

- Przecież jesteś w tym dobra.

- To działa na filmie! Ale nie w życiu!

- Będzie noc, strażnik spojrzy przez okno samochodu. Lub na ekran monitora. Jeżeli mogłabyś upodobnić mnie do jednego z szefów...

- O czym ty mówisz? - zaniepokoił się Polowski.

- Cathy jest charakteryzatorką. Rozumiesz, horrory, efekty specjalne.

- To coś zupełnie innego! - zaprotestowała Cathy. Chodzi o życie Victora, i tu jest różnica. Nie, nie może jej o to prosić. Gdyby coś się nie udało, to byłaby jej wina. Nie mogłaby żyć, mając jego śmierć na sumieniu.

Potrząsnęła głową.

- Zbyt wiele od tego zależy. To nie takie proste jak... sfilmowanie „Władców błota”.

- Ty robiłaś „Władców błota”? - zainteresował się Milo. - Super film!

- Odtworzenie twarzy wcale nie jest takie łatwe. Muszę zrobić odlew i potrzebuję modela.

- Masz na myśli prawdziwego faceta? - zapytał Sam.

- Tak. I nie przypuszczam, żebyście mogli zmusić kogoś z

szeffów Virateku, żeby dał sobie okleić twarz gipsem.

- No to mamy problem - zakomunikował Miło.

- Niekoniecznie.

Wszyscy odwrócili się i popatrzyli na Olliego.

- Co masz na myśli?

- Myślę o facecie, który od czasu do czasu ze mną pracuje. W

laboratorium. - Ollie wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. - Jest

weterynarzem.

Wypadki ostatnich paru tygodni odbiły się na Archibaldzie

Blacku poważnie, i to tak poważnie, że trudno mu było zajmować się

sprawami codziennymi. Już sama jazda do biura Virateku była męką.

A potem trzeba było zasiąść przy biurku, stawić czoło sekretarce i

udawać, że wszystko jest w porządku. Ledwie sobie z tym radził. Był

naukowcem, a nie aktorem.

Ani przestępcą.

Ale skończy jak przestępca, jeżeli eksperymenty w skrzydle C

wyjdą na jaw. Instynkt mu podpowiadał, aby zamknąć laboratorium i

zniszczyć zawartość inkubatorów. Matthew Tyrone jednak upierał się,

by kontynuować pracę. Byli już tak blisko zakończenia. W końcu

Departament Obrony zatwierdził projekt i oczekuje produktu. Sprawa

Victora Hollanda jest tylko drobnym zgrzytem i niedługo zostanie

rozwiązana. Trzeba brnąć dalej.

Łatwo Mattowi mówić, pomyślał Black. Tyrone nie ma sumienia,

więc go nie prześladowuje.

Te myśli gnębiły go przez cały dzień. Teraz, kiedy spakował już teczkę, chciał uciec stąd jak najszybciej. Wzdychając z ulgą, wyszedł z biura.

Było już ciemno, kiedy wjeżdżał na swój wysypany żwirem podjazd. Dom wyglądał jak solniczka z cedru i szkła, schowana pomiędzy drzewami; był zimny, pusty i potrzebował kobiety. Może powinien zadzwonić do swojej sąsiadki, Muriel. Zawsze cieszyła ją wspólna, naprędce przygotowana kolacja. Jej błyskotliwy dowcip i sałatka równoważyły fakt, że miała siedemdziesiąt pięć lat. Szkoda, że jego pokolenie nie wyprodukowało wielu takich egzemplarzy jak ona.

Wysiadł z samochodu i ruszył w stronę drzwi wejściowych. W połowie drogi usłyszał jakieś miękkie szszsz i prawie jednocześnie poczuł ostre ukłucie w szyję. Odruchowo klepnął w to miejsce i coś mu zostało w ręce. Ze zdumieniem popatrzył na strzałkę, próbując zrozumieć, skąd się wzięła. Ale poczuł, że nie może rozsądnie myśleć.

A potem, że ma kłopoty ze wzrokiem. Zmrok przerodził się w gęstą czerń, nogi zaczęły się zapadać w bagno. Teczka wysliznęła się z ręki i z głuchym stukiem upadła na ziemię. Umieram, pomyślał.

To była jego ostatnia świadoma myśl, zanim osunął się na zasypaną liśćmi ścieżkę.

- Nie żyje?

Ollie pochylił się, żeby posłuchać oddechu.

- Żyje, żyje. Ale jest nieprzytomny. - Spojrzał na Victora i

Polowskiego. - Pospieszmy się. To działa mniej więcej godzinę.

Victor złapał Blacka za nogi, Ollie i Polowski za ramiona. Razem zanieśli nieprzytomnego kilkadziesiąt metrów dalej, przez lassek, w stronę przecinki, gdzie zaparkowana była furgonetka.

- Jesteś pewien, że mamy godzinę? - Polowski z trudem łapał powietrze.

- Plus minus - odparł Ollie. - Środek uspokajający jest obliczony na duże zwierzęta, więc dawka jest przybliżona. Ale ten gość jest cięższy, niż myślałem.

Samochód był otwarty. Wepchnęli ciało Blacka do środka i zasunęli drzwi. Nagle rozbłysło jaskrawe światło, ale nieprzytomny mężczyzna nawet nie drgnął. Cathy uklękła i przyjrzała się jego twarzy.

- Dasz radę to zrobić? - spytał Victor.

- Oczywiście. - Obrzuciła wzrokiem sylwetkę mężczyzny. - Jest twojego wzrostu i budowy. Przyciemnimy ci włosy, zrobimy zakola.

Myślę, że się uda. - Popatrzyła na Mila, który już czekał z aparatem. -

Możesz robić zdjęcia. Kilka ujęć pod każdym kątem. Dużo

szczegółów dotyczących włosów. - Cathy włożyła rękawiczki i

fartuch, a tymczasem flesz migał. - Okryj go prześcieradłem. Całego,

poza twarzą. Nie chcę, żeby się obudził posypany gipsem.

- Jeżeli w ogóle się obudzi - mruknął Milo, zmarszczywszy się na widok nieruchomego ciała.

- Obudzi, obudzi. - Ollie machnął ręką. - Tam, gdzie go

znaleźliśmy. Nawet się nie zorientuje, co się działo.

Obudził go deszcz. Zimne krople uderzały go w twarz i spływały mu do ust. Jęcząc, Black obrócił się na drugi bok i poczuł, jak żwir wbija mu się w ramię. Kręciło mu się w głowie, ale pomyślał, że coś nie jest w porządku: z sufitu pada deszcz, kamyki w łóżku, on sam w butach...

W końcu się otrząsnął. Ku swemu zdumieniu zobaczył, że siedzi na podjeździe, a obok niego leży teczka. Deszcz przerodził się w ulewę. Czołgając się, dotarł do stopni na ganku i dostał się do domu. Godzinę później siedział skulony w kuchni i próbował pojąć, co się stało. Pamiętał, że zaparkował samochód. Wyjął teczkę i szedł do domu. A potem...?

W jego świadomość wdarł się jakiś nieokreślony dyskomfort.

Potarł dłonią szyję i wtedy przypomniał sobie, że zanim stracił przytomność, stało się coś dziwnego.

Podszedł do lustra i zobaczył małą dziurkę w skórze. Do głowy przyszła mu absurdalna myśl: wampiry. Do cholery, Archibaldzie.

Jesteś naukowcem. Znajdź racjonalne wyjaśnienie.

Podszedł do kosza na brudną bieliznę i wyjął z niego wilgotną koszulę. Zaniepokoił się, bo dostrzegł na kołnierzyku mały ślad krwi.

Potem zobaczył, co go spowodowało: była to zwykła szpilka krawiecka. Tkwiła jeszcze w kołnierzyku, pozostawiona tam bez wątplenia przez pralnię. I oto ma wytłumaczenie. Ukłuł się szpilką, a ból spowodował omdlenie. Zdegustowany rzucił koszulę. Rano

poskarży się w pralni i zażąda, by w ramach przeprosin oczyścili mu garnitur za darmo.

Wampiry, no rzeczywiście.

- Nawet przy marnym oświetleniu musisz mieć dużo szczęścia, żeby ci się udało - powiedziała Cathy.

Postąpiła krok do tyłu i przyglądała mu się długo i krytycznie.

Obeszła go dookoła, wpatrując się w przyciemnione świeżo włosy, uformowaną twarz i nowy kolor oczu. Upodobniła go, ale niezbyt dobrze.

- Uważam, że wygląda jak skóra zdarta z tamtego - zapewnił ją Polowski. - Czym się teraz martwisz?

- Martwię się, bo nagle zrozumiałam, że to czyste wariactwo.

Odwołajmy to.

- Pracowałeś nad nim przez całe popołudnie. Zrobiłeś mu nawet piegi na nosie. Co jeszcze chcesz poprawić?

- Nie wiem. Jakoś mi się to wszystko nie podoba! Ollie potrząsnął głową.

- Kobięca intuicja. Powinno się brać ją pod uwagę.

- A oto moja intuicja - odparł Sam. - Uważam, że się uda. To jedyna szansa, aby zakończyć sprawę.

Cathy zwróciła się do Victora.

- To twoje życie będzie zagrożone, i to twoja decyzja. - Chciała poprosić go, by tego nie robił, by został z nią. Ale widziała w jego oczach, że już się zdecydował.

- Cathy, uda się. Uwierz mi - zapewnił ją.

- Wierzę tylko, że cię zabiją, i nie chcę znaleźć się w pobliżu, żeby to oglądać.

Odwróciła się i wyszła. Stała na parkingu motelu Rockabye i otuliła się ramionami. Usłyszała odgłos zamykanych drzwi, a potem zbliżające się kroki.

- Nie musisz tu zostawać - powiedział. - Ta plaża w Meksyku czeka. Możesz tam polecieć dziś wieczorem, żeby znaleźć się daleko od tego zamętu.

- Chcesz, żebym pojechała?

- Tak - odrzekł po namyśle. Wzruszyła ramionami, udając nonszalancję.

- W porządku. Myślę, że masz rację.

- Ocaliłaś

mi życie, więc powinienem zapewnić ci

bezpieczeństwo. Jestem gotów dostać się do Virateku. Gotów zrobić dużo głupstw. Ale nie jestem gotów patrzeć na to, jak stanie ci się coś złego. - Przyciągnął ją do siebie. - Cathy, Cathy. Nie jestem wariatem.

Nie chcę umierać. Ale nie widzę innego sposobu...

Wtuliła się twarzą w jego pierś i poczuła bicie serca, równe i regularne. Bała się myśleć, że może ono zamilknąć, że nie przygarną już jej te ramiona. Był na tyle odważny, aby przeprowadzić ten szaleńczy plan; czy ona nie może wykrzesać w sobie takiej samej odwagi? Zaszliśmy razem tak daleko. Jak mogę nawet pomyśleć o

tym, żeby cię zostawić? Teraz, kiedy wiem, że cię Kocham?

Drzwi otworzyły się i na parking padł snop światła.

- Gersh? - zawołał Ollie. - Już późno. Musimy jechać.

- Chcesz, żeby Ollie zawiózł cię na lotnisko?

- Nie. Jadę z wami.

- Jesteś pewna?

- Ostatnio nie jestem już niczego pewna. Ale jakoś to

wytrzymam. - Spróbowała się uśmiechnąć. - A poza tym mogę być

potrzebna na planie. Jeśli twarz ci odpadnie...

- Potrzebuję cię nie tylko do tego.

- Gersh?

Victor wziął Cathy za rękę.

- Idziemy - odparł. - Oboje.

- Zbliżam się do bramy głównej. Jeden strażnik w budce. Poza

tym nikogo. Słyszysz mnie?

- Głośno i wyraźnie - odezwał się głos Polowskiego.

- Okej. Idę. Życz mi szczęścia.

- Będziemy na odbiorze. Połamania.

Skulili się we czwórkę w furgonetce zaparkowanej o kilkaset

metrów od głównej bramy Virateku. Wystarczająco blisko, by słyszeć

komunikaty Victora, ale zbyt daleko, by mu pomóc. Mając połączenie,

mogli śledzić jego drogę. Mogli również zostać świadkami jego

śmierci. W ciszy czekali na pierwszą przeszkodę.

- ...wieczór - rzekł Victor, zatrzymując się. Strażnik wyjrzał z

budki przez okienko. Dwadzieścia parę lat, czapka prosto, zapięty po szyję. Pete Zahn, służbista pierwszej kategorii. Jeżeli ktoś może zniweczyć całą akcję, to na pewno on. Victor podjął odważny wysiłek, by się uśmiechnąć, i modlił się, żeby maska nie popękała. Wymiana spojrzeń trwała całą wieczność. Potem, ku wielkiej uldze Victora, chłopak się uśmiechnął.

- Będzie pan pracował do późna, doktorze Black?

- Zapomniałem czegoś w laboratorium.

- Musi być coś ważnego, że przyjeżdża pan o północy.

- To te rządowe kontrakty. Czas nas goni.

- Racja. - Strażnik machnął ręką. - Powodzenia.

Z bijącym sercem Victor przejechał bramę. Dopiero na pustym parkingu wydał z siebie westchnienie ulgi.

- Pierwsza przeszkoda - powiedział do mikrofonu. - Dalej, chłopaki, rozmawiajcie ze mną.

- Jesteśmy - odezwał się Polowski.

- Wchodzę do budynku. Nie wiem, czy sygnał przedostanie się przez mury. Więc jeżeli przestaniecie mnie słyszeć...

- Będziemy na nasłuchu.

- Mam wiadomość dla Cathy. Daj mi ją. Nastąpiła przerwa, a potem usłyszał:

- Jestem, Victorze.

- Chcę ci tylko jedno powiedzieć. Wrócę. Obiecuję. Słyszysz mnie?

Nie był pewien, czy to osłabił sygnał, czy w jej głosie słychać było
łzy.

- Słyszę.

- Wchodzę. Nie odjeżdżajcie beze mnie.

Tylko

minutę

zabrało

Zahnowi

sprawdzenie

numeru

rejestracyjnego samochodu Blacka. W budce był spis, do którego Pete
sięgał rzadko, bo znał na pamięć numery samochodów należących do
szefostwa. To była dla niego gimnastyka umysłu, sprawdzian dla jego
sprytu. A numer na samochodzie doktora Blacka nie był prawidłowy.

Znalazł spis. Samochód się zgadza, szary lincoln z 1991, sedan.

Był prawie pewien, że to doktor Black był kierowcą. Ale numer był
inny. Pomyślał przez chwilę, próbując znaleźć jakieś wytłumaczenie.

Black mógł jechać innym autem albo robił mu kawał, wystawiając go
na próbę. A może to wcale nie był Archibald Black.

Pete sięgnął po telefon. Jedyne sposob, żeby sprawę wyjaśnić, to
zadzwoić do Blacka do domu. Już po północy, ale musi to zrobić.

Jeżeli Black nie odpowie, to znaczy, że to on siedział w lincolnie. A
jeżeli odbierze telefon, to znaczy, że dzieje się coś niedobrego.

Dwa dzwonki.

- Halo? - odezwał się półprzysłany głos.

- Tu Pete Zahn, nocny strażnik w Virateku. Czy mówię z doktorem Blackiem?

- Tak.

- Czy to doktor Archibald Black?

- Jest późno! O co chodzi?

- Panie doktorze, nie wiem, jak mam to panu powiedzieć, ale... -

Pete odkaszlnął. - Pański sobowtór właśnie przejechał przez bramę.

- Przeszedłem przez główne wejście. Idę przez hol do stanowiska ochrony. - Victor nie oczekiwał odpowiedzi i żadnej też nie usłyszał.

Budynek był betonowym szkaradzieństwem, zaprojektowanym, aby przetrwać przez całą wieczność. Sygnał radiowy nie przenika przez te mury. Teraz był naprawdę sam.

Podszedł do zamkniętych drzwi z napisem „Tylko dla upoważnionego personelu”. Z sufitu patrzyła skierowana prosto na niego kamera. Zignorował ją demonstracyjnie i przeniósł uwagę na klawiaturę zamka zamontowanego na ścianie. Kod, który pozostawił mu Jerry, otworzył główne wejście; czy druga kombinacja otworzy kolejne drzwi? Ręce mu się spociły, kiedy wbijał siedem cyfr. Wpadł w panikę, kiedy rozległ się pulsujący sygnał, a na ekraniku pokazała się informacja: „Kod bezpieczeństwa nieprawidłowy. Brak dostępu”.

Pod maską poczuł kropelki, a potem strużki potu. Może przestawił kolejność cyfr? Wiedział, że ktoś go obserwuje przez kamerę, i zastanawiał się, dlaczego ten człowiek tak długo nie reaguje.

Wzjął głęboki oddech i spróbował jeszcze raz. Tym razem wystukał kod powoli i dokładnie. Przygotował się na ostrzegawczy alarm. Ale ku jego uldze, na ekraniku pojawił się napis: „Kod bezpieczeństwa przyjęty. Proszę wejść”.

I tak znalazł się w następnym pomieszczeniu.

Trzecia przeszkoda, odetchnął, kiedy drzwi się za nim zamknęły.

Ostatni etap.

Kolejna kamera, zamontowana w rogu, skierowana znów była w jego stronę. Zdając sobie sprawę, że mu się przygląda, przeszedł przez pokój i podszedł do wewnętrznych drzwi do laboratorium. Kiedy nacisnął na klamkę, zabrzmiał ostrzegawczy dzwonek.

Co teraz? Dopiero wtedy zauważył czerwone światełko palące się nad drzwiami i ostrzeżenie: „Blokada laserowa aktywna”.

Potrzebował klucza, żeby ją wyłączyć.

Nadszedł właściwy moment, aby podjąć desperacki krok. Czas na odrobinę bezczelności. Poklepał się po kieszeniach, a potem odwrócił i spojrzał w oko kamery.

- Halo - pomachał. Doszedł go głos z interkomu.

- Doktorze Black, jakiś problem?

- Tak, nie mogę znaleźć kluczy. Musiałem je zostawić w domu...

- Mogę stąd wyłączyć lasery.

- Proszę. Nie rozumiem, jak mogłem zapomnieć...

- Żaden problem.

Czerwone światło ostrzegawcze natychmiast zgasło. Victor

ostrożnie popchnął drzwi - otworzyły się. Pomachał w stronę kamery i wszedł do ostatniej sali.

Tutaj, ku jego wielkiej uldze, nie było kamer, a przynajmniej żadnej nie widział. Zobaczył kosmiczną aparaturę - żadnych wirówek i mikroskopów, ale przyrządy były nowe i błyszczące. Przeszedł przez komorę odkażającą, stację przepływu laminarnego i podszedł prosto do inkubatorów. Otworzył drzwiczki.

W przedziałkach stały probówki. Wyjął jedną z nich. Pełna była różowawego płynu. Na naklejce napisano: „Próbka nr 341. Aktywna”.

To musi być to. Przynajmniej czegoś takiego kazał mu szukać Ollie. Koszmar, czarna kostucha wydestylowana i zamieniona w mikroskopijne cząsteczki.

Wyjął dwie fiołki, umieścił je w miękko wyścielonej papierošnicy i włożył do kieszeni. Zadanie wykonane, pomyślał z triumfem i skierował się w stronę wyjścia. Pozostał mu tylko spacer do samochodu. A potem szampan...

Był już w połowie drogi przez laboratorium, kiedy zadźwięczał alarm. Victor zastygł w miejscu.

- Doktorze Black? - odezwał się z interkomu głos strażnika. -

Proszę nie wychodzić.

- Co się stało?

- Dostałem polecenie, żeby pana zatrzymać. Proszę poczekać, zaraz sprawdzę...

Victora nie interesował powód zatrzymania. Ruszył pędem do

drzwi i gdy znalazł się przy nich, usłyszał jękliwy dźwięk uruchamianych laserów. Coś przecięło mu ramię. Przebiegł przez sąsiadujące pomieszczenie, otworzył drzwi zabezpieczone kodem i znalazł się w holu.

W całym budynku rozbrzmiewało wycie alarmu. Zerknął w stronę głównego wejścia. Nie, tam jest strażnik.

Skierował się do wyjścia ewakuacyjnego. Gdzieś za sobą usłyszał: „Stać!”. Zignorował to i biegł dalej. Na końcu holu znalazł drzwi wiodące na klatkę przeciwpożarową. Żadnego wyjścia, tylko schody. Nie da się schwytać w pułapkę w piwnicy, jak szczur. Pobiegnął w górę. Kiedy znalazł się piętro wyżej, usłyszał, jak trzasnęły drzwi wiodące z holu na parterze.

- Stać, bo strzelam! - ktoś zawołał. To blef, pomyślał.

Rozległ się huk wystrzału i poszedł echem po betonowych ścianach. Powodowany desperacją Victor ruszył do holu na piętrze.

Zobaczył pozamykane drzwi. Które, które? Nie było czasu na zastanawianie się. Wpadł do trzecich z kolei i cicho zamknął je za sobą.

W półmroku ujrzał połyskujące blaty szafek z nierdzewnej stali i szklane naczynia. Kolejne laboratorium. Tyle że miało duże okno, zalane teraz światłem księżyca.

Od strony holu dobiegło go trzaskanie drzwiami, w które ktoś przedtem kopał, i krzyk strażnika: „Ręce do góry!”. Pozostała mu już tylko jedyna droga ucieczki. Victor złapał krzesło i rzucił nim w okno.

Szkło rozprysnęło się, wyrzucając deszcz połyskujących w księżycowej poświacie kawałeczków. Nawet nie spojrzał, gdzie skacze. Wylądował w gąszczu krzewów.

- Stać! - usłyszał krzyk z góry.

To wystarczyło, aby zerwał się na równe nogi. Śmignął przez trawnik i ukrył się w drzewach. Kiedy się obejrzał, nie było widać pogoni. Strażnik nie chciał ryzykować i nie wyskoczył za nim. Byle tylko za bramę...

Victor okrążył budynek, skacząc pomiędzy krzakami i drzewami.

Nagle jego serce zamarło.

Wjazd zatarasowały cztery samochody należące do ochroniarzy, zalewając go światłem reflektorów. Potem nadjechała furgonetka.

Kierowca podszedł do tylnych drzwi i gdy je otworzył, na jego komendę wyskoczyły dwa owczarki alzackie, pełne entuzjazmu.

Victor wycofał się, starając się ukryć jak najgłębiej w gęstwinie młodych dębów. Nie ma wyjścia, pomyślał, spoglądając na płot zwieńczony obręczami drutu kolczastego. Psy, szczekając głośno, zbliżały się. Jeżeli nie wyrosną mi skrzydła, to już nie żyję...

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Coś się stało! - zawołała Cathy, kiedy przejechał obok nich pierwszy samochód ochrony.

Polowski dotknął jej ramienia.

- Wszystko w porządku. To tylko rutynowy patrol.

- Nie. Spójrz! - Poprzez drzewa zobaczyli trzy kolejne

samochody pędzące w stronę Virateku.

Ollie przeklął i sięgnął po mikrofon.

- Zaczekaj! - Polowski złapał go za rękę. - Nie możemy ryzykować. Niech się odezwie pierwszy.

- Może ma kłopoty.

- To już o tym wie. Dajmy mu szansę, żeby wyszedł z tego sam.

- A jeżeli jest w pułapce? - spytała Cathy. - Będziemy tak siedzieć?

- Nie mamy wyboru. Zablokowali główną bramę.

- Mamy wybór! - zawołała Cathy i przedostała się na fotel kierowcy.

- Co ty, do cholery, robisz? - wściekł się Polowski.

- Chcę mu dać szansę. Jeżeli nie...

Wszyscy nagle zamilkli, bo z odbiornika doszły ich trzaski.

- Chyba wpadłem. Nie mogę się wydostać. Słyszycie mnie?

Ollie złapał za mikrofon.

- Tak. Co się dzieje?

- Brama główna zablokowana i oświetlona jak boisko. Włączyły się alarmy. A teraz przywieźli psy...

- Możesz przejść przez płot?

- Nie. Jest pod napięciem. Chyba musicie wiać beze mnie.

Polowski złapał za mikrofon i krzyknął:

- Holland? Gdzie jesteście?

- Na północnym wschodzie ogrodzenia. Jedźcie. Dam sobie

radę...

- Powiedz mu, żeby biegł na wschód, do środkowej części płotu.

- Słyszałem.

Polowski spojrział ze zdumieniem na Cathy.

- Co ty, do cholery, knujesz? Wrzuciła bieg i wjechała na drogę.

- Hej, jedziesz w złą stronę! - krzyknął Milo.

- Nie. Tu gdzieś jest droga pożarowa. - Zjechała gwałtownie na coś, co przypominało leśny trakt. Samochód zaczął podskakiwać.

- Jak znalazłaś tę wspaniałą drogę? - zapytał Sam.

- Widziałam ją na mapie Virateku.

- Czy to droga krajobrazowa, czy może dokądś prowadzi?

- Do ogrodzenia przy wschodniej ścianie. Tędy dowożono materiały budowlane. Mam nadzieję, że nie zarosła na tyle, żebyśmy nie mogli się przedostać...

- I co dalej?

- Nie pytaj.

Cathy skręciła kierownicą, aby ominąć krzak, który wyrósł przed nią na drodze, i wjechała na małe drzewko. Pasażerowie spadli na podłogę.

- Przepraszam - mruknęła. Wycofała się i wróciła na trakt. -

Zaraz znajdziemy...

Ich oczom ukazała się bariera z połączonych łańcuchów. W ciemnościach usłyszeli przybliżające się szczekanie psów. Gdzie on jest?

Nagle zobaczyli w świetle księżycy, jak biegnie w ich stronę. Z

boku ktoś krzyknął i rozległ się strzał.

- Trzymać się! - zawołała Cathy.

Zapięła pas i mocniej schwyciła za kierownicę. A potem z całej siły nacisnęła na pedał gazu. Furgon podskoczył jak mustang ponad poszyciem leśnym i rąbnął w barierę. Łańcuch spadł, iskry zaskwierczały w powietrzu. Cathy włączyła wsteczny bieg, wycofała się i znów nacisnęła na gaz. Ogrodzenie przewróciło się; na przedniej szybie zachrobotwały obręcze drutu kolczastego.

- Przejechaliśmy! - wrzasnął Ollie. Odsunął boczne drzwi i krzyczał: - Gazu, Gersh! Gazu!

Victor biegł zakosami przez trawę. Obok niego świstały kule.

Zrobił ostatni skok przez zwoje drutu i potknął się.

- Szybciej!

Kule dosięgły furgonu.

Victor z trudem pozbierał się i stanął na nogi. Usłyszeli dźwięk rozdieranego ubrania, zobaczyli wyciągające się do nich ręce i wciągnęli go do środka.

Cathy wycofała samochód, zakręciła i nacisnęła z całej siły na gaz. Ruszyli przed siebie, podskakując na przyginanych krzakach i grzęznąc w koleinach. Kolejna seria strzałów zagrzechotała o karoserię. Cathy nie zważała na to. Skoncentrowała się na dotarciu do głównej drogi. Dźwięk kanonady ucichł. Wjechała na asfalt i dodała gazu, pragnąc jak najbardziej zwiększyć dystans pomiędzy nimi a

Viratekiem. Gdzieś w oddali zawyły syreny.

- Mamy towarzystwo! - zauważył Polowski.

- W którą stronę? - zawołała Cathy. Viratek został za nimi, a syreny zbliżały się od przodu.

- Nie wiem! Po prostu zjeżdżajmy stąd!

Widok policyjnych wozów zasłaniały jeszcze drzewa, ale usłyszeli, że sygnał szybko się zbliża. Dadzą nam przejechać, czy nas zatrzymają?

O mało nie przeoczyła przecinki. Pod wpływem nagiego impulsu gwałtownie skręciła z twardej nawierzchni i furgon w podskokach zjechał na pole.

- Tylko mi nie mów - jęknął Polowski - że to jeszcze jedna droga pożarowa.

- Zamknij się! - warknęła i wjechała prosto w krzaki, po czym wyłączyła światła.

To był ostatni moment, bo kilka sekund później dwa patrole z migającymi światłami przemknęły obok nich. Cathy siedziała jak zamurowana, nad słuchując ryku oddalających się syren. A potem usłyszała, jak Milo odzywa się po cichu w ciemnościach:

- Nazywa się Bond. Jane Bond.

Pół śmiejąc się, pół płacząc odwróciła się do Victora, który przedostał się na przednie siedzenie. Natychmiast znalazła się w jego ramionach. Któryś z mężczyzn siedzących z tyłu odchrząknął znacząco.

- Posłuchaj, Gersh - odezwał się grzecznie Ollie. - Nie uważasz, że powinniśmy już jechać?

Victor niechętnie oderwał się od Cathy, ale jego wzrok nie opuszczał jej twarzy.

- Jasne - mruknął, po czym znów przyciągnął ją do siebie i pocałował. - Ale może ktoś inny by poprowadził?

- I teraz zaczynają się schody. Robi się naprawdę groźnie - oznajmił Polowski.

To on był teraz przy kierownicy. Jechali na południe, w stronę San Francisco. Cathy i Victor siedzieli obok niego, a z tyłu Milo i Ollie leżeli zwinięci w kłębek jak dwa wyczerpane zabawą szczeniaki.

Z radia dochodził cichy dźwięk muzyki country. Zegary na desce rozdzielczej świeciły zielonym światłem.

- Mamy w końcu dowody - ciągnął. - Musimy je tylko ujawnić.

Będą zdesperowani. Spróbuję wszystkiego. Od tej chwili, moi drodzy, zaczyna się prawdziwe polowanie.

A dotąd to było co? - pomyślała Cathy, przytulając się do Victora.

Marzyła o tym, żeby zostać z nim sam na sam. Nie było czasu na pełne łez powitanie ani miłosne wyznania. Ostatnie dwie godziny spędzili na bocznych drogach, unikając policji. Z pewnością o włamaniu do Virateku powiadomiono już władze. Policja stanowa poszukuje już furgonu z uszkodzoną przednią częścią karoserii.

Polowski ma rację. Robi się groźnie.

- Jak tylko dojedziemy do miasta - zapowiedział Polowski -

oddamy próbki do różnych laboratoriów. Żeby uzyskać niezależne opinie. W ten sposób wyeliminujemy wątpliwości. Holland, znasz kogoś, komu możemy ufać?

- Tak, kolegę ze studiów jeszcze w New Haven. Prowadzi laboratorium szpitalne. Mam do niego zaufanie.

- Ktoś z Yale? Świetnie. To duży prestiż.

- Ollie ma kolegę na Uniwersytecie w San Francisco. Zajmą się drugą próbką.

- A kiedy dostaniemy wyniki, porozmawiam z pewnym dziennikarzem, który kocha takie sprawy. - Sam z satysfakcją uderzył dłonią w kierownicę. - Viratek, z wami koniec.

- Jesteś w swoim żywiole, prawda? - zapytała Cathy.

- Kobiety, wy tego nie zrozumiecie. Holland właśnie otrzymał największy zastrzyk adrenaliny w życiu.

Victor w milczeniu patrzył przed siebie.

- Czy to nie było wspaniałe? - ciągnął Polowski. - Wedrzeć się pazurami do piekła i wydostać z powrotem?

- Nie - odparł Victor. - Bo to jeszcze nie koniec. Uśmiech znikł z twarzy Sama.

- Prawie - odparł. - To prawie koniec. Minęli znak: San Francisco 15 kilometrów.

Czwarta rano. W kafejce z pączkami w North Beach przycupnęło nad kawą i drożdżówkami pięć umęczonych dusz. Tylko przy jednym stoliku jeszcze ktoś siedział - człowiek z przekrwionymi oczami i

drżącymi rękami. Dziewczyna za ladą wsadziła nos w gazetę. W tle

szumiał ekspres do kawy.

- Za nowego i najładniejszego członka grupy... piękną i

nieustraszoną... - zaczął Milo.

- Och, proszę cię - zaprotestowała Cathy. Victor otoczył ją ramieniem.

- Wyluzuj i poczuj się zaszczycona. To bardzo ekskluzywna grupa.

- Jedyne wymóg to ten - dodał Ollie - że musisz źle grać na jakimś instrumencie.

- Nie gram na żadnym.

- To żaden problem. - Ollie oderwał kawałek papieru, w który zawinięte były drożdżówki, i owinał nim swój grzebień. - Proszę, fujarka.

Cathy przyłożyła grzebień do ust i wymruczała stosownie

fałszywą wersję Yankee Doodle. Słuchacze roześmiali się i posłali jej

brawka, nawet Victor. Ale kiedy aplauz ucichł, spostrzegła zmęczony

wyraz jego oczu.

Ulicą przemknęła ciężarówka dostawcza. Piąta, miasto budziło się

do życia.

- No dobrze, kochani - powiedział Sam i położył na stoliku

dolara napiwku. - Musimy wyrwać z łóżka tego ważniaka reportera. A

potem przesyłki do dostarczenia. O której jest lot do New Haven?

- Piętnaście po dziesiątej - odparł Victor.

- Dobrze, kupię bilety. Ale przedtem spróbuj zapuścić nowe

wąsy czy brodę. Cathy, jedziesz z nim?

- Nie.

Oczekiwała jakiejś reakcji. Zobaczyła ulgę. I rezygnację. Nie

próbował jej przekonywać.

- Co zrobisz? - zapytał tylko. Wzruszyła ramionami.

- Może powinnam trzymać się naszego pierwszego planu i

pojechać na południe, do Jacka.

Miał teraz szansę powstrzymać ją, powiedzieć, że chce ją mieć

koło siebie. Gdyby naprawdę ją kochał...

Ale on tylko kiwnął głową i powiedział, że to dobry pomysł.

Zamrugła, żeby ukryć łzy, zanim ktoś je spostrzeże. Popatrzyła na

Olliego z obojętnym uśmiechem.

- Kiedy ty i Milo wracacie do domu?

- Myślę, że zaraz. Wykonaliśmy swoje zadanie.

- Zabierzecie mnie? Złapię autobus w Paño Alto.

- Nie ma problemu. Możesz nawet usiąść na honorowym

miejscu, z przodu.

- Tylko nie za kierownicą - mruknął Milo. - Jeżeli pozwolicie, to

chciałbym spokojnie dojechać do domu.

Sam wstał.

- Czyli że wszyscy wiedzą, co robić.

Na ulicy, która budziła się już do życia, Cathy i Victor pożegnali

się. Victor włożył ręce do kieszeni i utkwiał wzrok w przejeżdżającym

autobusie.

- Będę tęsknił za tobą, ale rozumiesz, że nie możemy w tych okolicznościach być razem.

Zostałabym z tobą, gdybyś tylko tego chciał.

- Dam ci znać, kiedy znowu zrobi się bezpiecznie. Kiedy będziesz mogła wrócić do domu.

- A potem?

- Potem zaczniemy wszystko od początku. Pocałowali się jak para przyjaciół, spiesząc się ze względu na przyglądających im się kolegów. Nie było tu napiętności.

- Uważaj na siebie, Victorze. - Wyprostowała się i dołączyła do Mila i Olliego. - Możemy jechać.

- Opowiedzcie mi o Lily - poprosiła.

Pierwsze światło poranka malowało już smugi na niebie, kiedy jechali wzdłuż domów miasteczka Pacifica i klifowego wybrzeża.

- Co chcesz wiedzieć?

- Jaką była kobietą?

- Była miła i mądra - odparł Ollie. - Nigdy jej nie zależało, żeby robić dobre wrażenie. Chyba była najbystrzejsza z nas. A już na pewno bystrzejsza od Mila.

- I przystojniejsza niż Ollie - pisnął głosik z tylnego siedzenia.

- Prawdziwie dobra i przyzwoita. Kiedy pobrali się, pomyślałem, że ożenił się ze świętą. Ale nie każdemu facetowi zależy na świętej. Ja z pewnością byłbym szczęśliwszy z jakąś zwariowaną kobietą. Na

przykład z kimś, kto rozwali samochodem ogrodzenie pod napięciem,
ot tak sobie, dla zabawy.

To było miłe z jego strony, że tak powiedział, że chciał ją
rozśmieszyć. Ale nie mógł złagodzić jej bólu.

Musi się stąd wyrwać! Pomyślała o Meksyku, o ciepłej wodzie i
gorącym piasku, zapachu świeżych ryb i limonek. Pogrzyży się w pracy
nad nowym filmem. Jack będzie na planie ze swoją nową panienką,
ale z tym sobie poradzi. Jack nie jest w stanie jej skrzywdzić. Jest
ponad to, żaden mężczyzna już jej nie skrzywdzi.

Kiedy wjechali na podjazd domu Mila, świt zdążył się przerodzić
w jasny zimny poranek.

- Ty, Cathy, do Meksyku, prawda? - zapytał Milo.

- Tak, do Puerto Vallarta. A ty?

- Chyba dołączę do mamy na Florydzie. Pojedziesz ze mną,
Ollie?

- Innym razem. Muszę odespać.

- To była wspaniała przygoda. Niemal żałuję, że się skończyła. -

Milo wszedł na ganek i pomachał im. - Do zobaczenia! - A potem
zniknął w drzwiach frontowych.

- Następny przystanek dworzec autobusowy - rzekł Ollie, ale nie
zdołał nawet ruszyć. W otwartym oknie auta ukazała się lufa pistoletu
i dotknęła jego skroni.

- Doktorze Wozniak, niech pan wysiada.

- Czego chcesz? - wychrypiał Ollie. Kliknięcie odbezpieczanej

broni wystarczyło. - Dobra, wysiadam.

Cathy też chciała wysiąść, ale usłyszała:

- Ty nie! Zostań w środku.

- Posłuchaj - zaproponował Ollie. - Oddam ci ten cholerny samochód! Jej nie potrzebujesz...

- Potrzebuję. Powiedz Hollandowi, że się z nim skontaktuję w sprawie przyszłości panny Weaver. - Obszedł furgon dookoła i otworzył drzwi z prawej strony. - A ty za kierownicę!

- Nie, proszę... - Poczwała na karku chłód lufy.

- Mam cię prosić?

Przeniosła się na fotel kierowcy. Mężczyzna usiadł obok niej.

Chociaż ciągle czuła pistolet przystawiony do karku, utkwiała wzrok w oczach napastnika. Były czarne i zdawały się nie mieć dna. Jeżeli drzemała w nich jakaś iskierka człowieczeństwa, to nie mogła jej dostrzec.

- Zapal silnik.

- Dokąd... dokąd jedziemy?

- Na przejażdżkę. W jakieś ładne miejsce. Gorączkowo szukała w myślach jakiegoś sposobu

ucieczki, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Przekręciła kluczyk w stacyjce.

- Hej! - zawołał Ollie, łapiąc za drzwi samochodu. - Nie możesz tego zrobić!

- Ollie, nie! - krzyknęła Cathy. Napastnik wycelował przez okno.

- Puść ją! Pu...

Rozległ się strzał. Ollie zatoczył się, na jego twarzy odmalowało się zdziwienie.

Ze

zwierzęcą

furią,

napędzana

jeszcze

instynktem

samozachowawczym, rzuciła się z pazurami do oczu bandyty, który w ostatniej chwili się uchylił. Podrapała mu twarz do krwi. Zanim zdążył zareagować, złapała go za nadgarstek, próbując wyrwać mu broń, ale był od niej silniejszy. Nie mogła go powstrzymać.

Ostatni obraz, jaki zarejestrowała, to była czarna dziura, powoli obracająca się w stronę jej twarzy.

Coś uderzyło ją z boku. W głowie eksplodował potworny ból i świat roztrzaskał się na miliony błyskawic.

Gasły jedna po drugiej, aż zapadła ciemność.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Przyszedł Victor - oznajmił Milo.

Wydawało się, że minęła wieczność, zanim Ollie zdał sobie sprawę z ich obecności. Victor ledwo się powstrzymał, by nim nie potrząsnąć, aby oprzytomniał. Musiał czekać w ciszy przerywanej tylko sykiem tlenu i bulgotaniem rurki odsysającej. Wreszcie Ollie

poruszył się i jego oczy, w których szklili się ból, zarejestrowały obecność trzech mężczyzn.

- Gersh, nie mogłem... - Urwał wyczerpany.

- Powoli, Ollie, powoli.

- Próbowałem go powstrzymać. Miał broń... - Ollie przerwał, zbierając siły.

Victor ze strachem wyczekiwał następnych słów.

Ciągle nie dowierzał temu, co usłyszał od Mila, mając nadzieję, że to jakaś koszmarna pomyłka, że Cathy siedzi w tej chwili w autobusie wiozącym ją w bezpieczne miejsce. Jeszcze dwie godziny temu gotów był wsiąść do samolotu do New Haven. Przy stanowisku United Airlines dostał wiadomość. Przeznaczona była dla pasażera o nazwisku Sam Polowski, bo na takie nazwisko wystawiony był bilet.

Szła się tylko z trzech słów: „Zadzwoń natychmiast. Milo”.

Pasażer Polowski nie wsiadł do samolotu. Dwie godziny. Co zdążyli jej zrobić przez te dwie godziny?

- Ten człowiek, jak on wyglądał? - zapytał Sam.

- Dobrze go nie widziałem. Ciemne włosy. Twarz... pociągła.

- Wysoki? Niski?

- Wysoki.

- Odjechał twoim samochodem? Ollie kiwnął głową.

- A co z Cathy? - zapytał Victor. - Nie zranił jej? Zapadła cisza, która dla Victora była wiecznością.

- Nie wiem.

Aha. Istnieje szansa, że jeszcze żyje. Nagle, pobudzony, zaczął

przemierzać szpitalny pokój.

- Wiem, czego chce, co mam mu dać.

- Chyba nie mówisz poważnie - rzekł Polowski. - To nasz jedyny

dowód! Nie możesz się go pozbyć...

- Właśnie to zamierzam zrobić.

- Nie wiesz nawet, jak się z nim skontaktować!

- On skontaktuje się ze mną. Musiał obserwować twój dom,

Milo. Czekał, aż ktoś się pojawi. Zadzwoń do ciebie. - Victor dotknął

kieszeni swojej kurtki, w której znajdowały się próbki z Virateku. -

Mam to, czego chce. Obaj jesteśmy gotowi na wymianę.

Słońce, jaskrawe i nieustępliwe, świeciło jej prosto w oczy.

Zacisnęła mocno powieki, aby promienie nie wbijały się jej w mózg.

- Obudź się!

Poczuła na twarzy lodowatą wodę. Zakrztusiła się, z włosów

popłynęły strużki. Próbowwała zatrzymać wzrok na twarzy, którą

zobaczyła. Najpierw widziała tylko ciemny owal na tle oślepiającego

kręgu światła. Potem mężczyzna odsunął się i dostrzegła czarne oczy i

zaciśnięte usta. Krzyk podniósł się w jej gardle, ale zamarł, gdy na

policzku poczuła chłód lufy pistoletu.

- Cisza - powiedział. - Usiądź.

Przerażona, podniosła się. Pokój zaczął wirować. Objęła rękami

bolącą głowę, strach na chwilę przyćmił fale bólu i mdłości. Nagle

uświadomiła sobie obecność drugiego mężczyzny, potężnego, o

szerokich ramionach, którego nigdy przedtem nie widziała. Siedział w rogu i w milczeniu śledził każdy jej ruch. Sam pokój był mały i bez okien. Nie wiedziała, czy jest dzień, czy noc. Całym umeblowaniem było krzesło, karciany stolik i prycza, na której siedziała. Podłoga z betonu. Jesteśmy w piwnicy, pomyślała. Czy są jeszcze w Palo Alto?

Człowiek siedzący na krześle skrzyżował ramiona i uśmiechnął się. W innych okolicznościach mogłaby uznać ten uśmiech za czarujący. Teraz był niehumaniczny.

- Chyba już oprzytomniała. Niech pan zaczyna, panie Savitch.

- Gdzie on jest?

- Kto?

Savitch uderzył ją w twarz. Przewróciła się na plecy.

- Spróbujmy jeszcze raz. - Pociągnął ją za rękę do pozycji siedzącej. - Gdzie jest Victor Holland?

- Nie wiem.

- Byłaś z nim.

- Rozdzieliliśmy się.

- Dlaczego?

Dotknęła ust. Widok krwi na palcach zszokował ją tak, że na chwilę zamilkła.

- Nie chciał... żebym z nim została.

- Szybko się tobą znudził. Nie wiem dlaczego.

Zadrżała, kiedy przejechał palcem po jej policzku i szyi.

Zatrzymał się na górnym guziku jej bluzki. Nie, pomyślała. Tylko nie

to. Odetchnęła z ulgą, kiedy człowiek siedzący na krześle nagle się wtrącił.

- To do niczego nie prowadzi. Savitch zwrócił się w jego stronę.

- Ma pan inną propozycję, panie Tyrone?

- Tak. Posłużymy się nią w inny sposób. Jeżeli my nie możemy do niego dotrzeć, to musimy go ściągnąć tutaj. Z twoją pomocą, kochana.

Cathy zobaczyła, że trzyma w ręku komórkę.

- Mówiłam wam. Nie wiem, gdzie jest.

- Jesteśmy pewni, że koledzy go znajdą.

- On nie jest taki głupi. Dla mnie tu nie przyjdzie.

- Masz rację. Nie jest głupi. - Tyrone zaczął wybierać numer. -

Ale ma sumienie. A to śmiertelna wada. - Urwał, a potem powiedział

do telefonu: - Halo? Milo Lum? Proszę przekazać panu Hollandowi

wiadomość ode mnie. Mam coś, co do niego należy. Coś, co nie przetrwa długo...

- To on! - syknął Milo. - Chce negocjować. Victor zerwał się na równe nogi.

- Chcę z nim porozmawiać...

- Zaczekaj! - Polowski złapał go za rękę. - Powoli. Pomyśl...

Victor wyrwał się i złapał komórkę.

- Tu Holland. Gdzie ona jest?

- Jest ze mną. Żyje.

- Skąd mam wiedzieć, że...

- Musisz mi uwierzyć na słowo.

- Muszę mieć dowód!

Zapadła cisza, a potem usłyszał głos tak drżący i wystraszony, że o mało serce mu nie pękło.

- Victorze, to ja.

- Cathy? Jesteś zdrowa i cała?

- Tak... w porządku.

- Gdzie jesteś?

- Nie wiem... - Urwała. - Nie jestem pewna.

- Nic ci nie zrobił? Pauza.

- Nie.

Nie mówi mi prawdy, pomyślał. Skrzywdził ją...

- Cathy, obiecuję ci, wszystko będzie dobrze. Przysięgam, że...

- Porozmawiajmy o interesach. - Victor usłyszał w słuchawce męski głos.

- Jeżeli jej tylko dotkniesz - krzyknął ogarnięty furia - przysięgam, że...

- Nie można powiedzieć, żebyś miał dobrą pozycję negocjacyjną.

Victor poczuł, że czyjaś ręka chwyta go za ramię.

Odwrócił się i napotkał wzrok Polowskiego. Układaj się z nim, to jedyny sposób, aby zyskać na czasie, zobaczył w jego oczach. Gdy odezwał się znowu, jego głos był już spokojny.

- Okej, chcesz mieć próbki. Są twoje.

- To za mało.

- Mogę dorzucić siebie. Zgadzasz się?

- Tak. Ty i próbówki w zamian za jej życie.

- Nie! - Udręczony krzyk przerwał rozmowę. To Cathy wołała gdzieś z oddali. - Nie, Victorze! Oni cię...

Victor usłyszał w słuchawce odgłos ciosu, a potem jęk bólu. Całe jego opanowanie legło w gruzach. Teraz krzyczał, przeklinał, błagał, żeby tylko ten człowiek przestał ją torturować. I znowu Sam potrząsnął go za rękę, a jego oczy mówiły: Układaj się.

Victor, oddychając ciężko, patrzył na niego przez łzy. Boże, daj mi siłę, pomyślał.

- Kiedy zrobimy zamianę? - zdołał wykrztusić.

- Dziś w nocy. O drugiej nad ranem.

- Gdzie?

- We wschodnim Palo Alto. W starym teatrze Saracen.

- Przecież jest nieczynny. Zamknięto go...

- Będzie otwarty. Bądź sam. Jeżeli zobaczę jeszcze kogoś, to pierwsza kula jest dla niej. Jasne?

- Chcę mieć gwarancję! Chcę wiedzieć, że będzie... Usłyszał w telefonie ciągły sygnał.

- Jak się umówiliście? - spytał Sam.

- O drugiej w nocy, teatr Saracen.

- To za pół godziny. Za mało czasu, żeby zastawić...

- Jadę sam.

Milo i Polowski wlepili w niego wzrok. Victor sięgnął po

marynarke i sprawdził kieszeń; papierośnica ciągle tam była. Podszedł do drzwi.

- Przecież on cię zabije! - zawołał Milo.

- Pewnie tak. Ale to jedyna szansa dla Cathy.

- Nie przyjedzie - oznajmiła Cathy.

- Zamknij się - krzyknął Tyrone i ją popchnął.

Szli wąskim przejściem na tyłach teatru. Cathy rozpaczliwie poszukiwała sposobu, by nie dopuścić do spotkania. Skończy się źle nie tylko dla Victora, ale i dla niej. Ci dwaj nie mają zamiaru pozwolić jej przeżyć. Może tylko liczyć na to, że Victor ocali życie. Musi zrobić wszystko, by zwiększyć jego szanse.

- Ma dowody. Myślicie, że poświęci je dla mnie? Tyrone zerknął na Savitcha.

- A jeżeli ona ma rację?

- On nie zostawi swojej kobietki. - Savitch dotknął pieszczotliwie policzka Cathy. - Wie, co z nią zrobimy.

Cathy wzdrygnęła się z obrzydzeniem. A jeżeli rzeczywiście nie przyjdzie? Jeżeli zrobi to co najrozsądniejsze i pozwoli jej zginąć?

Wcale by mu się nie dziwiła.

Tyrone popchnął ją na schody.

- Do środka.

- Nie widzę - zaprotestowała. Potknęła się o jakieś skrzynki, otarła o coś przypominającego ciężkie zasłony. - Za ciemno...

- Zaraz będzie jaśniej - zabrzmiał czyjś głos. Zapaliły się światła

tak mocne, że ją oślepiły. Zasłoniła oczy dłonią. Przez palce zobaczyła przed sobą jakiegoś człowieka. Tuż za nim podłoga zdawała się opadać.

Stali na scenie. Było oczywiste, że od lat nie odbywały się tu przedstawienia. Podarta kurtyna zwisała jak pajęczyna. Resztki starych dekoracji, porośnięte bluszczem mury obronne średniowiecznego zamku, opierały się jeszcze o ściany zastawione starymi miotłami.

- Jakieś problemy, Dafoe? - zawołał Tyrone.

- Żadnych. Sprawdziłem budynek, jedne drzwi od frontu, jedne za sceną. Drzwi pożarowe są zamknięte na kłódkę. Jeżeli zablokujemy oba wyjścia, Holland będzie w pułapce.

- Widzę, że FBI zasłużyła na swoją świetną reputację.

Dafoe uśmiechnął się i pochylił głowę.

- Wiedziałem, że Kowboj zaakceptuje tylko to, co najlepsze.

- Okej, panno Weaver. - Tyrone popchnął Cathy w kierunku

krzesła stojącego tuż pod reflektorem. - Na środek sceny. Tak, żeby mógł panią zobaczyć.

Savitch przywiązał ją do krzesła. Dobrze wiedział, co robi. Nie

miała możliwości uwolnienia rąk z takich ciasnych, profesjonalnie wykonanych więzów. Zrobił krok do tyłu, zadowolony z wykonanej pracy.

- Żeby nie było niespodzianek - powiedział, a po namyśle oderwał kawałek taśmy i przykleił jej na ustach.

Tyrone spojrział na zegarek.

- Zero minus piętnaście. Na miejsca, panowie. Cała trójka ukryła się w ciemnościach, zostawiając

Cathy na pustej scenie. Światło reflektora bijące w jej twarz było gorące jak ostre słońce. Czowała, jak na jej czole zbierają się kropelki potu. Chociaż nie widziała ich, po głosach ustalała ich obecność.

Tyrone był blisko. Savitch na tyłach teatru, niedaleko od wejścia głównego. A człowiek o nazwisku Dafoe zajął miejsce w jednej z łóż.

Trzy linie ognia. Nie ma ucieczki.

Victorze, nie bądź głupcem. Trzymaj się z dała...

A jeżeli nie przyjdzie? Tej możliwości też nie mogła znieść, bo oznaczałoby to, że ją opuścił. Że nie dba o nią nawet na tyle, by chociaż spróbować ją ocalić.

Zamknęła oczy przed światłem i przed łzami. Kocham cię.

Wszystko bym zniosła, gdybym wiedziała, że mnie kochasz. Ręce jej zdrętwiały. Spróbowała się uwolnić, ale tylko obtarła nadgarstki do krwi. Starła się zachować spokój, ale z każdą minutą serce zdawało się bić głośniejsze. Po skroni spłynęła jej kropla potu.

Gdzieś w ciemnościach skrzypnęły drzwi, zbliżyły się kroki,

rytmem powolnym, ale zdecydowanym. Wysiliła wzrok, aby coś zobaczyć w świetle reflektora.

Zza kulis wyszedł Tyrone.

- Panie Holland, niech się pan zatrzyma.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Rozbłysnął jeszcze jeden reflektor i schwycił w obręcz światła

Victora, który zatrzymał się na środku sali.

Przyszedłeś po mnie! Wiedziałałam, wiedziałałam...

Gdyby tylko mogła krzyknąć, ostrzec go, że są jeszcze dwaj... Ale taśma ścisnęła ją tak mocno, że mogła z siebie wydobyć tylko jęk.

- Puść ją!

- Najpierw daj nam to, czego chcemy.

- Powiedziałem, puść ją!

- To nie ty dyktujesz warunki. - Tyrone wyszedł na scenę. Cathy wzdrygnęła się, kiedy poczuła na skroni zimny metal pistoletu. -

Zobaczmy, co masz, Holland.

- Najpierw ją rozwiąż.

- Mogę zabić was oboje i zakończyć sprawę.

- To już do tego doszło? - krzyknął Victor. - Zabijacie cywili za państwowe pieniądze?

- To tylko sprawa kosztów i zysku. Może kilku będzie musiało teraz zginąć. Ale jeżeli kraj pójdzie na wojnę, pomyśl o milionach Amerykanów, którym uratuje to życie!

- Myślę o tych Amerykanach, których pozbawiliście już życia.

- To było konieczne. Ale ty tego nie zrozumiesz. Nigdy nie widziałeś umierającego żołnierza, przyjaciela, prawda, Holland? Nie znasz tego uczucia bezradności, bo nie oglądałeś porządnych amerykańskich chłopców z przyzwoitych amerykańskich miasteczek, rozerwanych na kawałki. Kiedy będziemy mieć tę broń, tylko wrogowie będą ginąć, nie my.

- Kto wam dał przyzwolenie?

- Sam sobie je dałem.

- A kim ty, do cholery, jesteś?

- Patriotą! Wykonuję robotę, której nikt inny we władzach nie tknie. Ktoś mówi, że szkoda, że nasza broń nie ma wyższego współczynnika śmiertelności. I to dla mnie wskazówka, że muszę taką opracować. Nawet nie muszą mnie prosić. Mogą twierdzić, że nic o tym nie wiedzieli.

- Znaleźli sobie jelenia. Tyrone wzruszył ramionami.

- Jestem tylko dobrym żołnierzem. Potrafiłbym zginąć za sprawę.

Ale jeszcze nie teraz.

Cathy zeszywniała na dźwięk odbezpieczanej broni.

- Jak widzisz - zauważył Tyrone - karty nie układają się po twojej myśli.

- Skąd wiesz, czy przyniosłem próbówki? - zapytał Victor ze spokojem. - A może są gdzieś schowane, a bomba tyka już w mediach? Zabij ją, a nigdy się nie dowiesz.

Martwy punkt. Tyrone opuścił broń. Przez chwilę mierzyli się z

Victorem wzrokiem. Potem Tyrone sięgnął do kieszeni i wyjął scyzoryk.

- Holland, ta runda dla ciebie - powiedział i przeciął więzy.

Nagły przyływ krwi do rąk i stóp Cathy był niemalże bolesny. -

Zabieraj ją!

Ledwo wygramoliła się ze sceny. Na niepewnych nogach poszła między rzędami, w kierunku plamy światła, do Victora. Porwał ją w ramiona. Tylko łomot jego serca uświadomił jej, jaki był spanikowany.

- Twoja kolej! - zawołał Tyrone.

- Idź - szepnął Victor. - Zabieraj się stąd.

- Victorze, jest jeszcze dwóch...

Victor sięgnął do kieszeni i wyjął papierośnicę.

- Będą mnie obserwować - szepnął. - Idź do drzwi. Cathy stała jak sparaliżowana, nie mogąc podjąć decyzji. Miała go tu zostawić, na pewną śmierć?

- Zostaje tam, gdzie jest! A ty, Holland, chodź tu. Probówka!

Victor postąpił krok do przodu, potem drugi.

- Stań! - rozkazał Tyrone. - Połóż ją na ziemi. Victor powoli

położył papierośnicę u swych stóp.

- Popchnij w moją stronę.

Papierośnica przejechała po podłodze i zatrzymała się przy kanale dla orkiestry. Tyrone zeskoczył ze sceny.

Victor wziął Cathy za rękę i zaczął się wycofywać w kierunku

wyjścia. Jakby na komendę po teatrze rozeszło się echem

odbezpieczenie dwóch pistoletów. Victor odwrócił się, lecz oślepiło go światło reflektora.

- Jeszcze nie wychodźcie - oznajmił Tyrone, sięgając po papierośnicę. Ostrożnie podniósł wieczko i w ciszy przyglądał się zawartości pudełeczka.

To koniec, pomyślała Cathy. Teraz nie ma powodu, by utrzymać nas przy życiu, bo już ma to, czego chciał... Tyrone szarpnął głową.

- Oszukał nas - powiedział. - Zabić ich!

Jego głos rozbrzmiewał w każdym kącie sali, gdy nagle zgasły wszystkie światła. Zapadły tak nieprzeniknione ciemności, że Cathy musiała wyciągnąć przed siebie ręce, by nie stracić równowagi. I właśnie wtedy Victor pociągnął ją w bok, pomiędzy rzędy krzeseł.

- Zatrzymajcie ich! - wrzeszczał Tyrone.

Ze wszystkich stron rozległy się strzały. Cathy i Victor na czworakach poruszali się między rzędami, słysząc, jak kule więzną w obitych aksamitem oparciach foteli. Ogień nagle przycichł, tylko od czasu do czasu rozlegał się pojedynczy strzał.

- Nie strzelać! Posłuchajcie, gdzie są!

Ogień ucichł. Cathy i Victor zamarli, bojąc się zdradzić.

Panowała absolutna cisza. Cathy słyszała własny puls. Znaleźli się w pułapce. Jeden ruch i będą wiedzieli, gdzie jesteśmy. Bojąc się oddychać, zdjęła but i rzuciła go na oślep w poprzek widowni. Hałas wywołał natychmiastową strzelaninę. Korzystając z tego, Cathy i

Victor zdążyli dobiec do bocznych krzeseł.

I znów ogień ucichł.

- Nie masz wyjścia, Holland! Pilnujemy drzwi! Gdzieś wysoko,
na jednym z balkonów, zapaliło się nagle światelko. To Dafoe trzymał
w ręku zapalniczkę. Victor popchnął Cathy na podłogę.

- Dafoe, widzisz ich? - krzyczał Tyrone.

- Zaraz ich znajdę. Zaczekaj. Zdaje się, że... Rozległ się strzał i

Dafoe odskoczył nagle w bok.

Wyciągnął rękę, aby się oprzeć, ale przegniłe drewno balustrady
ustąpiło pod ciężarem jego ciała. Przechylił się do przodu i zwałił na
rzędy foteli.

- Dafoe! - wrzeszczał Tyrone. - Kto do cholery... Z podłogi

uniósł się języczek ognia. Od zapalniczki

zajęła się kurtyna. Płomienie rozprzestrzeniały się szybko,

tańcząc po ciężkim aksamicie i biegnąc w kierunku belek sufitowych.

Kiedy dotknęły drewna, szum zamienił się w ryk. Jasność bijąca od
ognia oświetliła widownię. Cathy i Victor stali się widoczni. Savitch
stojący przy wejściu przygotował swój pistolet półautomatyczny. Na
scenie, oświetlony piekłem płomieni, stał z demonicznym wyrazem
twarzy Tyrone.

- Savitch, bierz ich! - rzucił rozkaz.

Savith wycelował broń. Tym razem nie mieli gdzie się schować.

Cathy poczuła, jak ramię Victora obejmuje ją w ostatnim
opiekuńczym uścisku.

Odgłos strzału sprawił, że oboje podskoczyli. Jeszcze jeden, ale też nie poczuła bólu. Spojrzeli na siebie, jak gdyby nie mogli uwierzyć, że żyją. Jednocześnie zobaczyli, że na koszuli Savitcha ukazała się abstrakcyjna plama krwi, a on sam osuwa się na kolana.

- Teraz masz szansę! - zawołał ktoś. - Holland, rusz się!

Odwrócili się, aby zobaczyć znajomą sylwetkę na tle płomieni. W jakiś magiczny sposób Polowski wyłonił się zza kurtyny. Trzymając pistolet w obydwu dłoniach, okręcił się wokół własnej osi i wycelował w stronę Tyrone'a. Nie zdążył nacisnąć na spust, bo Tyrone strzelił pierwszy. Kula odrzuciła Polowskiego w tył. Spadł ze sceny na tłące się już aksamitne siedzenia.

- Uciekaj! - rzucił Victor i popchnął Cathy do wyjścia. - Idę po niego...

- Victorze, nie możesz...

Ale już był w drodze. Widziała poprzez kłęby dymu, jak skrada się pomiędzy rzędami. Potrzebuje pomocy. A czas ucieka... Od gorąca paliło ją w gardle. Kaszląc, opadła na podłogę i nabrała kilka oddechów względnie jeszcze czystego powietrza. Ma jeszcze czas uciec. Musiałaby tylko doczołgać się do drzwi. Ale zamiast tego odwróciła się plecami do wyjścia i poszła za Victorem w piekło. Ledwo widziała go poprzez ścianę ognia. Podniosła ramię, żeby zasłonić twarz przed żarem.

- Victor!

Odpowiedział jej ryk płomieni i jeszcze groźniejszy odgłos

trzeszczących belek. Spojrzała w górę. Ku swojemu przerażeniu zobaczyła, że w każdej chwili mogły spaść.

W panice rzuciła się do przodu, do miejsca, gdzie ostatnio widziała Victora. Nie było go. Znalazła tylko kłębowisko dymu i ognia. Czy zdołał uciec? Czy została sama w tej płonącej beczce prochu? Nagle coś otarło się o jej twarz. Zobaczyła ludzką rękę wiszącą tuż obok swojej głowy. Powoli powiodła wzrokiem wzdłuż skrwawionego ramienia, do martwych oczu Dafoe. Jej krzyk przerażenia prześwidrował na wylot cyklon ognia.

- Cathy?

Odwróciła się w kierunku, z którego napłynął głos Victora.

Przykucnięty w przejściu kilka metrów od niej trzymał Polowskiego pod pachy i ciągnął go do wyjścia. Ale gorąco i dym odcisnęły już na nim swoje piętno.

- Zaraz zawali się dach! - krzyknęła.

- Uciekaj!

- Bez ciebie? - Złapała Polowskiego za stopy. Razem przeciągnęli go po dywanie, na którym pojawiły się już iskry. Jeszcze tylko kilka metrów!

- Trzymam go. - Victor z trudem łapał oddech. - Idź... otwórz drzwi.

Wyprostowała się i odwróciła. Przed nią stał Matt Tyrone.

- Victorze! - zaszlochała.

Victor - stanął z nim twarz w twarz. Żaden z nich nie powiedział

słowa. Obaj wiedzieli, że gra się skończyła. Nadszedł czas na finał.

Tyrone podniósł broń.

W tej samej chwili usłyszeli głośny trzask pękającego drewna.

Tyrone odwrócił na chwilę wzrok, aby popatrzeć na jedną z belek, która obsunęła się, ciągnąc za sobą deszcz płonących drzazg. Cathy tylko czekała na taką chwilę nieuwagi. W odruchu skrajnej desperacji rzuciła się do przodu, podcinając mu nogi. Tyrone wypuścił z ręki broń i ześliznął się pod rząd foteli.

Natychmiast jednak zerwał się na równe nogi i kopnął ją z całej siły. Trafił w żebra tak mocno, że zabrakło jej powietrza, by krzyknąć.

Upadła ogłuszona.

Poprzez ciemność, jaka przesłoniła jej oczy, na tle szalejącego ognia, zobaczyła, że obaj mężczyźni rzucili się sobie do gardła.

Tyrone wymierzył cios, a Victor się zatoczył. Tyrone zaszarżował, Victor uskoczył w bok, Tyrone potknął się i upadł na tłący się dywan, lecz wściekły poderwał się na kolana, gotów do ataku.

Trzeszczenie walących się belek spowodowało, że zerknął do góry. Ciągle miał na twarzy wyraz zdumienia, kiedy jedna z belek przygniotła mu głowę.

Cathy próbowała krzyknąć, ale nie mogła wydać z siebie żadnego dźwięku. Gardło miała wysuszone i opuchnięte. Z trudem podniosła się na kolana. Tuż obok niej leżał Polowski, jęcząc. Ogień był wszędzie, strzelał już z podłogi, liżąc resztki draperii, które jeszcze nie zdążyły się zapalić. Poprzez całe to piekło zbliżał się do niej,

potykając, Victor. Schwycił ją za ramię i popchnął w stronę wyjścia.

Zdołali jakoś przedostać się przez drzwi, ciągnąc za sobą Sama.

Kaszłąc, wywlekli go na ulicę, a potem na przeciwległy chodnik. Tam już zostali.

Nocne niebo zapaliło się nagle od eksplozji, która rozdarła teatr.

Dach zawalił się, wyrzucając w górę wachlarze fajerwerków. Victor rzucił się całym ciałem na Cathy, by ją zasłonić przed odłamkami szkła lecącymi z okien budynku, koło którego się schronili.

Przez chwilę słychać było tylko szum i trzask płomieni. Potem, gdzieś z daleka, doszło ich wycie syreny.

Polowski poruszył się i jęknął.

- Sam! Trzymasz się, stary?

- Trafił mnie... w bok...

- Wyjdiesz z tego. - Victor posłał mu niepewny uśmiech. -

Posłuchaj! Już jadą. Słyszysz syreny?

- Tak. - Oczy Sama zwięzły się z bólu.

- Dziękuję - powiedział Victor.

- Musiałem. Byłeś... za głupi, żeby posłuchać...

- Wróciliśmy do punktu wyjścia. Straciłem dowody.

- Milo...

- Są tam. - Victor patrzył na płomienie ogarniające stary teatr.

- Milo je ma.

- Słucham?

- Nie widziałeś, jak mu je dałem?

- Zabrałeś je? Zabrałeś próbówki? Polowski kiwnął głową.

- Ty idioto!

- Victorze! - oburzyła się Cathy.

- Ukradł moją kartę przetargową!

- Ocalił nam życie!

Victor nie odrywał wzroku od Sama, który odwzajemnił się zboląłym uśmiechem.

- Ta dziewczyna ma głowę na karku. Słuchaj jej. Wycie syren nasiliło się, a potem nagle urwało. Krzyki mężczyzn zagłuszyły huk ognia. Krzepki strażak zeskoczył z wozu i uklęknął przy Polowskim.

- Co my tu mamy? - zapytał.

- Rana postrzałowa - odparł Victor. - A pacjent straszny mądrala.

- Nie ma problemu. Damy sobie radę i z jednym, i z drugim.

Zanim zdolali wsadzić Sama do karetki, z teatru pozostał dopalający się stos popiołu. Victor i Cathy patrzyli na znikające tylne światła karetki, słyszeli cichnącą syrenę i syk wody na resztkach ognia.

Victor bez słowa przyciągnął ją do siebie i oplótł ramionami. Stali cicho na tle przygasających płomieni i chaosu. Oboje byli tak zmęczeni, że żadne z nich nie wiedziało, kto podtrzymuje kogo. Ale mimo ogromnego wyczerpania Cathy czuła magię chwili. W jakiś upiorny sposób była piękna, przerażająca i ostateczna. Strzelały ostatnie iskry, a na ścianach pobliskich domów tańczyły refleksy światła i cienia.

- Przyszedłeś po mnie - szepnęła. - Och, Victorze, tak się bałam,
że...

- Cathy, musiałaś wiedzieć, że przyjdę!

- Nie, nie byłam pewna. Miałaś swój dowód. Mogłeś mnie
zostawić...

- Nie, nie mogłem. - Ukrył twarz w jej nadpalonych włosach i
pocałował. - Dzięki Bogu, że nie zdążyłem wsiąść do samolotu. Oni
mieliby ciebie, a ja byłbym trzy tysiące kilometrów stąd.

Na chodniku zasypanym potłuczonym szkłem zatrzeszczały
kroki.

- Czy pan Victor Holland?

Przed nimi stał jakiś człowiek w pogniecionej kurtce, z aparatem
przewieszonym przez ramię.

- Kim pan jest? - zdziwił się Victor. Mężczyzna wyciągnął rękę.

- Jay Wallace, „San Francisco Chronicle”. Dzwonił do mnie Sam

Polowski i powiedział, że będą tu jakieś fajerwerki, które mogą mnie
zainteresować. - Popatrzył na pozostałości teatru i potrząsnął głową. -

Wygląda na to, że się trochę spóźniłem.

- Proszę zaczekać. Sam do pana dzwonił? Kiedy?

- Jakies dwie godziny temu. Gdyby nie był moim byłym
szwagrem, odłożyłbym słuchawkę. Od kilku dni dawał mi do
zrozumienia, że ma w zanadrzu bombową sprawę, ale nie wyjaśnił, o
co chodzi. Już miałem nie przyjeżdżać. To cholernie daleko od
centrum miasta.

- Powiedział panu o mnie?

- Podobno to pan ma jakąś historię do opowiedzenia.

- Wszyscy mają jakąś historię.

- Niektóre są lepsze od innych. - Reporter rozejrzał się. - A gdzie jest Sam? Pewnie się wcale ten frajer nie pokazał.

- Ten frajer - rzekł Victor poirytowanym głosem - jest bohaterem. I wsadź pan to do swojego artykułu.

Usłyszeli jeszcze czyjeś kroki, tym razem było to dwóch policjantów. Cathy poczuła, że Victor zesztyniał na ich widok.

- Poinformowano nas, że ofiarę strzelaniny zabrano na oddział ratunkowy - oświadczył starszy rangą. - A was znaleziono na miejscu pożaru.

Victor skinął głową ze znużeniem.

- Byłem przy tym. Kiedy przeszukacie budynek, znajdziecie jeszcze trzy ciała.

- Proszę nam podać swoje dane - rzekł oficer.

Victor spojrzał na Cathy. Wyczytała w jego zmęczonych oczach, że to koniec. Teraz nas rozdzieli i Bóg jeden wie, kiedy się znowu zobaczymy...

- Nazywam się Victor Holland.

- Holland - powtórzył policjant. - Czy nie...

A Victor nie odrywał od niej wzroku. Nawet kiedy zakładali mu kajdanki i pociągnęli za sobą do wozu patrolowego, wpatrywał się w Cathy. Nie wiedziała, co ze sobą zrobić, tylko stała obok pogorzelniska.

- Proszę pani, musi pani pojechać z nami.

Oszołomiona podniosła wzrok.

- Słucham?

- Hej, wcale nie musi! - wtrącił się Jay Wallace.

- Nie jest o nic oskarżona!

- Zamknij się, Wallace.

- Byłem reporterem sądowym. Wiem, jakie kto ma prawa!

- To bez znaczenia, pojedę z wami - odparła Cathy.

- Zaczekaj! - zawołał Jay. - Chcę z tobą porozmawiać! Tylko

kilka pytań...

- Później - warknął policjant, biorąc ją za ramię.

- Najpierw porozmawia z nami.

Policjanci byli dla niej uprzejmi, nawet mili. Może wyczuli, że

funkcjonuje ostatkiem sił. Odpowiedziała na wszystkie pytania.

Pozwoliła zbadać rany od sznura na nadgarstkach. Wyjaśniła sprawę

Sarah i pierwszej oraz drugiej Catherine Weaver. I cały czas, kiedy

siedziała na policji w Palo Alto, miała nadzieję, że choć przez chwilę

zobaczy Victora. Wiedziała, że musi być gdzieś blisko.

O świcie wypuścili ją. Na zewnątrz, na schodach, czekał na nią

Jay Wallace.

- Muszę z tobą porozmawiać.

- Proszę, nie teraz. Jestem zmęczona.

- Tylko kilka pytań.

- Nie mogę. Muszę... - Stojąc na zimnej i pustej ulicy,

wybuchnęła płaczem. - Nie wiem, co robić - szlochała. - Nie wiem,
jak mu pomóc.

- Hollandowi? Zabrali go do San Francisco.

- Co?

- Godzinę temu. Jacyś ważni faceci z Departamentu

Sprawiedliwości przyjechali go eskortować. Stamtąd polecą do
Waszyngtonu. Czerwony dywan, bajery szmajery.

- To nie jest... aresztowany?

- Kochana - zaśmiał się Wallace. - Ten gość jest teraz bohaterem.

Było jej wszystko jedno, ważne, że był bezpieczny. Zaczepnęła
głęboko powietrza.

- Panie Wallace, jest pan samochodem?

- Zaparkowałem za rogiem.

- To niech mnie pan podwiezie.

- Dokąd?

- Do... - Zastanowiła się przez chwilę, gdzie Victor będzie jej
szukał. Oczywiście. U Mili. - Do przyjaciela. Chcę być tam, jak
Victor zadzwoni.

- Mam nadzieję, że to daleko. Muszę wiele wyjaśnić, zanim ta
historia pójdzie do druku.

Victor nie zadzwonił. Przez cztery dni siedziała przy telefonie.

Przez cztery dni Milo i jego matka przynosili jej herbatę i ciasteczka,
obsypywali uśmiechami i współczuli. Piątego dnia zaczęły ją dręczyć
koszmarne myśli. Przypomniała sobie ten dzień nad wyschniętym

jeziorem, gdy prosił, aby pojechała z Olliem na lotnisko. To prawda, że przyszedł po nią. Świadomie wszedł w pułapkę w teatrze Saracen. Ale czy nie zrobiłby tego dla wszystkich swych przyjaciół? On taki jest. Ocaliła mu życie, a on pamięta o swoich długach i je spłaca. To kwestia honoru.

I nie ma to nic wspólnego z miłością.

Przestała czekać. Wróciła do swojego mieszkania w San Francisco, sprzątnęła potłuczone szkło, kazała wstawić nowe szyby w oknach, odnowiła ściany. Chodziła na długie spacery i często odwiedzała Olliego i Polowskiego w szpitalu. Jak najdalej od telefonu. Któregoś dnia zadzwonił Jack.

- W przyszłym tygodniu zaczynamy zdjęcia - narzekał. - Potwór wygląda fatalnie. To przez wilgotność powietrza! Jego twarz rozpływa się w zieloną galaretę. Przyjeżdżaj i zrób coś z tym, zgoda?

Odpowiedziała mu, że pomyśli.

Tydzień później podjęła decyzję. Praca, oto czego potrzebuje.

Zielona galareta i humorzaści aktorzy - to jest znacznie lepsze niż czekanie na telefon, który nigdy nie zadzwoni. Zarezerwowała bilet w jedną stronę z San Jose do Puerto Vallarta. Potem spakowała się, wrzucając do walizki całą swoją garderobę.

Ale zanim wyjedzie, wstąpi jeszcze do Palo Alto. Obiecała

Samowi, że go odwiedzi.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

„Rzecznik administracji państwowej Richard Jungkuntz złożył w

dniu dzisiejszym ponowne oświadczenie stwierdzające, że ani Prezydent, ani żadna osoba z jego bezpośredniego otoczenia nie posiadali żadnej wiedzy na temat badań nad bronią biologiczną, prowadzonych przez firmę Viratek Industries w Kalifornii. Projekt Cerber, którego celem było stworzenie genetycznie zmutowanych wirusów, jest niewątpliwym naruszeniem prawa międzynarodowego. Ostatnie dowody zebrane przez reportera „San Francisco Chronicle” wykazały, że projekt był bezpośrednio finansowany z funduszy przyznanych przez zmarłego niedawno Matthew Tyrone'a, starszego doradcę Sekretarza Departamentu Obrony.

Podczas
dzisiejszych
przesłuchań
w
Departamencie

Sprawiedliwości, opóźnionych o cztery godziny z uwagi na uporczywe zamiecie, prezes Virateku Archibald Black zeznawał po raz pierwszy, zapowiadając, że ujawni bezpośrednio powiązania pomiędzy administracją państwową a Projektem Cerber. Wczorajsze zeznania złożone przez byłego pracownika Virateku, doktora Victora Hollanda, ukazały niepokojący obraz oszustw, tuszowania faktów i zapewne zabójstw.

Biuro Prokuratora Generalnego w dalszym ciągu opiera się
żądaniom kongresmana Leo D. Fanellego, aby powołać specjalną

komisję do zbadania..."

Cathy odłożyła gazetę i uśmiechnęła się do swoich przyjaciół, z którymi siedziała w szpitalnej oranżerii.

- Widzicie, chłopcy? Macie szczęście, że siedzicie sobie tutaj, w słonecznej Kalifornii, i nie odmrażacie sobie sami wiecie czego w zasypanym śniegiem Waszyngtonie.

- Żartujesz? - narzekał Sam. - Dałbym wszystko, aby uczestniczyć w tych przesłuchaniach, zamiast być podłączonym do tej maszyny.

- Cierpliwości - odparł Milo. - Jeszcze cię wezwą do Waszyngtonu.

- Ale Holland już im przekazał ciekawsze kawałki. Zanim złożę zeznanie, to będzie sprawa z ostatniej strony.

- Nie sądzę - wtrąciła Cathy. - To będzie sprawa z pierwszych stron gazet przez dłuższy czas. - I przez cały ten czas ona nie zobaczy Victora.

Minęły już trzy tygodnie od chwili, gdy się rozstali. Wiedziała od Wallace'a, że każde pojawienie się Victora w publicznym miejscu przeradza się w scenę przypominającą karmienie rekinów.

Towarzyszyły mu tłumy reporterów, prokuratorów i śledczych, urzędników Departamentu Sprawiedliwości. Nikt nie mógłby się do niego przedrzeć. Nawet ja, pomyślała.

Pewną pociechą była możliwość porozmawiania z trójką przyjaciół. Ollie pozbiierał się szybko i został wypisany ze szpitala

osiem dni po postrzale. Z Polowskim sprawa wyglądała poważniej.

Infekcja pooperacyjna i powikłania po zatruciu dymem przedłużyły jego pobyt aż do punktu, kiedy każdy kolejny dzień stawał się dla niego ciężką próbą. Chciał już wyjść. I wrócić do pracy.

Jeszcze tydzień, zdecydowali lekarze.

Przynajmniej ma jakiś termin, pomyślała Cathy. A ja nie wiem, kiedy zobaczę albo usłyszę Victora.

Ta cisza to zupełnie normalna rzecz, powiedział jej już dawno

Sam. Odosobnienie świadka. Kuratela mająca na celu zapewnienie

bezpieczeństwa. Departament Sprawiedliwości chce mieć sprawę

dopiętą na ostatni guzik i dlatego izoluje głównego świadka od świata

zewnętrznego. Reszta może tylko złożyć zeznania. Cathy złożyła już

swoje dwa tygodnie wcześniej. Powiedziano jej, że w każdej chwili

może wyjechać.

I teraz miała w torebce bilet na samolot do Meksyku. Przestała

już czekać na telefon i zastanawiać się, czy Victor ją kocha i czy

tęskni. Wcześniej przechodziła przez to z Jackiem, znała wątpliwości i

strach, że dzieje się coś niedobrego. Była zbyt doświadczona, aby ją to

zraniło.

Przynajmniej odkryłam, że mam trzech nowych przyjaciół. Ollie,

Polowski i Milo, najdziwniejsze trio pod słońcem.

- Zobacz, Sam - powiedział Milo, sięgając do plecaka. -

Przyniosłem ci coś.

- Kolejne bokserki w gołe tancereczki? Ale mi pielęgniarki dały

za to w kość.

- Niece. Coś na twoje płuca. Żeby ci przypominało, że masz

głęboko oddychać.

- Papierosy? - zapytał Polowski z nadzieją w głosie.

- Fujarkę!

- Tego mi naprawdę brakowało!

- Brakowało, brakowało. - Ollie otworzył futerał na klarnet. -

Przypadkowo mamy przy sobie instrumenty i nie wyjdziemy stąd,

dopóki z nami nie zagrasz.

- Chyba żartujecie.

- Czy jest lepsze miejsce, żeby zagrać? Chorzy pacjenci, trzeba

ich trochę rozweselić.

- Nie mówicie serio. - Sam spojrzał błagalnie na Cathy.

- Zupełnie serio. - Cathy wyjęła swoją fujarkę.

- Dobrze, kochani - rzucił Ollie. - Gramy! Nigdy dotąd świat nie

słyszał takiej wersji „California, Here I Come!”. I jeżeli świat ma

szczęście, to już nie usłyszy. Kiedy brzmiały ostatnie dźwięki, kilka

pielęgniarek i kilku pacjentów zgromadziło się w oranżerii, by

sprawdzić, co jest źródłem tej okropnej kakofonii.

- Panie Polowski! - huknęła przełożona. - Jeżeli pańscy goście

nie umieją się zachować...

- To ich pani wyrzuci? - spytał Sam z nadzieją w głosie.

- Nie ma potrzeby - zapewnił Ollie. - Pakujemy instrumenty. A

przy okazji, oferujemy swoje usługi na prywatne przyjęcia, urodziny,

koktajle. Wystarczy skontaktować się z naszym menedżerem, żeby ustalić datę...

- Chciałbym wrócić do łóżka - zajęczał Polowski.

- O nie. Jeszcze nie - zaprotestowała jedna z pielęgniarek. -

Potrzebuję pan rozrywki. - Potem mrugnęła porozumiewawczo do Olliego i wyszła.

- Zrobiłam swoje, żeby cię rozbawić. Teraz już czas na mnie - rzekła Cathy.

Polowski spojrział na nią ze zdziwieniem.

- Zostawiasz mnie z tymi wariatami?

- Muszę złapać samolot.

- Dokąd jedziesz?

- Do Meksyku. Jack dzwonił, że już kręcą. Pomyślałam, że pojedę i wyprodukuję kilka potworów.

- A co z Victorem?

- Jak to co?

- Myślałem... to znaczy... - Sam spojrział na kolegów, ale oni wzruszyli ramionami. - Będzie za tobą tęsknił.

- Nie sądzę.

Wiedziała, że nie mogą nic powiedzieć, bo jest ich przyjacielem.

Ani go bronić, ani potępiać. Tak jak ona. Ona po prostu kocha go i właśnie dlatego powinna wyjechać. W przeszłości była już zakochana i zdawała sobie sprawę, że najgorsze, co może spotkać kobietę, to obojętność ukochanego. Nie chciała jej zobaczyć w oczach Victora.

Wzięła torebkę i wstała, by się pożegnać.

- Powinnaś zostać. On w każdej chwili może wrócić. A poza tym rozleci się nasz kwartet - rzekł Ollie.

- Sam mnie zastąpi. - Pocałowała go w łysiejącą głowę. - Kuruj się. Jesteś nam potrzebny. Napiszę do was z Meksyku! - Zarzuciła torebkę na ramię i stanęła jak wryta.

W drzwiach stał Victor z walizką w ręku.

- Dlaczego mówicie o Meksyku? - zapytał.

Wpatrywała się w niego, myśląc, że to takie niesprawiedliwe, że mężczyzna, przed którym starała się uciec, wygląda tak cudownie, że mógłby łamać serca.

- Wróciłeś w ostatniej chwili - Ollie oprzytomniał jako pierwszy

- bo ona wyjeżdża.

- Co? - Victor spojrzał na nią z niepokojem. Dopiero wtedy zauważyła jego pogniecione ubranie i cień zarostu na twarzy. Z walizki wystawała pięta skarpetki. - Nie możesz wyjechać - oświadczył.

- To coś nieoczekiwanego. Jack mnie potrzebuje.

- Czy coś się stało?

- Nie, sprawy na planie się skomplikowały. - Zerknęła na zegarek. - Spóźnię się na samolot. Obiecuję, że zadzwonię, jak przyjadę...

- Nie jesteś jego jedyną charakteryzatorką.

- Nie, ale...

- Poradzi sobie bez ciebie.

- Tak, ale...

- Chcesz jechać? O to chodzi?

Nie odpowiedziała, patrzyła tylko na niego w milczeniu, a w jej oczach malowała się udręka.

- Wybaczcie, chłopcy - delikatnie, ale zdecydowanie wziął ją za rękę - ale ta dama i ja idziemy na mały spacer.

Na zewnątrz ostry wiatr roznosił liście po trawniku. Poszli w stronę dębowej alejki. Nagle Victor zatrzymał się i odwrócił ją do siebie.

- Powiedz mi, jak wpadłaś na ten wariacki pomysł, żeby wyjechać?

- Myślałam, że cię to nie obchodzi.

- Nie obchodzi mnie? Cathy, chodziłem po ścianach, zastanawiając się, jak się stamtąd wyrwać! Nie masz pojęcia, jak się martwiłem. Nie wiedziałem, czy jesteś bezpieczna, czy ta cholerna sprawa wreszcie się skończyła. Prawnicy nie pozwalali mi dzwonić, dopóki nie zakończą przesłuchań. Udało mi się wykraść i zadzwonić do domu Mila, ale nikt nie odpowiadał.

- Byliśmy pewnie tutaj, z wizytą u Sama.

- Odchodziłem od zmysłów. Kazali mi odpowiadać na te same pytania po kilka razy. A ja mogłem myśleć tylko o tobie. Przy pierwszej okazji, jaka się nadarzyła, uciekłem. Potem nas zasypało podczas przesiadki w Chicago. Ale jestem. I w samą porę. Powiedz

mi, jedziesz do Jacka?

- Nie, nie do Jacka. Wyjeżdżam dla siebie. Bo wiem, że to nie ma sensu.

- Cathy, po tym wszystkim, przez co przeszliśmy, wszystko ma sens, i damy sobie radę. Ta noc, kiedy kochaliśmy się, czy nic dla ciebie nie znaczyła?

- Nie kochałeś się ze mną, tylko z Lily!

- Lily? Skąd ci to przyszło do głowy?

- Byłeś w niej taki zakochany...

- A ty kochałaś kiedyś Jacka. Pamiętasz?

- Ja się odkochałam, a ty nie. Żebym nie wiem jak próbowała, nigdy jej nie dorównam. Nigdy nie będę ani taka mądra, ani taka dobra...

- Cathy, przestań.

- Nie stanę się nią.

- Nie chcę, żebyś się nią stała! Chcę kobiety, która ucieka ze mną po drabince pożarowej i tej, która uratowała mi życie. Która mówi, że jest pospolita, bo nie wie, że jest nadzwyczajna. - Wziął jej twarz w dłonie. - Masz rację, Lily była wspaniałą kobietą. Mądrą, dobrą i wrażliwą. Ale nie byliśmy doskonałą parą. Zawsze uważałem, że to moja wina, że gdybym był lepszym kochankiem...

- Jesteś cudownym kochankiem, Victorze.

- Nie rozumiesz. To ty ze mnie wydobywasz całe pożądanie. -

Przyciągnął jej twarz do swojej i zniżył głos do szeptu. - Kiedy

kochaliśmy się, to było dla mnie tak, jakby się to stało po raz

pierwszy. A nawet lepiej, bo cię kochałem.

- A ja kochałam ciebie. Wziął ją w ramiona i pocałował.

- Cathy, Cathy - mruzczał. - Byliśmy tacy zajęci tym, aby nie zginąć, że nie mieliśmy czasu powiedzieć sobie tego wszystkiego, co powinniśmy...

Ramiona Victora zeszywniały nagle na odgłos oklasków. Z góry, ze szpitalnego balkonu obserwowały ich trzy osoby.

- Dawajcie, kochani! - zawołał Ollie.

Klarnet, pikolo i fujarka rozpoczęły swój koncert. Melodia była bardzo chwiejna. Mimo to Cathy wydawało się, że rozpoznaje „Someone to Watch Over Me” Gershwina. Victor jęknął.

- Spróbujmy jeszcze raz. Ale z inną orkiestrą i bez widzów.

- W Meksyku? - zaśmiała się.

- Koniecznie. - Złapał ją za rękę i pociągnął do taksówki stojącej przy chodniku.

- Ależ Victorze! - zaprotestowała. - A nasz bagaż? Wszystkie moje ubrania...

Zamknął jej usta pocałunkiem, i to takim, że zakręciło się jej w głowie, odebrało oddech i pozostawiło głód następnych.

- Zapomnijmy o bagażu - szepnęła. - Zapomnijmy o wszystkim.

Jedźmy...

Wsiedli do taksówki. Orkiestra na balkonie szybko zmieniła melodię, której Cathy w pierwszej chwili nie rozpoznała. Ale w

pewnym momencie fujarka przebiła się ze swoją solówką, przez kilka

taktów brzmiąc zupełnie czysto. To był „Marsz weselny”

Mendelssohna.

- Co to za okropny hałas? - zapytał taksówkarz.

- Muzyka - odparł Victor, uśmiechając się do Cathy

porozumiewawczo. - Najpiękniejsza muzyka na świecie.

Padła w jego ramiona i tak już pozostała.

Taksówka ruszyła. Gdy odjeżdżali, pozostawiając za sobą szpital,

wydawało im się, że ciągle słyszą w oddali dźwięk fujarki Sama

Polowskiego i tę ostatnią gasnącą nutę pożegnania.